

- Nie bójmy się mieszkać w Łodzi — str. 3
- Wszetecznik został świętym — str. 4
- Nie ma silnych, gdy urząd się uprze — str. 5
- Ważne to je, co je moje — str. 6
- Zbigniew Nienacki „Dagome iudex” — str. 16

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny Odgłosy

NUMER 21 (1573)

ROK XXXI

21 MAJA 1988 ROKU

CENA 50 ZŁ

Nie może być tak, żeby żyzna ziemia leżała odłogiem!

Placz, matko, placz!

RYSZARD BINKOWSKI

Sokolnickich lasów nie dosięga jeszcze ta zaraza, która już niemal na amen zagryzła las w Łagiewnikach. Pięknie tutaj, wczasowo, domki letniskowe i dachy. Na tabliczkach nazwiska figur, które nie należą do pionków na szachownicy naszego życia. Tutaj miejskie samochody, muzyka, solaria pod błękitnym niebem, a obok ludzie pracują, aby zebrać z pola coś do jedzenia. Za lasami sokolnickimi powietrze zdrowe, czyste, grunty żyzne, jak choćby w kolonii Małachowice, więc nie ma powodów do narzekania. A jeśli już tam ktoś płacze, to nie wskutek złości wobec przyrody, tylko przez drugiego człowieka.

Józefa Czerwińska, emerytka lat sześćdziesiąt, przeklina swój los, własną głupotę i swoje dobre matczyne serce. Nacierała się w życiu, przesłała genetyczną wywózkę na roboty do Austrii, radość powrotu do kraju, pracę we własnym gospodarstwie i gdy już myślała, że odpocznie na stare lata, wszystko się zawaliło.

Mąż Marian, człowiek schorowany, ma 62 lata i czeka na wypłatę emerytury, bo gospodarstwo już zdali. Dorabiali się powoli, a czasu mieli sporo, bo dopiero w 14 lat po ślubie doczekała się dziecka. Józefa zachodziła w ciążę, ale że szwankowała na zdrowiu, nigdy nie mogła donosić. Za ostatnim razem lekarz twierdził, że nie z tego nie będzie i radził usunąć. Józefa Czerwińska jednak donosiła i urodziła córkę, której dano na imię Anna. Była wielką radością i szczęściem w rodzinie. Ale gdy Józefa teraz sobie o tym pomyśli, to chociaż jest wierzająca, na usta cisną się jej złe słowa, lepiej, żeby nie urodziła czy coś takiego...

Bieda ich nie przycisnęła, a płakać się chce.

Obok starych budynków, nowe — stodoła z oborą z białej i czerwonej cegły, pod eternitem. Do tego 7 ha dobrej ziemi, głównie trzecie klasy. Ciele pole można obsadzić burakiem lub obsiać pszenicą. A jakby warzywa gruntu, ho, ho! Cebula jak pieści... No i na okrasę był jeszcze mały fiacik...

A teraz lekarz z Ośrodka Zdrowia w Sokolnikach, Leon Bójko, pisze zaświadczenia, że Józefa Czerwińska choruje na zapalenie żył, na serce, i że z powodu chorobliwej otępiłości nie u niej z wydolnością tętnicą. Na nogach porobiły się rany, które wciąż się otwierają i krwawią.

Do lusterka zajrzy czasem z konieczności, bo przykro jej patrzeć na siebie. Twarz ma jeszcze czystą, ale włosy siwutkie, rzadkie, z przedwitaminą skóra na czaszce. Duże szaropłwne oczy, stale zapuchnięte, zapadają w głąb i siwieją od łez. Ręce w nadgarstkach ciężkie od opuchlizny, nogi w jeszcze gorszym stanie. No i ta bogaczka chodzi teraz po czterech kilometrach do Ośrodka Zdrowia w Sokolnikach, wspierając się na starej lasce, podobnej do ciupagi, bo tym fiacikiem, co go kupili z mężem, kto inny jeździł po mieście.

Trudno uprzykrzać to wszystko, żal serce rwie i stara kobieta co rusz wraca ze szlochami to w przeszłość, to w teraźniejszość, mieszając czasy, wrażenia, fakty. Trudno prostą drogą dojść do sedna tego, co się wydarzyło w Małachowicach, a konkretnie w tej zagrodzie oznaczonej numerem 44, ale Józefa Czerwińska jest nie tylko zapięta w swym żalu, ale i systematyczna na swój sposób. Zgromadziła zasób karteluszków, dokumentów urzędowych, własnych zapisków, na których odnotowała godziny swego cierpienia. Uważa to za kalendarium własnej drogi krzyżowej...

No więc to było tak.

Córka Anna, dzisiaj lat dwadzieścia dwa, jako jedyny potomek miała zostać następcą i spadkobiercą, więc ojciec wysłał ją do szkoły rolniczej w Modlinie. Ukończyła szkołę, miała prawo jazdy na samochód i traktor, pracowała w gospodarstwie. Mówi, kupcie, tato, auto, do kościoła pojedźmy, no to kupili, bo należało się dziewczynie. W 1983 roku to było.

I jak raz zaczął przychodzić do Anny kawaler. No i dobrze, będzie miał kto poprowadzić gospodarstwo, bo co dwoje, to nie jedno. Andrzej Radzyński się nazywał, dzisiaj ma dwadzieścia sześć lat. Pochodził z zamożnej rodziny, osiadł w Czernikowie, gmina Piątek, to już pookle województwo. Mówił, że jest mechanikiem samochodowym, ale świadczył rolnicze też posadał.

Chodził ten kawaler, o żenił się, ale nie ma jeszcze mowy, a tu nagle w styczniu 1986 Mariana Czerwińskiego dosięgło tak, że strach pomyśleć. Wylał chłop w szpitalu, groził mu wylew i paraliż. Wyłżał się co nieco, ale lekarze mówią, że o robocie w polu już ani dudu. Wtedy Czerwińska postawiła sprawę jasno. Ojciec



Rys. Janusz Szymański-Glanc

chory, ale ziemia nie poleży na chorobowym. Albo przestał chodzić, Radzyński, albo myśli o weselu.

W Wielkanoc do Michałowic przyjechali Radzyńscy i wedle zwyczaju odbyli się zmnówiny. Ci z Czernikowa pytają, co mają dać synowi, a ci z Małachowic, że co uważają za stosowne. Ja, mówi Marian Czerwiński, oddam córkę to wszystko, co tu widzieli.

Ruszyły przygotowania do wesela. Grosza swojego trochę było, ale te sto tysięcy stara Czerwińska musiała pożyczyć. 80 tys. wzięła od Karolaka, resztę od swojego brata i od Reźniczaka. Przyszły więc wkrótce po weselu zwrócić jej ten dług, ale co było potem, lepiej na razie nie mówić. Co się wspomni, to ciemno w oczach, duszność i groźba zawalenia...

Na razie były śniwa. Czerwiński opłacał opryski chemiczne, kombajn i snopowiazalkę, a przyszły zięć zbierał plony. Jesienią też, samych buraków ćwikłowych zwiózł z pola półtora wozu, na oko dwadzieścia metrów.

Czemu on tak to wszystko zbierał? Ano, był już w wojsku, ale po dziewięciu miesiącach go zwolnili, bo jadąc na motorze zrobił sobie coś w nogę, czy coś takiego. Jesienią czekała go jeszcze służba, bo noga wydobrzała. Ale jakby został gospodarzem całą gębą i żyłby z rodziną, to by go nie wzięli. I dlatego jeszcze przed weselem, tzn. 4 sierpnia 1988 roku, przyszli teściowie i przyszły zięć zaprowadzili się do reżenta.

Relacja z podróży na Syberię do słynnej kliniki doktora Gawriły Ilizarowa

Do Kurganu po ratunek

WASYL KOCZNOW

To była najdłuższa zima w moim życiu.

Zaczęła się już w październiku, gdy wylądowałem w Kurganie, za Uralem. Warszawa pożegnała mnie ciepłym przelotnym deszczem i słońcem złotej polskiej jesieni, a Kurgan powitał luty mrozem i śniegiem. Wyszedłem wraz z córką z „TU-104” prosto w syberyjską zimą, która w 1987 roku zaczęła się wyjątkowo wcześniej i od razu poczęstowała mrozem, jakiego o tej porze roku nie było tam od lat 30. Udało nam się dostać miejsca w hotelu „Moskwa” w centrum Kurganu. Huraganowy wiatr bezkarnie hulał po wyludnionych ulicach, łamał nagie, sztywne od mrozu drzewa. Słyszałem go nawet przez sen.

Rano Wanda przybiegła do mnie i od razu nastawiła radio na Warszawę. W Polsce było ciepło, mówiono coś o zbiorach jabłek, a my tak mocno byliśmy jeszcze duchem „tam”, że na pukanie do drzwi odpowiedzieliśmy: Proszę! Kierownicza „piętra” przyszła zapytać, czy niepotrzebne są nam dodatkowe koce, prognoza na najbliższe dni przewiduje nadzwyczaj silne mrozy, a miasto ma deficyt ciepła.

Mimo iż poutykałem okno w pokoju Wandy swoim dodatkowym kocem i mimo rozgrzewania się na okrągło mocną, gorącą herbatą, dziewczyna kaszlała tak strasznie, że łyły jej ciekły po policzkach. Nie pomagało ani „radiowe słońce” z Warszawy, ani polskie piosenki. Pobiegłem do apteki. Dobre choć to, że tutaj dowolne lekarstwo w dowolnej ilości można kupić bez recepty. Mróz wdzierał się wszędzie. Nie było takiego miejsca w Kurganie, gdzie można się było ogrzać. W restauracji hotelowej zimno — goście jedzą w palchat. W grudniu, styczniu, lutym, gdy czterdziestostopniowy mróz jest dla tego regionu rzeczą normalną, nie odczuwa się go zbyt mocno. Pogoda stoi bezwzględna. Teraz, w końcu października, wiatr wydmuchiwał ciepło ze wszystkich zakamarków, gdzie człowiek próbował się ukryć. Większość gości hotelowych kłębiła się w bufecie. Tam bez przerwy gotowały się dwa olbrzymie samowary i buchał żarem piec. Pół hotelu zajmował Ilizarow, to znaczy pacjenci jego kliniki.

— Nasz Ilizarow wyleczył jednego z waszych wielkich pisarzy — rzekł w bufecie do Wandy jakiś wszytkowiedzący gość — On mieszkał w tym samym pokoju, co pani.

— Zna pan jego nazwisko? — spytałem

— Pan powinien je znać. Polska nakręciła dwa filmy według jego powieści.

Zaczynamy z Wandą wymieniać wszystkich, jakich pamiętamy, znanych polskich prozaików, ale gość kiwa przecząco głową. Poddajemy się, nie wiemy.

— Sienkiewicz — cedzi z politowaniem erudyta.

Tak, istnieje dość znany pisarz o tym nazwisku, lecz z Henrykiem Sienkiewiczem, oprócz nazwiska, nie go nie łączy. To Litwin, przyjaciel i towarzysz wypraw znanego podróżnika Thora Heyerdahla. Nie chciało mi się wyprowadzać z błędu naszego nieproszonego rozmówcę. Czort z nim!

Spieszyliśmy się do KNIIEKOT-u. Tak się w skrócie nazywa Kurganśki Badawczo-Naukowy Instytut Eksperymentalny i Kliniczny Ortopedii i Traumatologii. Dyrektorem Instytutu — profesor Gawrił Abramowicz Ilizarow — to sławny na cały świat eksperymentator w dziedzinie ortopedii. Właśnie do niego przybyliśmy na konsultację. To znaczy, nie obydwójce, tylko moja córka.

Instytut znajduje się daleko od miasta. Trzeba tam być wcześniej rano. Zimowy dzień na północy Syberii jest krótki, trwa gdzieś od 9.00 do 15.00 czasu miejscowego. Ze środkiem do instytutu godzina jazdy autobusem. Gdy za oknami migają już tylko niskie drewniane chaty przedmieścia, nagle za wysokim metalowym ogrodzeniem pojawia się coś w rodzaju zamku. Niezliczone półokrągłe budynki wznoszą się jeden za drugim na planie koła, wystrajając jakby ze wspólnego pnia, jak wielkie płatki wielkiego kwiatu i przez swój ogrom zdają się być niedostępne. Ta zadziwiająca hybryda architektoniczna zawdzięczała tutaj z epoki kubizmu chyba. Potem przekonałem się jednak, iż jest bardzo funkcjonalna. Klinikę pod tym względem można porównać do słynnego aparatu Ilizarowa, który również na pierwszy rzut oka budzi zdumienie niezliczoną ilością różnorodnych prętów, a przecież okazał się bardzo skuteczny w leczeniu skrzywionych ortopedycznych.

Od bramy prowadzi do Instytutu szeroka aleja. Wchodzimy. Otwiera się przed nami cały labirynt przejść, wejść i wyjść. Z lotu ptaka klinika jest podobna wierna kopia gwiazdki śniegu, śnieżynki. Jednak stosunkowo łatwo ta ogromna betonowo-szklana śnieżynka daje się „oswoić”. Każdy z wielu korytarzy głównych rozkłada się, a wszystkie prowadzą ku wyjściu na cztery światła strony.

Popularność Gawriły Ilizarowa stała się w Polsce powszechna.

Do „Kurganu” setkami zaczęły przychodzić listy z Polski. Zaledwie przestąpił próg gabinetu dyrektora administracyjnego instytutu Jewgienija Aleksandrowicza i ten dowiedział się, że znany i polski, i rosyjski, jak przed nami położono ogromny ichtos z prośbą o przetłumaczenie. To były listy otrzymane w jednym tylko miesiącu — październiku 1987 roku.

Wanda czytała na głos, ja od razu pisałem... Straszna to była lektura, ukazująca bezmiar ludzkiego cierpienia:

„...Nazywam się Beata K., mam 24 lata, jestem Polką. Mieszkam w mieście U... Od urodzenia występuje u mnie luzatio coxae cong. sin. Lewą nogę mam krótszą o 1 cm. W dzieciństwie leczyłem mnie za pomocą wyciągów, jednak bez rezultatów. Nigdy nie byłem leczony operacyjnie. Polscy ortopedzi proponują mi wymianę całego stawu biodrowego na sztuczny, jednak zaznaczają, że może być wtedy jeszcze gorzej niż jest. Kilka miesięcy temu spotkałam zycielskiego chorującym ludziom człowieka — doc. Arnolda Popkowa, który po obejrzeniu moich zdjęć rentgenowskich i opisu choroby stwierdził, że mogę być wyleczona w Kurganie, w KNIIEKOT, przy pomocy aparatu prof. Ilizarowa. Zwracając się do Pana Profesora proszę o całego serca o radę i pomoc. Czy jest możliwość, abym była leczona w KNIIEKOT i jeśli tak, to w jakim terminie mogłabym przyjechać?”

Wielu nie bardzo wiedziało, gdzie się ten Kurgan znajduje (właściwie po polsku „Kurhan”), ale wszystkie listy dochodziły. Prof. Gawrił Ilizarow jest jeden w Związku Radzieckim.

— Czy leczy tam również stawy kolanowe? — pytała córka swoich lekarzy-ortopedów. Nikt nie umiał dać konkretnej odpowiedzi. Poszedł więc do Kurganu jeszcze jeden list, z Łodzi. Odpowiedź przyszła prawie natychmiast. Leczenie uzależniono od wyników badań na miejscu, w Kurganie. Termin przyjazdu uzgodnił dwa Ministerstwa Zdrowia — w Moskwie i Warszawie.

Mieliśmy wyjątkowego pecha, gdyż odlot przypadł na „mgłę stulecia” w Moskwie. Przez cały prawie tydzień jeździliśmy ranniutko z Łodzi na Okęcie, by aż do wieczora czytać na ekranie: „Odłot do Moskwy opóźniony. Następny komunikat za godzinę”.

Przepadła rezerwa noclegu w Moskwie, rezerwa cja lotu do Kurganu. A gdy już docieramy na miejsce, okazuje się, że protektor wyjechał akurat do USA i wróci dopiero za 2 tygodnie.

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź, ul. Henryka
Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny
36-52-44

sekretarz redakcji,
fotoreporter 36-80-99,

publicyści: 36-77-70,
32-89-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz
Włodkowski.

Zastępca redaktora
naczelnego: Edmund
Nawandowski.

Sekretarz redakcji:
Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu
literackiego: Henryk
Pustkowski.

Redaktor techniczny:
Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski,
Dariusz Dorożyński,
Andrzej Gębarowski,

Eugeniusz Iwanicki, Teresa
Jerzykowska, Marek
Koprowski, Jerzy
Kwieciński, Bogda Madej,

Andrzej Makowiecki,
Paweł Tomaszewski,
Marian Zdrojewski.

Grafik: Jarusz
Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz
Gałęsiński.

Korekta: Mariola Knaga,
Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują:
Tadeusz Błażejowski,

Marek Brzeziński (Londyn),
Bohdan Gadomski,
Grzegorz Gazda, Andrzej
Karolczak, Witold
Kasperkiewicz, Andrzej
Kempa, Wasyl
Kocznow (Iwanowo),
Włodzimierz Krzemiński,
Zenon J. Michalski,
Ryszard Nakonieczny,
Adam Ochocki, Jerzy
Panasewicz, Karol J.
Strzyński, Maciej Świerkocki

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo
Prasowe RSW „Prasa-
Książka-Ruch” 91-103 Łódź,
ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady
Graficzne RSW „Prasa-
Książka-Ruch” Łódź, ul. Armii
Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie za-
mówionych rekwizytów i zastrze-
ga sobie prawo do skrótów. Za
treść ogłoszeń redakcja nie od-
powiada.

Warunki prenumeraty: 1. Dla
Instytucji i zakładów pracy —
zlokalizowane w miastach wojewódz-
kich i pozostałych miastach
w których znajdują się siedziby
Oddziałów RSW „Prasa-
Książka-Ruch” zamawiają
prenumeratę w tych oddziałach —
Instytucje i zakłady pracy
zlokalizowane w miejscowościach
gdzie nie ma Oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opła-
cają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla
indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
łe na wsi i w miejscowościach
gdzie nie ma oddziałów RSW
„Prasa-Książka-Ruch” opła-
cają prenumeratę w urzędach
pocztowych i u doręczycieli. 3. Dla
indywidualnych prenumera-
torów — osoby fizyczne zamieszka-
łe w miastach — siedzibach
Oddziałów RSW „Prasa-Książka-
Ruch” opłać prenumeratę
właśnie w urzędach pocztowych
nadawczo-odbiorczych
właściwych dla miejsca zamiesz-
kania prenumeratora. Wskazy-
wanie na rachunek bankowy
miejscowego Oddziału RSW
„Prasa-Książka-Ruch” 3.
Prenumeratę ze zleceniem
wysyłki za granicę przyjmuje RSW
„Prasa-Książka-Ruch”
Centrala Kolportażu Prasowego
Wydawnictwo ul. Towarowa 23,
00-958 Warszawa konto NBP XV
Oddział w Warszawie nr 1153-
201045-139-11. Prenumeratę ze
zleceniem wysyłki za granicę
pocztą zwykłą jest droższa od
prenumerat krajowej o 50 proc.
dla zleceniodawców indywidual-
nych i o 100 proc. dla zlecają-
cych instytucji i zakładów pracy.
Terminy przyjmowania prenu-
meraty na kraj i za granicę —
od dnia 10 listopada na I
kwartał i półrocze roku nastę-
pnego oraz cały rok następny —
do dnia 1 każdego miesiąca —
poprzedzającego okres prenu-
meraty roku bieżącego

Zam. 1556. S-10.

Komunikat o przyznaniu dorocznej nagrody „Odgłosów” za upowszechnianie kultury w roku 1987

Jury dorocznej nagrody „Odgłosów”
za upowszechnianie kultury w roku 1987
w składzie:

Lucjusz Włodkowski — przewodniczący
Zofia Kędziora — sekretarz

członkowie:

Jacek Jędrzyś — Łódzkie Wydaw-
nictwo Prasowe

Zdzisław Szymor — Wydział Kultury
i Sztuki UML

Andrzej Kempa — Stowarzyszenie
Bibliotekarzy
Polskich Oddział
w Łodzi

Marian Zdrojewski — Oddział Łódzki
SD PRL

Edward Szuster — Oddział Łódzki
ZLP

Hanna Łabęcka-
Dunajska — PWSSP w Łodzi

podczas obrad w dniu 10 i 12 maja 1988
roku rozpatrzyło 17 kandydatów indywi-
dualnych i zbiorowych przedstawionych
przez czytelników i różne organizacje.

W wyniku kilkakrotnego głosowania
jury jednogłośnie przyznało nagrodę
za upowszechnianie kultury w roku 1987
dyrektorowi Muzeum Sztuki w Łodzi
RYSZARDOWI STANISŁAWSKIEMU.

Wręczenie nagrody odbędzie się w sa-
lach Muzeum Historii Miasta Łodzi przy
ulicy Ogrodowej 15, 20 maja o godzi-
nie 13.

Uroczyste wręczenie nagrody połączo-
ne będzie z jubileuszem 30-lecia istnienia
„Odgłosów”.

Przewodniczący jury

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Przegląd prasy

Śląsk zajmuje tylko 2 proc.
terytorium kraju, lecz skupia
11 proc. ludności. Stąd pocho-
dzi 20 proc. produkcji przemys-
łowej, 20 proc. polskiego eks-
portu i aż 30 proc. wszystkich
krajowych zanieczyszczeń. Pyły
i różne substancje kłębią się
nie tylko nad Śląskiem, ale tu
jest najgroźniejsza i chyba najgor-
zej w Europie. Apokaliptycz-
ny obraz przedstawia w ty-
godniku „KULTURA” (nr 19)
Jan Dziadul.

„Piloci alarmują, że nad Ślą-
skiem nie ma horyzontu. Kiedy
przylatują z zachodu na pół-
nocy widzą przed sobą barierę
ze spalin, pyłów i gazów. Wi-
dzą kraj za mgłą. Widoczność
spada do kilku kilometrów, a
nad największymi przedsię-
biorstwami do kilkuset me-
trów. Horyzont rozmywa się w
oparach kłębiących się powie-
trza. Powoduje to warstwy in-
wersyjną powstającą na wy-
sokości 2-5 kilometrów i unie-
możliwiająca mieszanie się
powietrza. (...) Przez tę barierę
z trudnością przebiega się sło-
neczne promieniowanie. Na do-
stępnych zdjęciach satelitar-
nych region widoczny jest jak-
by ciemna plama poprzecinana
smugami wydobywającego się
dymu. (...) Aż wierzyc się nie
chce, że w pasie Górnoślą-
skiego Okręgu Przemysłowego
(centrum województwa) nie ma
zakątków, w których nie byłoby
przekroczonych najwyższych dopu-
szczalnych stężeń. W niektórych
miejscach ołowiu nawet 186-
krotnie, rakotwórczego benzo-
apyrenu 60-krotnie, tlenku wę-
gla — 50-krotnie, pyłów — 40-
krotnie, tlenku azotu — 7-kro-
tnie. Unoszące się w powietrzu
zanieczyszczenia są powodem
częstych kwaśnych deszczów,
niezwykle groźnych dla ziemi,
lasów i zdrowia ludzi (badania
prowadzone na Zachodzie, m.
in. w RFN wykryły związki
przyczynowe między takimi o-
padami a śmiercią niemowląt).
Wokół hut metali nieczystych
ziemia ciężka jest od ołowiu i
innych szkodliwych związków
(np. koło huty „Świeciny” z
jednego kilograma ziemi można
wytopić prawie 5 gramów olo-
wu)”.
Wody są tu tak zanieczysz-
czone, że tylko w nielicznych
przypadkach nadają się do ce-
lów przemysłowych. Podobno
w 60 proc. śląskich rzek można
wywoływać filmy. Zdegradowana
jest też ziemia. Jedna piąta
gruntów uprawnych powinna
być natychmiast wyłączona z
użytkowania. Większość ogród-
ków działkowych należałoby
zlikwidować lub przetransfero-
wać na hodowlę kwiatów.

Na temat gospodarki i ochro-
ny środowiska dyskutowano w
redakcji „MIESIĘCZNIKA LI-
TERACKIEGO” (nr 2-3). Na
ważne zjawisko zwrócił uwagę
Andrzej Zioba:

„W 1986 roku zastrzeżono kry-
teria ochronne na niektórych
stanowiskach pracy, np. kobiety
w wieku prokreacyjnym odsu-
nięto od kontaktów z azbestem
czy rtęcią. Jak można się by-
ło spodziewać, protest wy-

szedł... właśnie od nich. Nie
chcieli stracić dodatków pie-
niężnych za pracę w warun-
kach szkodliwych dla zdrowia.
W połowie ubiegłej dekady po-
nad 30-tysięczna załoga Huty
im. Lenina zgłaszała rocznie
tysiąc wypadków przy pracy, ile
mała spółdzielnia. Oczywiście
była to sytuacja tyle absurda-
lna, ile symptomatyczna, świad-
cząca o dwustronnej zgodzie na
nikłą wartość zdrowia, którego
wciąż jeszcze — jak sądzimy
— mamy dużo na zbyciu, pod-
czas gdy pieniądze ciągle za-
mala. Przeważnie mówi się o
kosztach związanych z ochroną
środowiska, o brakach nowo-
czesnych technologii, lecz oso-
biście, dostrzegam głównie kry-
zys zasad, wśród których za-
czyna brakować miejsca na
wartości wyższego rzędu”.

O innych groźnych zjawis-
kach mówi w najnowszym
miesięczniku „KONFRONTA-
CJE” (nr 4) Alfred Miodowicz.
Zapytany przez Jerzego Szcze-
snego, czy apatia i zniechęcenie
nie zdominują dążeń reformator-
skich, przewodniczący OPZZ
stwierdził:

„Jest coś groźnego w nastro-
jach apatii, zniechęcenia i
pewnej rezygnacji, obserwow-
anych w społeczeństwie. Bo
przecież jeżeli te nastroje o-
garniają szerokie kręgi spo-
łeczne, to siła rzeczy unie-
możliwiają, a na pewno znacz-
nie utrudniają, szeroki pro-
gram zamierzeń reformator-
skich. Jeśli w kraju mają na-
stąpić jakieś odczuwalne i w
miarę szybkie zmiany, to lat-
wiej je wprowadzić kiedy ist-
nieje — może nie entuzjazm,
ale o niego dziś bardzo trudno
— ale społeczna wiara w suk-
ces indywidualny i zbiorowy”.

Przyczyną nastrojów zniechę-
cenia jest brak sukcesów obec-
nej polityki ekonomicznej. W
tym ogromne znaczenie ma
nie rozwiązany problem mies-
kaniowy. W 1986 roku odda-
liśmy tyle mieszkań co dwadzie-
ścia lat temu. Alfred Miodowicz
mówi:
„Niedawno prof. Jan Szczę-
pański nudił sytuację mies-
kaniową za najważniejszy
czynnik konfliktogenny. I trud-
no się z nim nie zgodzić, jeśli
około ośmiu milionów Polaków
znajduje się w przedziale wie-
ku między 16 a 29 rokiem ży-
cia. Prof. Szczępański uważa,
że może dojść do gwałtownego
wybuchu, gdyż ta kategoria
wieku dostarcza wszelkim bun-
tom i rewolucjom oddziałów
szturmowych. Obawiam się, że
nasz wybitny socjolog ma ra-
cję. Mieszkalnictwo jest dziś
problemem zerującym. Pamię-
tam słowa zmarłego nie tak
dawno profesora A. Ciborow-
skiego, który twierdził, że sy-
tuacja budownictwa mieska-
niowego sprawia wrażenie ce-
lowych działań zmierzających
do skompromitowania socja-
lizmu”.

W dziejach Polski Ludowej
czynnikiem kryzysogennym sta-
ła się sytuacja w rolnictwie.
Wydałoby się, że w tej dziedzi-
nie wciąż nie może nas zadowalać.
W latach 1983 — 85 produkcja
końcowa netto z hektara wy-
nosiła 40 jednostek zbożowych.
Natomiast Holandia osiągała
151, Dania — 82, Republika Fe-
deralna Niemiec — 78, NRD
— 59, Czechosłowacja — 49,
Szwecja — 44, Finlandia — 41,
Bulgaria — 35. Na produktyw-
ność polskiego rolnictwa wpły-
wa fatalne wyposażenie w śro-
dki produkcji i nielub ich ja-
kość. Tak uważa prof. Jan

Górecki, z którym rozmawia
na łamach „TYGODNIKA
KULTURALNEGO” (nr 20) Jo-
zef Kępka.

„Weźmy choćby ubiegły rok:
około 2,5 mln ton nie dostar-
czonego węgla, 800 tys. hektar-
ów nie zarośniętej ziemi i 300
tys. hektarów nie obsiane zbo-
żami ozimymi z powodu braku
oleju napędowego. Ale jest to
niejako ilościowy aspekt ca-
łej sprawy. W parze z nimi i-
dzie również jakościowy. Uce-
niamy, że efektywność nakła-
dów jest w polskim rolnictwie
o 30 procent mniejsza niż w
rolnictwie krajów zachodnich.
Ze względu na gorszą jakość
środków produkcji, niedosto-
sowanie terminów dostaw do
terminów, w jakich powinny
być użyte, itd.”

Józef Kępka nie zgadza się
z poglądem, że mamy najgor-
szą w Europie strukturę agrar-
ną. Jego zdaniem, można do-
stosować cały system zaopa-
trzenia i ekonomiki do struk-
tury gospodarstwa. W ten spo-
sób postąpił Japończyk.

Od spraw gospodarczych
przechodzę do wyższych pięt
nadbudowy i kultury. W ty-
godniku „PRZEGŁĄD KATO-
LICKI” (nr 18 i 19) ksiądz
prof. Władysław Piwowarski
charakteryzuje religijność Po-
laków. Powołując się na arty-
kuł Stanisława Kwiatkowskie-
go opublikowany w Biuletynie
CBOS, podaje on, że w 1984
roku wśród członków partii
było: 55 proc. wierzących, 18
proc. niezdecydowanych i 27
proc. niewierzących. Praktyko-
wało regularnie 17 proc. i nie-
regularnie 32 proc. Poza tym
34 proc. spełniało tylko naj-
ważniejsze praktyki, a 22 proc.
stanowiło zupełnie niepraktyku-
jący.

W całym społeczeństwie ma-
my około 20 proc. głęboko wie-
rzących i około 70 proc. wie-
rzących oraz ponad 40 proc.
praktykujących systematycznie
i ponad 30 proc. niezsystematycz-
nie. W istnienie Boga, co
ciekawe, wierzy 48 proc. bada-
nych w środowisku wielko-
miejscowym i 80 proc. w średnio-
miejscowym.

Warto pamiętać, że obecnie
mamy ponad 40 wyznań religij-
nych. Jednym z nich jest
Kościół Adwentystów Dnia
Siódemego, który działa w Pol-
sce dokładnie 100 lat. Z tej o-
kazy w tygodniku „RZECZPO-
SPOLITA” (nr 106) ukazała się
rozmowa z pastorem dr. Sta-
nisławem Dąbrowskim. Mówi
on:

„Uniwersalny charakter ad-
wentyzmu — ponad 10 mln
wyznawców w 183 krajach —
nie pozwala na koncepcję wy-
znania opartego tylko na jed-
nym narodzie, kulturze czy ra-
cie. Tak więc nie utożsamiamy
się z jakimkolwiek strukturą
politycznymi czy społec-
nymi. Zgodnie z Chrystusową
wolą — «oddawać co cesarskie
cesarzowi» adwentyści zawsze
uznawali jako fundamentalną
zasadę lojalność wobec rządu i
jego suwerennej władzy. Oczy-
wiście przy zachowaniu formu-
ły niezależności w sprawach
religijnych oraz godności jednostki
i wolności sumienia”.

E. L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Bez bicia w dzwony

Bawienie się w polityczne prorocztwa zakrawa na lekkomyślność, pomimo tego ktoś z nas — nieobojętnych na sprawy publiczne — potrafi powstrzymać się od snucia przewidywań. Owszem, dajmy raz na zawsze spokój woluntarystycznemu określaniu dokładnego terminu prześcignięcia najbogatszych krajów zachodnich w gospodarczym współzawodnictwie lub z triumfalnym proklamowa-
niem nowego etapu „rozwinętego socjalizmu” — wystarczy bo-
wiem jakiś naftowy krach czy odejście „nieomyślnego” przywódcy,
a wszelkie buńczuczne deklaracje biorą w łeb.

Ale przewidywania nie tylko kuszą, lecz stanowią także nakaz
rozdąk, toteż nie odżegnujemy się od pytania, czy polityczne
niepokoje, dochodzące do głosu na tle rozszewranych placówek
przełamały już w poważniejszym stopniu zagrożenie naszej umacniającej
się stabilizacji, czy też każdej chwili może niespodziewanie roz-
lać się fala strajków podmywająca nasz niepewny grunt...

Wydarzenia z przełomu kwietnia i maja, mimo dość dotkli-
wych szkód, jakie wyrządziły niezbyt jeszcze okrzepłej gospodar-
ce zdają się jednak świadczyć o tym, że ogół zatrudnionych, mi-
mo pewnych rozczarowań i zastrzeżeń co do metod zarządzania
i gospodarowania, wiąże swoje bytowe nadzieje z dalszym, ener-
giczniejszym i bardziej konkretnym wprowadzaniem reformy.
Ponadto wolno chyba przypuszczać, że to, czego już w tej mie-
rze dokonano, np. w postaci decentralizacji gospodarki i scedo-
wania wielu uprawnień niżej, ujawniło ludziom ograniczone mo-
żliwości placowych podwyżek, których przekroczenie ponad wzrost
produkcji prowadzić może do plajty przedsiębiorstwa.

Zrozumiano więc dość powszechnie — i jest to chyba przełom
o doniosłym znaczeniu — że drukowanie pieniędzy nie zastąpi po-
praw gospodarki, jednym słowem reforma, nawet w tym zakresie,
w którym została zapoczątkowana, stanowi nieustannie odby-
wającą się lekcję ekonomicznego myślenia, zachęcającą do pracow-
niczej aktywności, niezbędnej dla pomyślnego prosperowania za-
kładu pracy, a w konsekwencji dla możliwości zarobkowych prac-
owników.

Otóż upoważnia to, moim zdaniem, do przewidywań, że dal-
szy rozwój świadomości ekonomicznej i aktywności pracowni-
czej będą zależały od rozmachu i sprawnego funkcjonowania re-
formy, wskutek czego zarówno czysto polityczna agitacja oraz de-
magogia strajkowa będą stopniowo tracić grunt pod nogami.
Stąd chyba desperackie kroki naszych opozycjonistów i polskoję-
zycznych propagandowych mediów.

Ale ten pozytywny proces nie odnosi się zapewne w podo-
bnym stopniu do przedsiębiorstw i instytucji tzw. sfery budżet-
owej, na państwowym lub komunalnym garnuszku, gdzie mo-
żliwości placowe nie są zależne od własnej produkcji dóbr, lecz
od budżetowej dotacji. Wyłączając szkolnictwo czy lecnicztwo,
których zadania są zupełnie specyficzne, a łożone na te dziedziny
środki budżetowe nie są nigdy z punktu widzenia interesu spo-
łecznego „za duże”, lecz z reguły zbyt małe, pozostaje cała ogrom-
na sfera administracyjnego obsługiwanie społeczeństwa.

Tutaj stosunki wewnętrzne między zwierzchnikiem a podwład-
nym nie oparte na wspólnym wypracowywaniu zysku i na roz-
liczaniu z łatwo mierzalnej produktywności, lecz na hierarchicz-
nej zależności, niekiedy na rozgałęzionym łańcuchu zasiedzia-
nych układów, rzutują ujemnie na stosunek do tzw. stron, tj.
interesanta czy klienta. Uproszczenie czy przyspieszenie jego ob-
sługi przez dany urząd zawsze może w konsekwencji postawić pod
złaskiem zapytania istniejący stan zatrudnienia, stosunkowo więc
mało bodźców skłania do sprawnego załatwiania spraw i chyba na
tym podłożu rodzi się opieszałość, bezduszność, niechęć do organi-
zacyjnych, „antybiurokratycznych” usprawnień. Bo przecież trudno
przypuszczać, by do pracy w administracji publicznej i innych
instancjach aparatu władzy garnęli się wyłącznie ludzie o wro-
dzonej pogardzie dla „szarego człowieka”.

Zgadza się z tym, że ciągle duże niebezpieczeństwo dla
powstawania napięć społecznych stanowi zbyt łatwe odradzanie
się postaw zadufania i arogancji oraz ciętostwo i tłumienia re-
zeczowej krytyki, wreszcie też „spiski” w każdej postawie kryty-
cznej, czyli w psuciu krwi ludziom usiłującym gdziekolwiek uży-
skąd co im się należy, przez różnego rodzaju dawców czy dys-
tributorów dóbr, nie tylko materialnych, i dlatego solidaryzuje się
z przestrogą rzecznika rządu przed łatwym „tryumfalizmem”
z powodu zażegnania najwstrętniejszego konfliktu, uważam, że do za-
panowania powszechnej uczynności i uprzejmości droga jeszcze
daleka.

Do tzw. ostrożnego optymizmu upoważnia jednak coraz bar-
dziej rozumne podejście społeczeństwa do złożonej problematyki
społeczno-ekonomicznej, zanikanie zaś postaw prymitywnej emo-
cjonalnych i popersko-romantycznych, które tak często bywały
sprawcami nieobliczalnych następstw. Stajemy się więc całkiem
normalnym społeczeństwem...

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Odgłosów”

— Wiele po dziś dzień zadaje sobie pytanie, jakim cudem
doszło do zawarcia tego paktu. Zdumiał tysiące, zatrzymał milio-
ny. Stał za tym zimny rachunek, podparty sprytnym i chłodnym
realizmem — pisał na temat „paktu Ribbentrop-Mołotow” JAN
BABIŃSKI.

— Życie śpiewaczki jest krótkie. Czego nie zrobiłam 10 lat
temu, już dzisiaj nie zrobię. Ale sądzę, że jakoś marny ślad zosta-
wię po sobie. Zauważ, że tak mało, ale jednocześnie cieszę się, że
choćby tyle — mówi ELŻBIETA PONIAŁOWSKA.

— Janusz Lucki, niespokojny duch z Łodzi, wystawił na próbę
kierownictwo Narodowego Banku Polskiego. Jest to próba szcze-
rości, która wykaże, czy bankowcy są naprawdę za reformą i
konkurencją. Jak na razie, próba ta wypadła negatywnie — re-
portaż ANDRZEJA GERAROWSKIEGO.

— Ryszard Stanisławski, dyrektor łódzkiego Muzeum Sztuki,
laureat nagrody „Odgłosów”, twierdzi, że jego placówka zdolna
jest zarabiać dewizy, lecz nie może (mimo że to jest dozwolone!)
bo nie może otworzyć konta dewizowego — artykuł MARIANA
ZDROJEWSKIEGO.

— Oni zawsze narzekają. A ja nadal twierdzę, że dla uczciwych
i pracowitych wciąż jest otwarta droga. A świadcy o tym naj-
lepiej stały rozwój sektora prywatnego. Niech pan zgadnie, ile
już mamy w Łodzi i województwie prywatnych firm w handlu,
rzemiołstwie i usługach? Działają już 27 600 firm, a 1600 przybyło
w 1987 roku — mówi wicedyrektor Izby Skarbowej w Łodzi LECH
MALAG.

Jak się mam zwracać do pana? Jest pan oficerem Wojska Polskiego w stopniu podpułkownika, lekarzem, poetą, społecznikiem, będzie pan kandydował na radnego do Dzielnicy Rady Narodowej Łódź-Sródmieście...

— Proszę się zwracać tak, jak to robią wszyscy: panie doktorze.

— A zatem, panie doktorze, zajmuje się pan teoretyczną i praktyczną stroną choroby, zwanej powszechnie uczuleniem. Czy rzeczywiście mieszkańcy w mieście, które sprzyja tego typu zachorowaniom?

— To, co powiem, wzbudzi mieszane uczucia u Czytelników, nie wszyscy się z tym zgodzą, zresztą może ja nie mam racji, ale wydało mi się, że nie można wszystkiego tłumaczyć „uczuleniem na Łódź”. To byłoby za łatwe. Należałoby odpowiedzieć na pytanie: na co konkretnie w Łodzi jesteśmy uczuleni?

Nie mam programu, ale będę słuchał uważnie tego, co mi powiedzą moi przyszli wyborcy.

Nie bójmy się mieszkać w Łodzi

Rozmowa z ppłk dr n. med. KRZYSZTOFEM BUCZYŁKĄ — adiunktem Kliniki Otolaryngologicznej Instytutu Chirurgii Wojskowej Akademii Medycznej w Łodzi.



Foto: Grzegorz Gałasiński

— A na co, panie doktorze?

— Zanim odpowiem, chcę powiedzieć, że prowadzę wielospecjalistyczne poradnie alergologiczną w Szpitalu Klinicznym WAM, do której to wojskowej poradni zlecają pacjenci z różnych miast Polski, zarówno z wielkich metropolii typu Szczecin czy Katowice, jak i z zielonych garnizonów.

I często słyszę: panie doktorze — żali się matka dziecka — niech pan napisze mi, że ta choroba, która pan tu stwierdził, jest związana z fatalnym mokrym szczecińskim powietrzem znad Zalewu i zaznaczy, że powinniśmy przenieść się do Łodzi. Inna matka mówi do mnie tak: panie doktorze, flekroć jestem w Łodzi u swojej mamy, czuję się świetnie, natomiast gdy wracam do miasteczka N. położonego wśród lasów i tak, czuję się fatalnie.

Inną przesłanką, skłaniającą do zaprzeczenia roli alergii w Łodzi, był mój udział w symposium aerobiologii w Bazylei, gdzie kilkunastu obradcy byli poświęcone uczuleniu w miejscu zamieszkania. Otóż ważniejsze od środowiska zewnętrznego jest środowisko wewnętrzne naszych mieszkań.

Najczęściej oskarżamy łódzką przemysł, że zanieczyszcza środowisko mieszkańców Płocka natomiast — swoją „Petrochemię” a w ogóle to generalnie oskarża się cywilizację. Tymczasem w mojej pracowni najczęściej obserwujemy uczulenia na pierze, na kurz, na mleko, na jaja. I to tym większe, im bardziej jest to oryginalne i świeże. Dzieci wywołane do Rabki w najbliższym mieście czyli w czerwcu, wracają do domu sanitarka w stanie astmatycznym. Dlaczego? Bo wysłano je tam, gdzie jest pełno pyłków kwiatowych. Zdarzyła się rzecz niesamowita: myśmły się tak zaadaptowały do współczesnej cywilizacji, że szkoda nam czyste powietrze.

trze i świeże potrawy. Na 100 uczuleń, 50 jest uczuleniem na zapach kwiatów i pyłki 30 na kurz domowy i żyłace w nim roztozsa. Ponadto występuje uczulenie na piśnie. Sam mieszkam na łódzkim „Manhattanie” i w pokoju córki rośnie piśnie. Jest ona silnie uczulająca. A więc takie różne zagrożenia występujące w konkretnym mieszkaniu, są tym faktycznym czynnikiem uczulającym i łatwiejsza jest twierdzenie, że ktoś jest „uczulony na Łódź”. Oczywiście zdarzają się przypadki, że ktoś pracujący w fabryce wełnianej po kilku tam latach zaczyna odczuwać wysypkę czy duszność lub fuzierka nagle zaczyna być uczulona na ludzkie włosy itp. Są to alergię zawodowe.

— Stąd wniosek, że zamiast biegać do lekarzy, należy dokładnie i często sprzątać nasze mieszkania.

— Nie sposób doradzić wszystkim łodzianom. Jako lekarz podchodzi do każdego pacjenta indywidualnie, bo każdy

takiemu artyści można obeić się bez leków i nie ma narastania choroby. Tak więc nie można twierdzić, że istnieje uczulenie na Łódź, ale należy zbadać, co jest uczuleniem dla niego. Na Zachodzie niektórzy lekarze twierdzą, że co drugi Europejczyk przynajmniej raz w życiu przeżył „epizod alergiczny”: a to na proszek do prania, a to na jakiś kosmetyk, a to na jakiś pokarm, a to na jakiś lek. Zatem alergię jest powszechną chorobą.

— Na co jeszcze, poza pyłkami kwiatów, łodzianie są uczuleni?

— Łódź jest miastem starych domów. Te stare domy, z wielką ilością elementów drewnianych, ulegały procesowi niszczenia. Jednym z czynników starzenia się domów jest pleśń, grzyby domowe a także roztozsa. W domach żyją także karaluchy i prusaki. Otóż wszystkie to powoduje bardzo silne uczulenie dla człowieka.

— To znaczy, że wystarczy dokładnie sprzątać mieszkania,

związanych ze zwalczaniem, czy może właściwiej będzie jeśli powiem, że leczeniem alergii, oprócz pisania rozpraw naukowych, zajmuje się pan także działalnością społeczną. Niedawno został pan kandydatem do Dzielnicy Rady Narodowej Łódź-Sródmieście. Co pan proponuje swoim wyborcom?

— Nie mam programu wyborczego. Będę uczestniczył w szeregu spotkań i posucham, co powiedzą moi potencjalni wyborcy. Ja chcę stworzyć swój program z problemów, którymi żyją ludzie. I będę — jeśli zostanę radnym — za tym stać murem. Natomiast ze spraw, które mnie od dawna interesują: chciałbym stworzyć w Łodzi miejską poradnię alergologiczną, jak to ma miejsce w Krakowie, Gdańsku czy w Warszawie. A także placówkę jest miastu bardzo potrzebną. Może winna ona powstać w Szpitalu Centrum Zdrowia Matki Polki, może gdy już ten szpital ruszy udałoby się także przychodnię usytuować w którymś z zwolnionych budynków służby zdrowia? Leczenie bowiem alergii tylko ciekawostką, tylko nosową, tylko skórnej jest zbyt wąskim zacięciem problemu. Alergologowie powinni widzieć chorobę w całości. Na placówkę alergologii spotyka się medycyna wielozadaniowa: okazuje się, że musi się porozumieć okulista z laryngologiem, internista z gastrologiem, dermatolog z neurologiem, bowiem u przyszłowiego pana Zielińskiego wszystkie te objawy występowały po spożyciu szklanki mleka. A w strukturze ZOZ nie ma takiej możliwości, by panem Zielińskim zajęli się od razu wszyscy wymienieni przez mnie specjaliści.

— Nie mogę darować sobie pytania dotyczącego bliskiej mi dziedziny, a mianowicie twórczości literackiej. Jest pan bowiem członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, a także Stowarzyszenia Autorów Polskich. W przeszłości był pan kierownikiem Studenckiego Teatru „Verbum”, a także założycielem i kierownikiem kabaretu „Zielony Bocian”. Jest pan poetą, a w Wydawnictwie Łódzkim złożył pan swój pierwszy tomik poetycki pt. „Dorastanie”. I choć wydawałoby się, że medycyna i poezja są pasjami dość odległymi od siebie, pan je jednak łączył. Jak to się panu udało?

— Poeta się nie jest, poeta się bywa, jak powiedział jeden z naszych klasyków. Kiedy byłem wysoko w Alpach, w Davos i stojąc na tarasie kontemplowałem widok wspaniałych gór, nagle, mnie nagle dławiała nostalgia. I wówczas powstało kilka wierszy. Innym razem, zresztą nie tak dawno, gdy znalazłem się na żydowskim kirkucie na południu Polski, także musiałem swoje przeżycia przełożyć na papier. Często, gdy przeżywałem los któregoś z pacjentów, gdy kończył ciężki dyżur, czasem po jakimś zabiegu operacyjnym gdy zostawał sam, gdy opadał ze zmęczenia, wówczas zdarzało się, że muszę czasem zwrócić swoje przemyślenia, swoją fascynację czy przeżycie, odczucie, wrażenie w wierszu...

— Opublikował pan ponad 80 prac naukowych w kraju i za granicą. A jak jest z poezją?

— Chce odpowiedzieć na to pytanie nieco przewrotnie: za poszczególne swoje prace naukowe otrzymywałem, powiedziałem, jakieś 1.500 złotych, natomiast za opublikowanie kilku wierszy otrzymuję się dużo więcej...

— Teraz ja powołam się na klasykę naszej literatury, którą twierdzi, że jedynie grafomania pisać dla sławy, prawdziwy poeta pisze dla pieniędzy. Jednak pozostawiając ton żartobliwy, twierdzi, że proces twórczy, a w przypadku poezji w szczególności, wymaga zaangażowania wszystkich pokładów intelektu i serca.

— Zapewne tak jest, nie jestem teoretykiem literatury, jednak twierdząc, że praca naukowa jest to także praca twórcza i może być bardzo, ale to bardzo pasjonująca.

— Dziękując za rozmowę, życząc nie tylko trafnych diagnoz lekarskich, ale i danego startu w nadchodzących wyborach, a także wielu wspaniałych wierszy.

związanych ze zwalczaniem, czy może właściwiej będzie jeśli powiem, że leczeniem alergii, oprócz pisania rozpraw naukowych, zajmuje się pan także działalnością społeczną. Niedawno został pan kandydatem do Dzielnicy Rady Narodowej Łódź-Sródmieście. Co pan proponuje swoim wyborcom?

— Nie mam programu wyborczego. Będę uczestniczył w szeregu spotkań i posucham, co powiedzą moi potencjalni wyborcy. Ja chcę stworzyć swój program z problemów, którymi żyją ludzie. I będę — jeśli zostanę radnym — za tym stać murem. Natomiast ze spraw, które mnie od dawna interesują: chciałbym stworzyć w Łodzi miejską poradnię alergologiczną, jak to ma miejsce w Krakowie, Gdańsku czy w Warszawie. A także placówkę jest miastu bardzo potrzebną. Może winna ona powstać w Szpitalu Centrum Zdrowia Matki Polki, może gdy już ten szpital ruszy udałoby się także przychodnię usytuować w którymś z zwolnionych budynków służby zdrowia? Leczenie bowiem alergii tylko ciekawostką, tylko nosową, tylko skórnej jest zbyt wąskim zacięciem problemu. Alergologowie powinni widzieć chorobę w całości. Na placówkę alergologii spotyka się medycyna wielozadaniowa: okazuje się, że musi się porozumieć okulista z laryngologiem, internista z gastrologiem, dermatolog z neurologiem, bowiem u przyszłowiego pana Zielińskiego wszystkie te objawy występowały po spożyciu szklanki mleka. A w strukturze ZOZ nie ma takiej możliwości, by panem Zielińskim zajęli się od razu wszyscy wymienieni przez mnie specjaliści.

— Nie mogę darować sobie pytania dotyczącego bliskiej mi dziedziny, a mianowicie twórczości literackiej. Jest pan bowiem członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, a także Stowarzyszenia Autorów Polskich. W przeszłości był pan kierownikiem Studenckiego Teatru „Verbum”, a także założycielem i kierownikiem kabaretu „Zielony Bocian”. Jest pan poetą, a w Wydawnictwie Łódzkim złożył pan swój pierwszy tomik poetycki pt. „Dorastanie”. I choć wydawałoby się, że medycyna i poezja są pasjami dość odległymi od siebie, pan je jednak łączył. Jak to się panu udało?

— Poeta się nie jest, poeta się bywa, jak powiedział jeden z naszych klasyków. Kiedy byłem wysoko w Alpach, w Davos i stojąc na tarasie kontemplowałem widok wspaniałych gór, nagle, mnie nagle dławiała nostalgia. I wówczas powstało kilka wierszy. Innym razem, zresztą nie tak dawno, gdy znalazłem się na żydowskim kirkucie na południu Polski, także musiałem swoje przeżycia przełożyć na papier. Często, gdy przeżywałem los któregoś z pacjentów, gdy kończył ciężki dyżur, czasem po jakimś zabiegu operacyjnym gdy zostawał sam, gdy opadał ze zmęczenia, wówczas zdarzało się, że muszę czasem zwrócić swoje przemyślenia, swoją fascynację czy przeżycie, odczucie, wrażenie w wierszu...

— Opublikował pan ponad 80 prac naukowych w kraju i za granicą. A jak jest z poezją?

— Chce odpowiedzieć na to pytanie nieco przewrotnie: za poszczególne swoje prace naukowe otrzymywałem, powiedziałem, jakieś 1.500 złotych, natomiast za opublikowanie kilku wierszy otrzymuję się dużo więcej...

— Teraz ja powołam się na klasykę naszej literatury, którą twierdzi, że jedynie grafomania pisać dla sławy, prawdziwy poeta pisze dla pieniędzy. Jednak pozostawiając ton żartobliwy, twierdzi, że proces twórczy, a w przypadku poezji w szczególności, wymaga zaangażowania wszystkich pokładów intelektu i serca.

— Zapewne tak jest, nie jestem teoretykiem literatury, jednak twierdząc, że praca naukowa jest to także praca twórcza i może być bardzo, ale to bardzo pasjonująca.

— Dziękując za rozmowę, życząc nie tylko trafnych diagnoz lekarskich, ale i danego startu w nadchodzących wyborach, a także wielu wspaniałych wierszy.

— Nie mogę darować sobie pytania dotyczącego bliskiej mi dziedziny, a mianowicie twórczości literackiej. Jest pan bowiem członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, a także Stowarzyszenia Autorów Polskich. W przeszłości był pan kierownikiem Studenckiego Teatru „Verbum”, a także założycielem i kierownikiem kabaretu „Zielony Bocian”. Jest pan poetą, a w Wydawnictwie Łódzkim złożył pan swój pierwszy tomik poetycki pt. „Dorastanie”. I choć wydawałoby się, że medycyna i poezja są pasjami dość odległymi od siebie, pan je jednak łączył. Jak to się panu udało?

— Poeta się nie jest, poeta się bywa, jak powiedział jeden z naszych klasyków. Kiedy byłem wysoko w Alpach, w Davos i stojąc na tarasie kontemplowałem widok wspaniałych gór, nagle, mnie nagle dławiała nostalgia. I wówczas powstało kilka wierszy. Innym razem, zresztą nie tak dawno, gdy znalazłem się na żydowskim kirkucie na południu Polski, także musiałem swoje przeżycia przełożyć na papier. Często, gdy przeżywałem los któregoś z pacjentów, gdy kończył ciężki dyżur, czasem po jakimś zabiegu operacyjnym gdy zostawał sam, gdy opadał ze zmęczenia, wówczas zdarzało się, że muszę czasem zwrócić swoje przemyślenia, swoją fascynację czy przeżycie, odczucie, wrażenie w wierszu...

— Opublikował pan ponad 80 prac naukowych w kraju i za granicą. A jak jest z poezją?

— Chce odpowiedzieć na to pytanie nieco przewrotnie: za poszczególne swoje prace naukowe otrzymywałem, powiedziałem, jakieś 1.500 złotych, natomiast za opublikowanie kilku wierszy otrzymuję się dużo więcej...

— Teraz ja powołam się na klasykę naszej literatury, którą twierdzi, że jedynie grafomania pisać dla sławy, prawdziwy poeta pisze dla pieniędzy. Jednak pozostawiając ton żartobliwy, twierdzi, że proces twórczy, a w przypadku poezji w szczególności, wymaga zaangażowania wszystkich pokładów intelektu i serca.

— Zapewne tak jest, nie jestem teoretykiem literatury, jednak twierdząc, że praca naukowa jest to także praca twórcza i może być bardzo, ale to bardzo pasjonująca.

— Dziękując za rozmowę, życząc nie tylko trafnych diagnoz lekarskich, ale i danego startu w nadchodzących wyborach, a także wielu wspaniałych wierszy.

— Nie mogę darować sobie pytania dotyczącego bliskiej mi dziedziny, a mianowicie twórczości literackiej. Jest pan bowiem członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, a także Stowarzyszenia Autorów Polskich. W przeszłości był pan kierownikiem Studenckiego Teatru „Verbum”, a także założycielem i kierownikiem kabaretu „Zielony Bocian”. Jest pan poetą, a w Wydawnictwie Łódzkim złożył pan swój pierwszy tomik poetycki pt. „Dorastanie”. I choć wydawałoby się, że medycyna i poezja są pasjami dość odległymi od siebie, pan je jednak łączył. Jak to się panu udało?

— Poeta się nie jest, poeta się bywa, jak powiedział jeden z naszych klasyków. Kiedy byłem wysoko w Alpach, w Davos i stojąc na tarasie kontemplowałem widok wspaniałych gór, nagle, mnie nagle dławiała nostalgia. I wówczas powstało kilka wierszy. Innym razem, zresztą nie tak dawno, gdy znalazłem się na żydowskim kirkucie na południu Polski, także musiałem swoje przeżycia przełożyć na papier. Często, gdy przeżywałem los któregoś z pacjentów, gdy kończył ciężki dyżur, czasem po jakimś zabiegu operacyjnym gdy zostawał sam, gdy opadał ze zmęczenia, wówczas zdarzało się, że muszę czasem zwrócić swoje przemyślenia, swoją fascynację czy przeżycie, odczucie, wrażenie w wierszu...

— Opublikował pan ponad 80 prac naukowych w kraju i za granicą. A jak jest z poezją?

— Chce odpowiedzieć na to pytanie nieco przewrotnie: za poszczególne swoje prace naukowe otrzymywałem, powiedziałem, jakieś 1.500 złotych, natomiast za opublikowanie kilku wierszy otrzymuję się dużo więcej...

— Teraz ja powołam się na klasykę naszej literatury, którą twierdzi, że jedynie grafomania pisać dla sławy, prawdziwy poeta pisze dla pieniędzy. Jednak pozostawiając ton żartobliwy, twierdzi, że proces twórczy, a w przypadku poezji w szczególności, wymaga zaangażowania wszystkich pokładów intelektu i serca.

— Zapewne tak jest, nie jestem teoretykiem literatury, jednak twierdząc, że praca naukowa jest to także praca twórcza i może być bardzo, ale to bardzo pasjonująca.

— Dziękując za rozmowę, życząc nie tylko trafnych diagnoz lekarskich, ale i danego startu w nadchodzących wyborach, a także wielu wspaniałych wierszy.

— Nie mogę darować sobie pytania dotyczącego bliskiej mi dziedziny, a mianowicie twórczości literackiej. Jest pan bowiem członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, a także Stowarzyszenia Autorów Polskich. W przeszłości był pan kierownikiem Studenckiego Teatru „Verbum”, a także założycielem i kierownikiem kabaretu „Zielony Bocian”. Jest pan poetą, a w Wydawnictwie Łódzkim złożył pan swój pierwszy tomik poetycki pt. „Dorastanie”. I choć wydawałoby się, że medycyna i poezja są pasjami dość odległymi od siebie, pan je jednak łączył. Jak to się panu udało?

— Poeta się nie jest, poeta się bywa, jak powiedział jeden z naszych klasyków. Kiedy byłem wysoko w Alpach, w Davos i stojąc na tarasie kontemplowałem widok wspaniałych gór, nagle, mnie nagle dławiała nostalgia. I wówczas powstało kilka wierszy. Innym razem, zresztą nie tak dawno, gdy znalazłem się na żydowskim kirkucie na południu Polski, także musiałem swoje przeżycia przełożyć na papier. Często, gdy przeżywałem los któregoś z pacjentów, gdy kończył ciężki dyżur, czasem po jakimś zabiegu operacyjnym gdy zostawał sam, gdy opadał ze zmęczenia, wówczas zdarzało się, że muszę czasem zwrócić swoje przemyślenia, swoją fascynację czy przeżycie, odczucie, wrażenie w wierszu...

— Opublikował pan ponad 80 prac naukowych w kraju i za granicą. A jak jest z poezją?

— Chce odpowiedzieć na to pytanie nieco przewrotnie: za poszczególne swoje prace naukowe otrzymywałem, powiedziałem, jakieś 1.500 złotych, natomiast za opublikowanie kilku wierszy otrzymuję się dużo więcej...

— Teraz ja powołam się na klasykę naszej literatury, którą twierdzi, że jedynie grafomania pisać dla sławy, prawdziwy poeta pisze dla pieniędzy. Jednak pozostawiając ton żartobliwy, twierdzi, że proces twórczy, a w przypadku poezji w szczególności, wymaga zaangażowania wszystkich pokładów intelektu i serca.

— Zapewne tak jest, nie jestem teoretykiem literatury, jednak twierdząc, że praca naukowa jest to także praca twórcza i może być bardzo, ale to bardzo pasjonująca.

— Dziękując za rozmowę, życząc nie tylko trafnych diagnoz lekarskich, ale i danego startu w nadchodzących wyborach, a także wielu wspaniałych wierszy.

— Nie mogę darować sobie pytania dotyczącego bliskiej mi dziedziny, a mianowicie twórczości literackiej. Jest pan bowiem członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, a także Stowarzyszenia Autorów Polskich. W przeszłości był pan kierownikiem Studenckiego Teatru „Verbum”, a także założycielem i kierownikiem kabaretu „Zielony Bocian”. Jest pan poetą, a w Wydawnictwie Łódzkim złożył pan swój pierwszy tomik poetycki pt. „Dorastanie”. I choć wydawałoby się, że medycyna i poezja są pasjami dość odległymi od siebie, pan je jednak łączył. Jak to się panu udało?

— Poeta się nie jest, poeta się bywa, jak powiedział jeden z naszych klasyków. Kiedy byłem wysoko w Alpach, w Davos i stojąc na tarasie kontemplowałem widok wspaniałych gór, nagle, mnie nagle dławiała nostalgia. I wówczas powstało kilka wierszy. Innym razem, zresztą nie tak dawno, gdy znalazłem się na żydowskim kirkucie na południu Polski, także musiałem swoje przeżycia przełożyć na papier. Często, gdy przeżywałem los któregoś z pacjentów, gdy kończył ciężki dyżur, czasem po jakimś zabiegu operacyjnym gdy zostawał sam, gdy opadał ze zmęczenia, wówczas zdarzało się, że muszę czasem zwrócić swoje przemyślenia, swoją fascynację czy przeżycie, odczucie, wrażenie w wierszu...

— Opublikował pan ponad 80 prac naukowych w kraju i za granicą. A jak jest z poezją?

— Chce odpowiedzieć na to pytanie nieco przewrotnie: za poszczególne swoje prace naukowe otrzymywałem, powiedziałem, jakieś 1.500 złotych, natomiast za opublikowanie kilku wierszy otrzymuję się dużo więcej...

— Teraz ja powołam się na klasykę naszej literatury, którą twierdzi, że jedynie grafomania pisać dla sławy, prawdziwy poeta pisze dla pieniędzy. Jednak pozostawiając ton żartobliwy, twierdzi, że proces twórczy, a w przypadku poezji w szczególności, wymaga zaangażowania wszystkich pokładów intelektu i serca.

— Zapewne tak jest, nie jestem teoretykiem literatury, jednak twierdząc, że praca naukowa jest to także praca twórcza i może być bardzo, ale to bardzo pasjonująca.

— Dziękując za rozmowę, życząc nie tylko trafnych diagnoz lekarskich, ale i danego startu w nadchodzących wyborach, a także wielu wspaniałych wierszy.

— Nie mogę darować sobie pytania dotyczącego bliskiej mi dziedziny, a mianowicie twórczości literackiej. Jest pan bowiem członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, a także Stowarzyszenia Autorów Polskich. W przeszłości był pan kierownikiem Studenckiego Teatru „Verbum”, a także założycielem i kierownikiem kabaretu „Zielony Bocian”. Jest pan poetą, a w Wydawnictwie Łódzkim złożył pan swój pierwszy tomik poetycki pt. „Dorastanie”. I choć wydawałoby się, że medycyna i poezja są pasjami dość odległymi od siebie, pan je jednak łączył. Jak to się panu udało?

— Poeta się nie jest, poeta się bywa, jak powiedział jeden z naszych klasyków. Kiedy byłem wysoko w Alpach, w Davos i stojąc na tarasie kontemplowałem widok wspaniałych gór, nagle, mnie nagle dławiała nostalgia. I wówczas powstało kilka wierszy. Innym razem, zresztą nie tak dawno, gdy znalazłem się na żydowskim kirkucie na południu Polski, także musiałem swoje przeżycia przełożyć na papier. Często, gdy przeżywałem los któregoś z pacjentów, gdy kończył ciężki dyżur, czasem po jakimś zabiegu operacyjnym gdy zostawał sam, gdy opadał ze zmęczenia, wówczas zdarzało się, że muszę czasem zwrócić swoje przemyślenia, swoją fascynację czy przeżycie, odczucie, wrażenie w wierszu...

— Opublikował pan ponad 80 prac naukowych w kraju i za granicą. A jak jest z poezją?

— Chce odpowiedzieć na to pytanie nieco przewrotnie: za poszczególne swoje prace naukowe otrzymywałem, powiedziałem, jakieś 1.500 złotych, natomiast za opublikowanie kilku wierszy otrzymuję się dużo więcej...

— Teraz ja powołam się na klasykę naszej literatury, którą twierdzi, że jedynie grafomania pisać dla sławy, prawdziwy poeta pisze dla pieniędzy. Jednak pozostawiając ton żartobliwy, twierdzi, że proces twórczy, a w przypadku poezji w szczególności, wymaga zaangażowania wszystkich pokładów intelektu i serca.

— Zapewne tak jest, nie jestem teoretykiem literatury, jednak twierdząc, że praca naukowa jest to także praca twórcza i może być bardzo, ale to bardzo pasjonująca.

— Dziękując za rozmowę, życząc nie tylko trafnych diagnoz lekarskich, ale i danego startu w nadchodzących wyborach, a także wielu wspaniałych wierszy.

— Nie mogę darować sobie pytania dotyczącego bliskiej mi dziedziny, a mianowicie twórczości literackiej. Jest pan bowiem członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, a także Stowarzyszenia Autorów Polskich. W przeszłości był pan kierownikiem Studenckiego Teatru „Verbum”, a także założycielem i kierownikiem kabaretu „Zielony Bocian”. Jest pan poetą, a w Wydawnictwie Łódzkim złożył pan swój pierwszy tomik poetycki pt. „Dorastanie”. I choć wydawałoby się, że medycyna i poezja są pasjami dość odległymi od siebie, pan je jednak łączył. Jak to się panu udało?

— Poeta się nie jest, poeta się bywa, jak powiedział jeden z naszych klasyków. Kiedy byłem wysoko w Alpach, w Davos i stojąc na tarasie kontemplowałem widok wspaniałych gór, nagle, mnie nagle dławiała nostalgia. I wówczas powstało kilka wierszy. Innym razem, zresztą nie tak dawno, gdy znalazłem się na żydowskim kirkucie na południu Polski, także musiałem swoje przeżycia przełożyć na papier. Często, gdy przeżywałem los któregoś z pacjentów, gdy kończył ciężki dyżur, czasem po jakimś zabiegu operacyjnym gdy zostawał sam, gdy opadał ze zmęczenia, wówczas zdarzało się, że muszę czasem zwrócić swoje przemyślenia, swoją fascynację czy przeżycie, odczucie, wrażenie w wierszu...

— Opublikował pan ponad 80 prac naukowych w kraju i za granicą. A jak jest z poezją?

— Chce odpowiedzieć na to pytanie nieco przewrotnie: za poszczególne swoje prace naukowe otrzymywałem, powiedziałem, jakieś 1.500 złotych, natomiast za opublikowanie kilku wierszy otrzymuję się dużo więcej...

— Teraz ja powołam się na klasykę naszej literatury, którą twierdzi, że jedynie grafomania pisać dla sławy, prawdziwy poeta pisze dla pieniędzy. Jednak pozostawiając ton żartobliwy, twierdzi, że proces twórczy, a w przypadku poezji w szczególności, wymaga zaangażowania wszystkich pokładów intelektu i serca.

— Zapewne tak jest, nie jestem teoretykiem literatury, jednak twierdząc, że praca naukowa jest to także praca twórcza i może być bardzo, ale to bardzo pasjonująca.

— Dziękując za rozmowę, życząc nie tylko trafnych diagnoz lekarskich, ale i danego startu w nadchodzących wyborach, a także wielu wspaniałych wierszy.

— Nie mogę darować sobie pytania dotyczącego bliskiej mi dziedziny, a mianowicie twórczości literackiej. Jest pan bowiem członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, a także Stowarzyszenia Autorów Polskich. W przeszłości był pan kierownikiem Studenckiego Teatru „Verbum”, a także założycielem i kierownikiem kabaretu „Zielony Bocian”. Jest pan poetą, a w Wydawnictwie Łódzkim złożył pan swój pierwszy tomik poetycki pt. „Dorastanie”. I choć wydawałoby się, że medycyna i poezja są pasjami dość odległymi od siebie, pan je jednak łączył. Jak to się panu udało?

— Poeta się nie jest, poeta się bywa, jak powiedział jeden z naszych klasyków. Kiedy byłem wysoko w Alpach, w Davos i stojąc na tarasie kontemplowałem widok wspaniałych gór, nagle, mnie nagle dławiała nostalgia. I wówczas powstało kilka wierszy. Innym razem, zresztą nie tak dawno, gdy znalazłem się na żydowskim kirkucie na południu Polski, także musiałem swoje przeżycia przełożyć na papier. Często, gdy przeżywałem los któregoś z pacjentów, gdy kończył ciężki dyżur, czasem po jakimś zabiegu operacyjnym gdy zostawał sam, gdy opadał ze zmęczenia, wówczas zdarzało się, że muszę czasem zwrócić swoje przemyślenia, swoją fascynację czy przeżycie, odczucie, wrażenie w wierszu...

— Opublikował pan ponad 80 prac naukowych w kraju i za granicą. A jak jest z poezją?

— Chce odpowiedzieć na to pytanie nieco przewrotnie: za poszczególne swoje prace naukowe otrzymywałem, powiedziałem, jakieś 1.500 złotych, natomiast za opublikowanie kilku wierszy otrzymuję się dużo więcej...

— Teraz ja powołam się na klasykę naszej literatury, którą twierdzi, że jedynie grafomania pisać dla sławy, prawdziwy poeta pisze dla pieniędzy. Jednak pozostawiając ton żartobliwy, twierdzi, że proces twórczy, a w przypadku poezji w szczególności, wymaga zaangażowania wszystkich pokładów intelektu i serca.

— Zapewne tak jest, nie jestem teoretykiem literatury, jednak twierdząc, że praca naukowa jest to także praca twórcza i może być bardzo, ale to bardzo pasjonująca.

— Dziękując za rozmowę, życząc nie tylko trafnych diagnoz lekarskich, ale i danego startu w nadchodzących wyborach, a także wielu wspaniałych wierszy.

— Nie mogę darować sobie pytania dotyczącego bliskiej mi dziedziny, a mianowicie twórczości literackiej. Jest pan bowiem członkiem Unii Polskich Pisarzy Lekarzy, a także Stowarzyszenia Autorów Polskich. W przeszłości był pan kierownikiem Studenckiego Teatru „Verbum”, a także założycielem i kierownikiem kabaretu „Zielony Bocian”. Jest pan poetą, a w Wydawnictwie Łódzkim złożył pan swój pierwszy tomik poetycki pt. „Dorastanie”. I choć wydawałoby się, że medycyna i poezja są pasjami dość odległymi od siebie, pan je jednak łączył. Jak to się panu udało?

— Poeta się nie jest, poeta się bywa, jak powiedział jeden z naszych klasyków. Kiedy byłem wysoko w Alpach, w Davos i stojąc na tarasie kontemplowałem widok wspaniałych gór, nagle, mnie nagle dławiała nostalgia. I wówczas powstało kilka wierszy. Innym razem, zresztą nie tak dawno, gdy znalazłem się na żydowskim kirkucie na południu Polski, także musiałem swoje przeżycia przełożyć na papier. Często, gdy przeżywałem los któregoś z pacjentów, gdy kończył ciężki dyżur, czasem po jakimś zabiegu operacyjnym gdy zostawał sam, gdy opadał ze zmęczenia, wówczas zdarzało się, że muszę czasem zwrócić swoje przemyślenia, swoją fascynację czy przeżycie, odczucie, wrażenie w wierszu...

— Opublikował pan ponad 80 prac naukowych w kraju i za granicą. A jak jest z poezją?

— Chce odpowiedzieć na to pytanie nieco przewrotnie: za poszczególne swoje prace naukowe otrzymywałem, powiedziałem, jakieś 1.500 złotych, natomiast za opublikowanie kilku wierszy otrzymuję się dużo więcej...

— Teraz ja powołam się na klasykę naszej literatury, którą twierdzi, że jedynie grafomania pisać dla sławy, prawdziwy poeta pisze dla pieniędzy. Jednak pozostawiając ton żartobliwy, twierdzi, że proces twórczy, a w przypadku poezji w szczególności, wymaga zaangażowania wszystkich pokładów intelektu i serca.

— Zapewne tak jest, nie jestem teoretykiem literatury, jednak twierdząc, że praca naukowa jest to także praca twórcza i może być bardzo, ale to bardzo pasjonująca.

— Dziękując za rozmowę, życząc nie tylko trafnych diagnoz lekarskich, ale i danego startu w nadchodzących wyborach, a także wielu wspaniałych wierszy.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Z tej ziemi

Wiemy, jak zrobić piękny trawnik, ale...

Opowiem na początek starą anegdotę. Pewien młodzieniec zwiedzając Anglię dziwił się pięknu tamtejszych trawników, po których dikt nie zabraniał biegać, bawić się i wylegiwać.

— Jak wy to robicie? — pytał dociekliwy młodzieniec.

— O, to bardzo proste — odpowiedzieli grzeczni gospodarze. — Wystarczy regularnie podlewać i strzyć.

— Nie w tym trudnego, a przecież nie wszystkim to się udaje.

— No tak — dodali jakby z zażenowaniem gospodarze — ale u nas tak postępuje się od paru setek lat.

Dociekliwy młodzieniec wrócił do kraju i wszystkim — kto chciał, czy nie — opowiedział o tym, jak się robi trawa i piękne trawniki. Ale trawniki nadal mamy liche, wylądane, wysypane i wydeptane. Zresztą nie dbamy nie tylko o trawniki, ale o zupełnie inny temat.

Tak więc mamy wiedzę, ale nie mamy praktyki. Wiemy, że systematyczność i regularność w postępowaniu są podstawą trwałości, ale ciągle coś zmieniamy. Na przykład prawo. Wiemy, że silne państwo musi się opierać na dobrym, precyzyjnym i czytelnym prawie, ale prawo mamy — w rozumieniu sumy przepisów, zarządzeń i postanowień — rozbuchane, rozbudowane i niekiedy wewnętrznie sprzeczne. Prowadzi się więc działalność legislacyjną, która ma spowodować, aby prawo w Polsce było jasne, wyraźne, czytelne i aby nie było go w nadmiarze. Tylko tyle, ile potrzeba do sprawnego zarządzania wszystkimi dziedzinami życia.

Niedawno, bo 28 marca 1988 roku Rada Ministrów podjęła uchwałę nr 55, która zawiera program prac legislacyjnych do 1990 roku. Otóż postanowiono znowelizować 4 kodeksy: morski, prawa cywilnego i postępowania cywilnego, prawa karnego i postępowania karnego oraz postępowania karnego wykonawczego i wreszcie kodeks wykroczeń i postępowania w sprawach o wykroczenia. Zaprogramowano 19 regulacji ustawowych, w 28 wypadkach nowe ustawy zastąpią dotychczasowe oraz dokona się nowelizacji 31 ustaw.

Nie twierdząc, że praca ta jest zbędna. Na przykład niezbędne jest prawo autorskie w nowej — odpowiadającej obecnym warunkom — wersji. Podobnie oczekiwana jest nowa wersja prawa o stowarzyszeniach. Żal tylko, że ukończenie prac nad tą ustawą przewidziano na 1989 rok. Wiele ustaw i ich nowelizacja wynika z założeń reformy.

Palaczom mogę zdradzić tajemnicę, że na drugie półrocze 1988 roku przewidziane są zakończenia prac nad „Ustawą o wychowaniu w abstynencji nikotynowej i przeciwdziałaniu paleniu tytoniu ze względów zdrowotnych”. Jedną ustawę — zwaną przeciwalkoholową — już mamy, ale jej skutki są raczej nikłe. Dobrze jest w każdym razie wiedzieć, że dla palaczy nadchodzi ciężkie czasy. W wielu krajach już nadeszły. Niedawno z Nowego Jorku wróciła moja znajoma i doniosła mi, że „tam już prawie nikt nie pali”.

Socjologowie, propagandyści i politycy zastanawiają się nad stanem świadomości społecznej. Wielu z nich — niestety chyba nie wszyscy — dostrzega, że w świadomości społecznej nastąpiło w najlepszym razie rozdwojenie. Co innego mówi się oficjalnie, a co innego — prywatnie, w kuluarach, albo „poza protokołem”. Oficjalnie obowiązuje optymizm; jest trudno, ale pchamy sprawę do przodu, nieoficjalnie można mówić wszystko. Po przyjęciu przez Sejm PRL „Ustawy o nadzwyczajnych uprawnieniach i upoważnieniach dla Rady Ministrów” występujący w DTV panowie mówią o tej ustawie z pełnym entuzjazmem. Powstaje wrażenie, że w PRL nie ma ani jednej osoby, która byłaby przeciw, miała wątpliwości, obawy, czegoś nie rozumiała. Nikt się nawet nie zainteresował, dlaczego dwie osoby wstrzymały się w sejmowym głosowaniu. Być może byłoby ciekawie dowiedzieć się, jakie miały zastrzeżenia? Jeśli nie jest to tylko ich słodka tajemnica. Ale czy posel na Sejm PRL może mieć takie słodkie tajemnice, których nie zechciałby przedstawić wyborcom?

Rozdwojenie świadomości, jeśli nie głębsze jej zroznicowanie, powoduje taki stan, że większego znaczenia nabiera opinia obiegowa, często mityczna, często bez racjonalnego uzasadnienia, często plotkarskie, ale przez to że przez ludzi powtarzane, mające wyższą wiarygodność niż to, co się głosi oficjalnie. Pomijanie w propagandzie tego faktu czyni ją niewiarygodną a przez to nieatrakcyjną. Powtarzamy nieustannie ten sam błąd: staramy się przekonać przekonanych, a w zasadzie poprawiamy sobie tylko dobre samopoczucie, które powinno być nam obce. Nie wolno bowiem pozbawiać się krytycyzmu, nie dlatego, że to jest modne, ale dlatego, że dzięki krytycyzmowi może dokonać się rozwój myśli. Bez krytycyzmu następuje nieuchronny jej upadek.

Wielu zachodnich obserwatorów ostatnich strajków, a także działaczy opozycyjnych, stwierdziło z niejakim rozczarowaniem, że strajków w Nowej Hucie i Stoczni Gdańskiej nie poparli robotnicy innych fabryk, a i w tych, w których wybuchy, nie wszyscy do nich garnęli się. Marzono o powrocie z „Śierpnia 1980 roku”, a tu jest maj 1988 roku. Inna rzeczywistość.

Obserwatorzy ci i działacze całkowicie zlekceważyli trwające przygotowania do wyborów do rad narodowych, które to przygotowania cieszą się więcej niż minimalnym zainteresowaniem. A jeśli już na spotkanie z kandydatami na kandydatów na radnych przyjdzie kilku starszaków, to dyskusja ogranicza się do dżur w chodnikach lub podwórkowych sporów o śmietnik. Panuje potoczne przekonanie, że radni i tak nie mogą, bo wszystko decyduje się albo w województwie, albo w Warszawie. Po co więc się tym zajmować?

I to powinno dopiero być niepokojące. Coraz więcej jest bowiem ludzi, których ani strajki, ani wybory do rad narodowych nie interesują. Jak do nich trafić? A trafić trzeba, bo bez ich pomocy nie wyzdziwnimy Polski z kryzysu, a wyzdziwną musimy!

Można dziwić się, że będziemy mieli tyle nowych ustaw — stare ponoć mają pójść do „kosza” — można się na ten pęd do legislacji zżymać, ale porządkowanie prawa jest koniecznością i trudno temu zaprzeczyć. Wszakże w potocznym odczuciu opinii społecznej u nas więcej uwagi przykładają się do przygotowania i wydania nowej ustawy niż do rzeczowej rozmowy z ludźmi. Nawet najlepszymi ustawami rzeczywistość się nie zmienia, one mogą tylko stworzyć warunki do tego. Natomiast bezpośredni kontakt z ludźmi może przynieść wiele różnorodnych korzyści. Przedstawiciele władzy usłyszeli, co myślą ludzie, a ludzie poznaliby ich argumenty. Myślę, że gra warta świeczki!

— Ale — jak do tej pory — mamy sytuację przypominającą wiedzę młodzieńca, który zwiedził Anglię. Wiemy, jak robi się piękne i trwałe trawniki, ale takich trawników nie mamy. Nie wychodzą nam. Brakuje tych kilku stuleci. Teoria różni się od praktyki. Co więcej, teoria gwałtownie wiedzę i uboższe. Ale to już inny temat.

W czasach Karola Wielkiego, na przełomie VIII i IX wieku cała niemal Europa zetknęła się z gwałtowną aktywnością ludów skandynawskich. Na niewielkich łodziach wojowniczy kupcy docierali z dalekiej Skandynawii do rejonów śródziemnomorskich i czarnomorskich. W krajach zachodnich nazywano ich Normanami (ludźmi Północy) bądź Wikinami („vik” — zatoka, „to wiking” — na zbój). W północnej Galii powstała później znamienna modlitwa:

„Od dzikiego narodu normńskiego, który pustoszy nasze królestwa, wybaw nas, Panie”.

Jeden ze śmiałych Wikinów, Eryk Rudy, wynagany za awanturnictwo z Islandii, pożegłował na północny zachód i latem 982 r. osiągnął wybrzeże nieznanego lądu, który nazwał Grenlandią — „zieloną ziemią”. Wkrótce udała się tam grupa pionierów i zatożyła około 300 zagrod. Kolonia normaska przetrwała do początku XV wieku.

Prawdopodobnie dokładnie w 1000 roku syn Eryka Rudego — Leif, jako pierwszy Europejczyk dotarł do Ameryki Północnej. Na tej podstawie Islandczycy roszczą sobie prawo do palmy prawdziwych odkrywców kontynentu amerykańskiego (492 lata przed Kolumbem). Podróże do Ameryki odbywali zresztą również normascy osadnicy z Grenlandii. Wielki ład na południowym zachodzie nazywali Vinlandią — „ziemią winorośli”.

Historycy wyodrębniają co najmniej trzy grupy Normanów: duńska, norweska i szwedzka. Pierwsi atakowali wybrzeża zachodniej Słowiańszczyzny, Niemiec i Francji oraz opanowali Anglię, Sycylię i południową Italię. Drugi skolonizowali m.in. Islandię, część Irlandii, Szkocję i Grenlandię. Natomiast grupa szwedzka — znana jako Waregowie lub Rusowie — podejmowała ekspansję w kierunku południowo-wschodnim i poprzez tereny zajęte przez plemiona wschodniosłowiańskie docierała do Bizancjum i ziem pod panowaniem arabskim.

Słynny szlak od Waregów do Greków prowadził przez morza, jeziora i rzeki. Na swych łodziach germańscy Waregowie musieli najpierw pokonać Bałtyk, potem płynęli Nową na jezioro Ładoga (największe w Europie), stamtąd rzeką Wołchow na jezioro Ilmen i do rzeki Łowa. Następnie przenosili łodzie lądem do górnej Dźwiny i dalej do Dniepru (trzecia pod względem długości rzeka w Europie), którym dopływali na Morze Czarne i docierali do Bizancjum. W stolicy cesarstwa i innych miastach sprzedawali głównie futra i niewolników słowiańskich.

Według znakomitej kroniki „Powieść minio-nych lat” — opracowanej około 1113 roku na podstawie dawniejszych źródeł przez mnicha Nestora z klasztoru pieczerskiego w Kijowie — państwo ruskie utworzył szwedzcy Waregowie ze Skandynawii. Najpierw wygnali ich (862 r.) a potem prosili o przybycie Słowianie wschodni z rejonu Nowogrodu.

„I poszli za morze ku Waregom, ku Rusi. Bo-wiem tak się zwali ci Waregowie — Rusi, jako że drudzy zowią Szwedami, inni Normanami i Angliami, a jeszcze inni Gotami — tako i ci. Rzekli Rusi Czudowie, Słowienie, Krywicze i Wasowie: «Ziemia nasza wielka i obfita, a lądu w niej nie ma. Przychodźcie więc rządzić i władać nami». I wybrali się trzech bracia z ro-dami swoimi, i wzięli ze sobą wszystką Rus i przyszli do Słowien najprzód, i siadł najstarszy, Ruryk, w Nowogrodzie, a drugi, Sineus, na Białym Jeziorze, a trzeci, Truwor, w Izborsku. I od tych Waregów przezwano się ziemia ruska Nowogrodzianinami — ci ludzie są wareskiego rodu, a przedtem byli Słowienie”.

Autor pierwszej historii Rusi miał jednak świadomość jedności wszystkich Słowian i przynależności narodu ruskiego do tej grupy etnicznej. Pisał bowiem następująco:

„Był jeden naród słowiański: Słowianie, którzy siedzieli nad Dunajem, i których podbili Węgrzy i Morawianie, i Czesi, i Lachowie, i Polanie, teraz zwani Rusi. (...) A naród słowiański i ruski jedno jest, od Waregów bowiem przezwali się Rusi, a pierwsi byli Słowianami; a chociaż i Polanami zwali się, lecz mowa była słowiańska”.

Po raz pierwszy odnotował istnienie ludu „Ros” lub „Rus” tzw. Pseudo-Zachariasz Retor w latach pięćdziesiątych VI wieku. Miał to być obrzydlą ludźmi żyjący gdzieś obok Amazonki. Historyk radziecki Borys Rybakow twierdzi, że słowiańskie plemię Ros lub Rus istniało nad brzegami Rosi, która na południe od Kijowa wpada do Dniepru. U ujścia tej rzeczki znajdował się gród Rodien stanowiący ośrodek Rosów lub Rusów.

Ale faktem jest, że Rusi nazywano skandynawskich Waregów

(Rossmenn, Rosskarlar — żeglarze). Na przykład Finowie mówili na Szwedów — „Ruotsi”. Poza tym pisarze arabscy donosili o wyspie Rus (Nowogrod?), której mieszkańcy wyprawiali się łodziami na Słowian i sprzedają ich jako niewolników. W okolicach Nowogrodu są nazwy miejscowe pochodzące od rdzenia Rus.

Kronikarz ruski podaje, że dwaj bojarzy Ruryka — Askold i Dir, na czele wielu Waregów zajęli Kijów i zaczęli władać ziemią Polan naddnieprzańskich. A później krewny i następca Ruryka (opiekun jego syna Igora) — Oleg, przeniósł swą stolicę około 882 roku do Kijowa i wokół niego zaczął jednoczyć plemiona wschodniosłowiańskie. Poprzednich władców wareskich, Askolda i Dir, zabito.

Oleg postanowił, że Kijów będzie matką grodów ruskich i całe swoje państwo nazwał Rusi. Ponadto nakazał płać coroczną daninę „dla pokoju” Waregom z Nowogrodu. W 911 roku na czele dużej armii Waregów i Słowian (200-300 statków) zaatakował Carogrod (Konstantynopol).

Po śmierci Olega w 912 roku władzę kijowską przejął Igor, który także organizował wielkie wyprawy na Bizancjum. W X wieku — rzecz charakterystyczna — posłowie i kupcy ruscy mają przeważnie skandynawskie imiona. Normanowie zdominowali w Rusi handel i dyplomację. Kiedy w 944 roku odnawiano bizantyjsko-ruski traktat pokojowy, sygnowali go głównie W regowie: Szychber Słandar, Prasten Turdow, Frutan, Furstien, Turben, Roald i inni.

Igor zginął w 945 roku. Zabili go słowiańscy DREWLANIE, ponieważ drugi raz w ciągu roku usiłował ściągnąć daninę. Po tym wypadku przejęła władzę w imieniu małoletniego syna — Oiga, żona Igora. Kronikarz ruski pisze:

„Oiga zaś była w Kijowie z synem swoim, dzieckiem Swiatosławem, a piastunem jego był Asmud, a wojewodą — Sweneld, ojciec Mstis-szy”.

W 955 roku Olga przyjęła chrzest w Carogrodzie z rąk patriarchy prawosławnego. Podobno ojcem chrzestnym był cesarz Konstantyn VII Porfirogeneta.

Kościół bizantyjski zwracał jednak z jakichś względów z przyszaniami specjalnej misji. Dla tego obrażona księżna zwróciła się do króla niemieckiego Ottona I, żeby delegował biskupa katolickiego. Ale przybyły w 961 roku zakonnik Adalbert z Trewiru natrafił na silną opozycję pogańską i musiał uciekać z Kijowa do swego kraju.

Chrztu nie chciał przyjąć nawet jedyny syn

W rzeczywistości były trzy chrzty Rusi Kijowskiej: 867, 955 i 988. Pierwsze próby zakończyły się niepowodzeniem.

Wszetecznik został świętym

EDMUND LEWANDOWSKI

Olgi o słowiańskim imieniu Swiatosław. Tłumaczył matkę, że drużyna zaczyna się z niego śmiać. Nie przekonała go argumentacja, że wszyscy się ochrzczą, gdy on to uczyni.

Była to druga próba chrystianizacji Rusi zakończona fiaskiem. Pierwsza bowiem odbyła się prawie 100 lat wcześniej. W 867 roku na zwołanym przez księcia wiece przemaszał arcybiskup z Bizancjum. Udało mu się wyciągnąć z ognia nie uszkodzonego ewangelizatorów i tym cudem przekonał zgromadzonych Rusów do Boga chrześcijańskiego. Grecy otrzymali prawo głoszenia nowej wiary, lecz nie osiągnęli zachęcających rezultatów.

Swiatosław był przede wszystkim wojownikiem. Rozszerzył i umocnił państwo ruskie. Rozgromił tureckich Chazarów i naddunajskich Bulgarów, pokonał kaukaskie ludy Jasów i Kasogów, poważnie zagroził Carogrodowi. Ale nie czuł się w Kijowie. Miał zamiar przenieść stolicę daleko na południe, bliżej Bizancjum, do Preslawca nad Dunajem.

Szalony wnuk Ruryka zginął w 972 roku z rąk tureckich Pieczyngów. Pozostawił trzech synów: Jaropelka w Kijowie, Olega w Iskorosteniu (gród drewlański) i Włodzimierza w Nowogrodzie. Ten trzeci był pół-Słowianinem, nieprawym dzieckiem Swiatosława. Urodziła go słowiańska nałożnica Małusza, córka grodzieńscy w Lubeczcu.

Małko Lubeczczanin miał dwoje dzieci. Córka Małusza została klucownicą Olgi i jedną z nałożnic księcia Swiatosława. Natomiast syn Dobrynia był najpierw odźwiernym i koniuchem, a później stolnikiem i cześnikiem na dworze księcia. Pewnego razu, gdy Jaropelk i Oleg od-mówili wyjazdu do Nowogrodu, właśnie Dobrynia zaproponował kandydaturę Włodzimierza, swego siostrzeńca, którego pogardliwie nazywa-no „rabskim” synem i „parobasem”.

Po tragicznej śmierci Swiatosława doszło do walki o sukcesję między słubnymi synami w której zabito Olegę i zwyciężył Jaropelk. Wtedy na czele Waregów, Słowien, Czudów i Krywiczów ruszyli z Nowogrodu do Kijowa Włodzimierz i Dobrynia. Po drodze zdobyli Polock, zabili wareskiego księcia Rogwołoda i jego dwóch synów, a córkę Rogneda siłą pojął Włodzimierz za żonę. Wcześniej Rogneda nie chciała wyjść za „syna służebny”, lecz pragnęła Jaropelka.

Kijów zdobyto dzięki zdradzie wojewody Błuda. Jaropelk uciekł do Rodni, lecz po raz drugi został zdradzony, a następnie zabity przez Waregów. Zwycięski Włodzimierz zaczął żyć z brzemenną żoną brata, Greczynką.

Nowy władca Rusi wygnał z Kijowa najemnych Waregów.

A następnie słowiańskie wierzenia ludowe podniosł do rangi oficjalnej religii. Na wzgórzu za dworem ustawiono posągi sześciu bogów: Peruna, Chorsa, Dadźboga, Strzyboga, Simargła i Mokosza. Składano im ofiary nawet z ludzi. W tym celu zabito również kilku Waregów wyznających chrześcijaństwo.

Pogański panteon Włodzimierza jest dość dziwny i nastroża trudności interpretacyjne. Najprawdopodobniej uznał on bogów różnych plemion i stworzył sztuczny system religijny. Duże państwo potrzebowało bowiem wspólnej ideologii. Jedno wszak nie ulega wątpliwości, że zignorował kultury germańskie i chrześcijańskie. W pierwszym odruchu jakby odciął się od Waregów, Greków i koczowniców tureckich,

podkreślił odrębność i niezależność Słowiańszczyzny.

Proces integracji ludów wschodniosłowiańskich zaczął się w VI wieku. Początkowo było tam około stu plemięsienic plemion, które stopniowo (dobrowolnie i przymusowo) połączyły się w kilkanaście większych związków. Jednym z nich byli Polanie naddnieprzańscy.

Kronikarz Nestor bardzo krytycznie pisze o pogańskim życiu Włodzimierza. Przyszłego świętego charakteryzuje następująco:

„Był zaś Włodzimierz opanowany przez chwałę, i były jego żony: Rogneda, którą posadził na Lybedzi, gdzie teraz stoi siółko Predslawine, od niej zaś zrodził czterech synów: Iziasława, Mstisława, Jarosława, Wsiewołoda, i dwie córki: od Greczynki — Swiatopelka; od Czeszki — Wyszestawa; a od drugiej — Swiatosława i Mstisława, a od Bulgarki — Borysa i Gleba, a nałożnie miał trzysta w Wyszogrodzie, a trzysta w Białogrodzie, a dwadzieścia w Berestowie w siółku, które zowią teraz Berestowe. I był niesyt rozpuszt, przywołując do siebie mężatki i dziewice gwałcą. Był to bowiem lubieżnik taki sam, jak Salomon, powiada-jąc bowiem, że Salomon miał żon siedemset, a nałożnic trzysta. Mądry wszak był, a w końcu zginął. Ten zaś był nieuk, a w końcu uzyskał zbawienie”.

Uzyskał zbawienie, ponieważ ochrzcił się w 988 roku, a sakrament chrztu oznacza odpuszczenie grzechu pierwotnego i wszystkich popełnionych dotąd grzechów. Z tego względu w pierwszych wiekach chrześcijaństwa opóźnianie chrztu było częstym zjawiskiem. Konstantyn Wielki przyjął chrzest dopiero na łożu śmierci.

to oddanie w niewolę i lepiej by było umrzeć. Przekonano ją jednak, że dzięki temu ziemia grecka uniknie strogiej wojny, a Bóg nawróci Rusinów na wiarę chrześcijańską.

Włodzimierz osiągnął więc swój cel. W okupowanym Korsuniu zjawili się cesarzówna z orszakem dostojników i prezbiterów. W cerkwi Świętego Bazylego biskup korsuński ochrzcił księcia i bojarów ruskich. A potem udzielił ślubu Annie i Włodzimierzowi.

Niektórzy utrzymują (m.in. Henryk Lowmiański), że chrzest odbył się w Kijowie. Tak uważano już w dawnych czasach. Ale kronikarz ruski twierdzi stanowczo, że wydarzenie miało miejsce w Korsuniu zdobytym przez Rusinów, a nie w Kijowie bądź Wasylewie — jak mówili ludzie nie znający prawdy.

Przybywszy do stolicy swego kraju Włodzimierz rozkazał zniszczyć posągi bogów pogańskich. Wszyscy mieszkańcy (bogaci, biedni, niewolnicy) mieli nazajutrz stawić się nad rzeką i przyjąć chrzest. Osoby uchylające się traktowano jako przeciwników księcia. Ludzie pocieszały się, że jeśli chrześcijaństwo byłoby czymś złym, to nie przyjęliby go książę i bojarzy.

„Nazajutrz zaś wyszedł Włodzimierz z popami carówny i z korsuńskimi nad Dniepr, i zesłał się ludzi bez liku. Wstąpili w wodę, i stali owi po szyję, a drudzy po pierś, młodzi zaś po pierś w brzegu, inni dzieci trzymając, dorosli zaś brodzili; popi zaś stojąc odprawiali modlitwy. I była radość na niebie i na ziemi widzieć tyle dusz zbawionych”.

W rzeczywistości był to trzeci chrzest Rusi. Wcześniejsze próby chrystianizacji z 867 i 955 roku nie udały się. Nie dojrzały jeszcze warunki wewnętrzne. Nie podjęto też wówczas zbyt energicznych działań misyjnych. A teraz (988 r.) realizowano decyzję rozważną i kolektywną.

Chryścianizacja plemion ruskich, co miało ogromne znaczenie, odbywała się w języku słowiańskim. Najwyżsi dostojnicy kościoła pochodzili wprawdzie z Bizancjum, ale dość szybko wykształcono własne duchowieństwo. Już za panowania Włodzimierza powstała w Kijowie pierwsza szkoła dla nauki „gramoty słowiańskiej”. Musiały w niej uczyć się dzieci znanych rodzin. Czynnikiem ułatwiającym naukę było pismo słowiańskie zwane cyrylicą, które przyjęto w X wieku z Bulgarii.

W specjalnym liście apostolskim z okazji Tysiąclecia Chrztu Rusi Kijowskiej papież wskazuje, że dzięki intuicji i mądrości Włodzimierza przyjęto w liturgii język słowiański w miejsce greckiego. Następnie Jan Paweł II stwierdza:

„W ten sposób język paleosłowiański posłużył w Chrzcie Rusi jako ważne narzędzie najpierw ewangelizacji, a potem oryginalnego rozwoju przyszłego dziedzictwa kulturowego tych ludów, rozwoju, który stał się w wielu dziedzinach bogactwem całego życia i ogólnoludzkiej kultury. (...) Dzięki przyjęciu Chrztu w 988 roku, Włodzimierz stworzył trwałe podstawy dla konsolidacji także politycznej swojego państwa oraz dla jego rozwoju i integracji ludów zamieszkujących w jego ówczesnych granicach. Ta profetyczna decyzja wejścia do Kościoła i wprowadzenie swojego księstwa w krąg narodów chrześcijańskich, przyniosło mu chwalebny tytuł Świętego i Ojca narodów, które z tego księstwa się wywiodły”.

Włodzimierz był władcą dumnym i ambitnym. Po śmierci swej żony Anny, córki cesarza Bizancjum, ożenił się z wnuczką króla niemieckiego, późniejszego cesarza Henryka II. Za jego rządów Rus przeżywała okres wszechstronnego rozwoju. Kronikarz nazywa go nowym Konstantynem wielkiego Rzymu, który ochrzcił siebie i swój lud. Chociaż początkowo „obrzydlą chucią pałał, jednak później naklonił się do skruchy...”. Wszetecznik został świętym.

A co stało się z normaskimi Waregami?

Przez długi jeszcze czas odgrywali znaczącą rolę w państwie Rusi Kijowskiej. Werbowano ich jako najemników do drużyny książęcej. Na początku XI wieku stworzono również w armii bizantyjskiej słynną gwardię waresko-ruską. Z dalekiej Skandynawii przez Rus do Bizancjum po dawnemu płynęły łodzie kupieckie. Waregowie (Szwedzi) i Kolbiagowie (Duńczycy) traktowani byli jednak w państwie ruskim jako cudzoziemcy i nie mieli pełni praw.

Język wareski (szwedzki) najdłużej utrzymał się w rejonie Nowogrodu. Wyszedł tam z użycia w XIII stuleciu. Waregowie germańscy ulegli rusyfikacji, a ściślej — sławizacji. Podobny los spotkał w innym miejscu tureckich Bulgarów naddunajskich.

W ciągu 1000 lat państwo Słowian wschodnich rozrosło się do największych rozmiarów na świecie. Dzięki temu rozszerzyły się też wpływy chrześcijaństwa. W cytowanym już wyżej liście papież Jan Paweł II pisze:

„Przez posługę Kościoła, który w Chrzcie kijowskim znajduje swój początek, dziedzictwo to sięgnęło poza Urals, do wielu ludów północnej Azji aż do wybrzeża Pacyfiku i dalej. Zaprawdę, «aż po krańce ziemi rozszedł się głos ich» (por. Ps.19,5; Rz. 10, 18) Dziękując Duchowi Pięćdziesiątnicy za takie rozprzestrzenienie chrześcijańskiego dziedzictwa, poczynając od Roku Pańskiego 988, pragniemy przede wszystkim skupić się na zbawczej tajemnicy samego Chrztu”.

Książę ruski zaczął dyktować warunki cesarzowi bizantyjskiemu.

Ostrzegł go, że jeśli nie dostanie siostry cesarskiej za żonę, to Konstantynopol spotka ten sam los co Korsun. Przestraszony Bazyli II wyraził zgodę, ale pod warunkiem, że Włodzimierz najpierw się ochrzci.

Najmłodsza siostra cesarza, Anna, nie chciała podbić władcy ruskiego. Zażądała, że jest

I właśnie od tej uroczystej chwili zaczyna się dramat.

Bo jak po porodzie na Józefę Czerwińską zwały się nekające ją do dzisiaj choroby, tak po zapisie przyszły gorsze udręki, duchowe i myślowe. Po prostu sama zgryzota...

W myśl zapisu Czerwiński przekazali córce 1 zięciowi 7 ha ziemi, drewniany dom, składający się z dwu izb i korytarza, starą oborę, stajnię, spichlerz oraz nową stodołę, jak i wszystkie kominki. Z inwentarza młodzi wzięli dwie krowy, byczka, cielę, co się urodziło w samo wesołe oraz kobyłę. Do tego córka dostała w wianie, oprócz fiata 126p, wielki segment na cztery metry, trzy pierzyny, stół, wersalkę, inne meble, kryształ.

Sobie starzy zostawili nie wykończoną izbę, przy oborze, o rozmiarach mniej więcej 6x4, piwnicę, działkę o powierzchni 30 arów, dwuletnią jałową i trochę drobiu. Była przy tym ustna umowa, że Andrzej Radzyński wyrzucił na swój koszt tę izbę przy oborze.

6 września 1986 roku odbyło się huczne wesele na 200 osób.

Zięć przemeldował się, opuścił ojcowskie gospodarstwo w Czernikowie i zamieszkał u teściów. Przez zimę siedzieli razem w drewnianym, pilnej roboty nie było, więc jakos szło. W marcu 1987 roku starzy zmuszeni byli przenieść się do izby przy oborze. Ale zięć nie dotrzymał słowa. Józefa Czerwińska pokrzyła koszty desek, heblowania, ligarów, żeby położyć w izbie podłogę. I mówi, że pożyczyla mu jeszcze 30

Złożyła skargę w Prokuraturze Rejonowej w Zgierz

Prokurator 29 lutego 1988 r. umorzył dochodzenie z powodu braku cech przestępstwa. Prokuratura Wojewódzka w Łodzi uznała, że złożone przez Józefę Czerwińską zażalenie jest bezzasadne, ponieważ sąsiedzi nie wiedzą, na jakim tle wynikają konflikty rodzinne. Świadków nie przesłuchiwało, bo ich nie było. Jasne, były żniwa i ludzie znajdowali się w polu. A zięć odszedł z gospodarstwa, żeby uniknąć dalszych konfliktów.

Józefa Czerwińska pisała do Telewizji w Warszawie, skąd skierowano pismo do prokuratury w Zgierz. Pisała też do Prokuratury Generalnej, która interweniowała w tej sprawie w zgierskiej prokuraturze. Józefa Czerwińska mówi, że tak się to w kółko kręci, bo ten prokurator, co umorzył dochodzenie, jest dalekim krewnym Andrzeja Radzyńskiego. Ale jest to przy prywatnym poglądzie. Wszystkie jej słowa i przypuszczenia są jej prywatną sprawą. Faktem natomiast jest, że dopiero 13 września 1987 roku milicja sporządziła protokół z pobicia. No i niech teściowa skarży teraz zięcia prywatnie.

Wszystko to, rzecz jasna, nie mogło przynieść nic dobrego. Zięć wyłaczył prąd, Marian Czerwiński chciał włączyć, to go brutalnie wypchnięto. Zięcia prawda zawsze na wierzchu. Ukradł deski, interweniowała milicja, więc musiał je zwrócić. Miła Boże Narodzenie, ksiądz ma przyjść na koledę, matka stuka do drzwi drewnianą.

— Hanka — mówi do córki — daj mi lichtarzyki i kropidło.

— Już je dam! — słyszy głos zięcia. Wychodzi on z izby i pyta: — No, co się chciało?

Stara miała dwa lichtarzyki i kropidło, więc prosi o jeden lichtarzyk. A zięć stawia jej

Płacz, matko, płacz!

tyś, zł. ze swojej renty. A to na nawozy, a to na opryski w Małachowicach i w Czernikowie, a to na komin do ciepłarni. Niczego nie oddał. Ba, wciąż mu było mało, wołał jeszcze na benzynę. A za same zebrane z pola buraki wziął 70 tysięcy...

Diabli wiedzą, czy te awantury i niesnaski zaczęły się tylko przez pieniądze. Sąsiedzi wolą się nie wypowiadać głośno na ten temat. Nie mówią, co było główną przyczyną nieporozumień, bo na wsi rodzina sama powinna załatwiać swoje sprawy. Po co gadać, wtrącać się i robić sobie wrogów, no nie? Aby zrozumieć dalszy przebieg wydarzeń, trzeba jednak wziąć pod uwagę fakt, że obecnie, a szczególnie dotyczy to wsi, zaostroża się konflikt między pokoleniowy. Starzy nie rozumieją młodych i vice versa. Starzy nie podoba się, jak gospodarują młodzi, ci zaś nie lubią anachronizmów, wściznictwa, pouczeń i starego zręczenia. A jeśli do tego dodać, że Józefa Czerwińska oprócz zapiekłego żalu w sercu, nosi w sobie jeszcze sporo złości i poczucie twardości chłopiejskiej sprawiedliwości, to można uznać, że młodzi mieli dość tego wszystkiego. Nie dajcie nam żyć, to proszę bardzo, udławcie się tym swoim maślakiem, męczcie się, a nam dajcie święty spokój. Pójdziemy sobie w świat, na lepszy chleb, a was niech szlag trafi.

No, ale gdyby tak sprawa wyglądała, to byłoby pół biedy. Niestety zaczęło się od tego, że już w 1987 roku Andrzej Radzyński stracił ochotę do roboty. Półtora hektara ziemi leżało odłogiem. Urząd Gminy w Ozorkowie został powiadomiony, ale nikt się tym nie przejął. A w zagrodzie leżał i psuł się cement, bo nie miał kto wykończyć nowej obory, tzn. otynkować ściany i postawić betonowe koryta. Szczególnie wielkie przyszło do Małachowic — założono wodociąg — ale do obejścia numer 44 to szczęście nie dotarło. Bo prawowity właściciel Andrzej Radzyński, ani myślał zapłacić 60 tysięcy za podłączenie do budynków. No i hydrant stoi z dala od zagrody, przy drodze.

Józefa Czerwińska przerzuca te swoje karteczki, na których ma zapisane godziny mekły, i mówi, że to się stało 9 lipca 1987 roku. Zięć się zdenerwował i postawił sprawę na ostrzu noża. On tu dłużej siedzieć nie będzie, zabierze pół gospodarstwa i pójdzie sobie w cholerę. A jak Hanka miluje tatę z mamusią i z nim zostanie, to załatwi się rozwód i część. No i ta wyteściana jedynaczka, urodzona przez Józefę po czternastu latach małżeństwa, poszła za mężem.

Po miesiącu, w sobotę ósmego sierpnia 1987 roku, Marian Czerwiński udał się do chorego brata, aby pomóc w żniwie przy żniwach. Andrzej Radzyński z Anną pojechali żukiem do jego rodziców. O godzinie pół do drugiej zięć przyjechał ze Stefanem Sołtyśkowskim, poszli na pole i przyprowadzili cielną krowę. Zięć ciągnie za łańcuch, żeby wpakować krowę do drucianej klatki na kolach, a teściowa w krzyk, bo to było jej bydło, co je miała w zapisie. Chwyta za łańcuch, nie puszcza, groźby nie pomagają, więc zięć okrzykiem jej dłonie łańcuchem, zacisnął i omal jej rękę nie pociął. Upadła na ziemię, z bólu, a może bardziej z żalu, straciła przytomność. Gdy się ocknęła, wypychali na kolanach krowę do klatki. Zaczęła wzywać na pomoc sąsiadów. A wrzeszcząc sobie, mówi zięć, świadek nie ma, Józefa zaś na to, że jej świadkiem jest Pan Bóg. Tylko że Bóg, choć wszechmogący, nie stanie w sądzie na miejscu dla świadków. A zięć swoje zrobił, tę krowę wywiozł i sprzedał za 100 tysięcy.

Józefa Czerwińska dlonie miała pokiereszowane, siłce na piersiach i zaczęło się jej robić słabo, bo u niej ze zdrowiem kiepsko, przed tymi fatalnymi zdmowinami wróciła ze szpitala. Powłókła się do szwagra, zawieźli ją koniem do Sokolnik, lekarz ją obejrzał i skierował na milicję. Tutaj poradził jej, żeby się udała do Zakładu Medycyny Sądowej w Łodzi. Ale przedtem karetka zawiozła ją na Pogotowie do Ozorkowa, gdzie ją trochę podratowali. I dopiero w poniedziałek 10 sierpnia 1987 roku pojechała po obdukcję. Dr Janusz Skórniński wydał opinie (zaświadczenie 1079/87), że obrażenia ciała, jakich doznała, mogły powstać w czasie i okolicznościach, jakie podała Czerwińska.

drzwi na chorej nodze. Tych lichtarzyków już nie obejrzała.

Albo tak. Kupił ojciec córce flacika, żeby go wiozła do kościoła. A jak ojciec chore, czterdziestki stopni gorączki, córka nie chce go zawieźć do Ośrodka Zdrowia. Obcy ludzie muszą, wzywać lekarza.

Była w sądzie rozprawa pojednawcza. Józefa Czerwińska zażądała od zięcia krowy z cielnikiem, bo sprzedał jej bydło na wycieleniu, ale się nie zgodził. Sąd powiedział, żeby stara zażądała sprawę o krowę.

29 stycznia 1988 roku zięć z córką wyprowadził się z Małachowic. Wynajeli prywatne mieszkanie w Zgierz i żyją nie po bożemu, nie jak na rolników przystało. Zięć pracuje u prywatnego murarza, buduje domy po wsiach. Córka Anna prasuje krawaty w Łodzi, ale ma ponoć dostać lepszą robotę w Zgierz.

A w Małachowicach stoją puste budynki.

I po cośmy to budowali, zastanawia się Józefa, dla kogo? Cała Wielkanoc Józefa przepłakała. Płacz, matko, płacz. Ale nie trać nadziei. Już niedługo, 26 maja. Dzień Matki. Przyjadą dzieci z kwiatami, przeproszą się z wami, pojedną...

Diabla tam! Przecież już 30 stycznia 1988 roku zięć zaczął wyprzedzać gospodarstwa. Sprzedał wszystkie krowy, kobyłę, kury i kaczki, nawet kota. Zabrał wszystkie meble, kryształ, stół, trójkąt chłodzący do mleka, za którą miał kupić starym lodówkę. Fligę obejrza, nie lodówkę.

Teraz przyjeżdżają coraz rzadziej, po to, żeby coś zabrać.

— Kurczęta trzymam w piwnicy — płacze Józefa — jak on zobaczy też mi może zabrać.

Bo do komórek nie ma wstępu, pozamykane. Taczki w zamkniętej oborze, a wózek przywiązany do turawki przy studni, żeby nie wiozł drewna czy węgla. Nawet obornik zamknięty na kłódki, żeby starzy nie mieli czym wynawozić śmieci przyzgodowej.

Najgorzej w tym drewnianym domu. Założono kaloryfery, które są nie używane. Szczególnie, że zima łagodna, niesnieżyca, że mokra. Zięć zabrał nawet łuteczki do Zgierza, wstawiając w to miejsce szybę wyjętą z kredensu teściowej. Wszystkie drzwi powystawiane, krzywią się w wilgoci, już teraz nie są spalone. A z wiosną zięć puszcza ziemię w dzierżawę. No, mówi, ten dzierżawca to da starym popalić. Nie będzie dojazdu ani dojścia, więc chyba będą fruwać na swojej działce. A jak to wszystko sprzeda, zrobi się jeszcze weselej.

Oj, ludzie, co się to porobiło!

Niech to diabli! Panie chłopski wojewodo, Lechu Krowirando, czy panu się śniło, że w tym naszym maćkupim województwie, gdzie każdy skrawek gruntu ma wagę złota, następcy będą tak podle traktować ojcowiznę? To już u nas taka wolność i demokracja, że można sobie bimbąć w mieście, będąc właścicielem dużego gospodarstwa? Czyżby przepisy tak się zmieniły, że można rodziców strasznie sprzedać dorobku ich życia, który wielokrotnie przekazywał dzieciom? Przecież dotąd następcy po przejęciu ojcowizny musieli na niej co najmniej pięć lat popracować, żeby móc się jej wyrzucić. Dzierżawa dzierżawa, ale gdy ktoś porzuca gospodarstwo i przestaje być rolnikiem, to powinien sobie o nim przypomnieć wojskowa RUK w Zgierz. Nie chce żołnierzy Andrzej Radzyński dawać ludziom żywności, niechaj więc odstąpi, co mu jeszcze zostało do służby.

Wiadomo, że wiceprezydent nie odkrył tego, co zapadło w sądzie i u reagenta, nie zmienił prawomocnego zapisu. Ale przecież w prowadzonym na wysokim poziomie gospodarstwie budynki nie mogą ulegać dewastacji. Nie może być tak, żeby to gospodarstwo nie dawało mleka i mięsa, żeby wysokiej klasy ziemia przestała rodzić pszenicę, buraki, warzywa. To nie jest już tylko kwestia lez, żalu, cierpienia moralnych czy prywatnych rodzinnych rozgrywek. To już ważki problem społeczny.

RYSZARD BINKOWSKI



Nie ma silnych, gdy urząd się uprze

TERESA JERZYKOWSKA

W sierpniu 1986 roku pękła muszla kłozetowa. Matylda J. jest osobą zaradną, która wiele rzeczy potrafi zrobić sama. Tak więc, nie zwracając nikomu głowy, zlepiła muszlę. Po roku kłozę „puścił” i ów, jakże niezbędny, sprzęt trzeba było wymienić. Kiedy w ROM dowiedzieli się o prośbie lokatorów — ubawili się śmieć. Było to bowiem po ostrej zimie — i na wymianę czekało kilkaset osób, użytkowników wspólnych toalet w starych domach. Czekali dość długo — i musieli czekać dłużej, więc prośba lokatorów, korzystających z własnej, jednoosobowej łazienki, doprowadziła do sprawy najważniejszej.

Złożyła więc Matylda J. podanie do Przedsiębiorstwa Materiałów Budowlanych — o przydział muszli. Oczywiście przedtem jeszcze usiłowała ów poszukiwany przedmiot nabyć, odwiedziła wielokrotnie wszystkie łóżki i podłóżki sklepy. Kiedy odpowiedź z przedsiębiorstwa nie nadchodziła przez kilka miesięcy — udała się do sekretariatu dyrektora, aby dowiedzieć się o los swego podania.

Było tam, a jakże. Opatrzono stemplem, podpisałem i własnoręcznie adnotacja dyrektora: „Wskazać petentkę adresy sklepów”. I to już było za dużo. Matylda tupnęła nogą, rzuciła torebką, rozplakała się i urządziła awanturę.

Awanturę w sekretariacie przysłuchiwał się jakiś pan — jak się później okazało dyrektor. Zamiast wyrzucić nieznoszącego petentkę poprosił ją do gabinetu i spróbował pomóc.

— Mamu muszle — powiedział — ale mało i tylko na wypadki losowe. Może jest pani samotną matką pięciorga dzieci? A może inwalidką? A może chociaż mać pięć, bije i ma wyrok eksmisji? Matylda J. przypomniała sobie, że mieszka z ojcem — kombatantem. To wystarczyło, aby sprawę uznać za wypadek losowy — wówczas znowu rodzina mogła korzystać z łazienki. Z innymi instytucjami jednak nie poszło tak łatwo.

A sprawa zaczęła się wiele lat temu, tuż po wojnie. Wtedy to ojciec Matyldy J. zajął pomieszczenie w zrujnowanym domu i zadeklarował gotowość wyremontowania go własnymi siłami. Otrzymał tymczasowe zamieszkanie, a wówczas potem decyzję przydziału mieszkania, składającego się z trzech pokoi i kuchni. W decyzji ustalono również wysokość czynszu, jaki ma płacić. Płacił więc — i remontował, choć zamiast trzech pokoi zamieszkał tylko jeden, w pozostałych dwóch mieszkali dwie obce rodziny. Trwało to dość długo, ale w 1955 r. remont został zakończony. Przyjechała komisja, stwierdziła zakończenie odbudowy, stopień poszukiwanych zmian ocenila na 61 proc., oszacowała wartość poniesionych w związku z remontem kosztów.

Wtedy pan J. zaczął starać się o zwolnienie od czynszu. Zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami — osoba, która na własny koszt wyremontowała państwowy dom lub mieszkanie, powinna być zwolniona od czynszu na taki okres, w którym wartość comiesięcznych opłat zrównoważyłaby wartość poniesionych kosztów.

Decyzję w tej sprawie otrzymał dopiero po 13 latach — w 1968 r. Wynikało z niej, że rodzina pana J. zwolniona jest od czynszu na 30 lat i 11 miesięcy, tj. do kwietnia 1986 r., licząc od daty zakończenia remontu. Przez te 13 lat oczekiwanie na decyzję czynsz był płacony, więc w 1986 r. lokator zaczął starać się o przedłużenie zwolnienia na dalszych 13 lat. Dowiedział się jedynie, że roszczenia są przedawnione.

Przez ten czas w domu wiele się zmieniło. Jedną z rodzin, mieszkających wspólnie, wyprowadziła się, do wymiany dojechały podłogi i stropy. Remont wykonał fachowiec z PGM.

Następnie wyprowadziła się druga rodzina — i wreszcie pan J. z rodziną mógł zająć to, na co od początku miał decyzyjną, czyli trzy pokoje z kuchnią. W zwolnionym przez lokatorów pomieszczeniu trzeba było jednak wymienić stolarkę okienną.

Był to rok 1981. Wszystkie sprawy urzędowe załatwiała już Matylda — córka pana J., która z dziewczynki stała się dorosłą i energiczną kobietą. Kiedy zgłosiła się do ROM — gdzie akurat zmieniał się kierownik — dowiedziała się, że ośmioosobowa, może być wymieniona, ale za pełną odpowiedzialnością. Dlaczego? Ano dlatego, że państwo J. są właścicielami domu. Co prawda niedługo nie istnieje akt notarialny bądź inny urzędowy dokument, stwierdzający, że domek ów nabyli, odziedziczyli lub w inny sposób weszli w jego posiadanie, ale... skoro nie płacą czynszu, znaczy są właścicielami i już.

Zdziwili się państwo J., którzy przez blisko 30 lat uważali się po prostu za lokatorów państwowego obiektu. Nie poczuł się właścicielami i złożyli odwołanie od decyzji, z której wynikało, że za wszystkie remonty, naprawy i modernizacje, jak również za wywóz śmieci i dozorcę muszą płacić sami.

Otrzymał w odpowiedzi pismo wyjaśniające, że owszem, muszą, co prawda już nie jako właściciele, ale jako dzierżawcy. Dlaczego dzierżawcy? Tego nikt nie umiał im wytłumaczyć. Rozpoczęła się wymiana pism między lokatorami a PGM — Bałuty, z jednego z nich wynikało nawet, że status państwa J. jest doprawdy bardzo dziwny i są oni — cytat — „jakoby dzierżawcami”.

W domu puściło się coraz więcej rzeczy. Trzeba było wymienić kabel elektryczny w ścianach, niektóre podłogi, przebudować walące się kominy, poprawić dach. Matylda wiedziała, że z fachowcami w PGM krucha, z materiałami jeszcze

wczas przepisała — osoba, która na własny koszt wyremontowała państwowy dom lub mieszkanie powinna być zwolniona od czynszu na taki okres, w którym wartość comiesięcznych opłat zrównoważyłaby wartość poniesionych kosztów.

Decyzję w tej sprawie otrzymał dopiero po 13 latach — w 1968 r. Wynikało z niej, że rodzina pana J. zwolniona jest od czynszu na 30 lat i 11 miesięcy, tj. do kwietnia 1986 r., licząc od daty zakończenia remontu. Przez te 13 lat oczekiwanie na decyzję czynsz był płacony, więc w 1986 r. lokator zaczął starać się o przedłużenie zwolnienia na dalszych 13 lat. Dowiedział się jedynie, że roszczenia są przedawnione.

Przez ten czas w domu wiele się zmieniło. Jedną z rodzin, mieszkających wspólnie, wyprowadziła się, do wymiany dojechały podłogi i stropy. Remont wykonał fachowiec z PGM.

Następnie wyprowadziła się druga rodzina — i wreszcie pan J. z rodziną mógł zająć to, na co od początku miał decyzyjną, czyli trzy pokoje z kuchnią. W zwolnionym przez lokatorów pomieszczeniu trzeba było jednak wymienić stolarkę okienną.

Był to rok 1981. Wszystkie sprawy urzędowe załatwiała już Matylda — córka pana J., która z dziewczynki stała się dorosłą i energiczną kobietą. Kiedy zgłosiła się do ROM — gdzie akurat zmieniał się kierownik — dowiedziała się, że ośmioosobowa, może być wymieniona, ale za pełną odpowiedzialnością. Dlaczego? Ano dlatego, że państwo J. są właścicielami domu.

Co prawda niedługo nie istnieje akt notarialny bądź inny urzędowy dokument, stwierdzający, że domek ów nabyli, odziedziczyli lub w inny sposób weszli w jego posiadanie, ale... skoro nie płacą czynszu, znaczy są właścicielami i już.

Zdziwili się państwo J., którzy przez blisko 30 lat uważali się po prostu za lokatorów państwowego obiektu. Nie poczuł się właścicielami i złożyli odwołanie od decyzji, z której wynikało, że za wszystkie remonty, naprawy i modernizacje, jak również za wywóz śmieci i dozorcę muszą płacić sami.

Otrzymał w odpowiedzi pismo wyjaśniające, że owszem, muszą, co prawda już nie jako właściciele, ale jako dzierżawcy. Dlaczego dzierżawcy? Tego nikt nie umiał im wytłumaczyć. Rozpoczęła się wymiana pism między lokatorami a PGM — Bałuty, z jednego z nich wynikało nawet, że status państwa J. jest doprawdy bardzo dziwny i są oni — cytat — „jakoby dzierżawcami”.

W domu puściło się coraz więcej rzeczy. Trzeba było wymienić kabel elektryczny w ścianach, niektóre podłogi, przebudować walące się kominy, poprawić dach. Matylda wiedziała, że z fachowcami w PGM krucha, z materiałami jeszcze

gorzej. Wiedziała również, że istnieją przepisy mówiące o tym, iż lokator może wiele rzeczy wykonać we własnym zakresie, a następnie otrzymać od PGM zwrot poniesionych kosztów.

Wzięła się więc za robotę sama, niektóre prace zlecając prywatnym fachowcom i skrzętnie gromadząc rachunki. Kable zostały wymienione, kominy poprawione, ubytki tynku uzupełnione. Przy okazji w domu założono centralne ogrzewanie. Rachunków nazbierało się 38 — i Matylda J. zaczęła starać się o zwrot kosztów. PGM odmówił — uważając, że to, co lokator robi w mieszkaniu, to jego prywatna sprawa.

Matylda J. trafiła do wiceprezydenta UM, który obiecał zająć się sprawą. I zajął się faktycznie. Od radcy prawnego prezydenta nadeszło pismo, w którym wyjaśnione zostało, że co rodzina J. powinna zapłacić sama — a za co należy się zwrot kosztów z PGM. Na 38 rachunków — 13 pozycji były to prace podnoszące standard lokalu i te powinny być wykonane na koszt własny, resztę powinien zwrócić PGM.

Nie zwrócił. Znowu rozpoczęła się wędrówka po urzędach. Tym razem towarzyszył Matyldzie specjalnie wyznaczony przedstawiciel Wydziału Remontów, do którego skierował ją wiceprezydent.

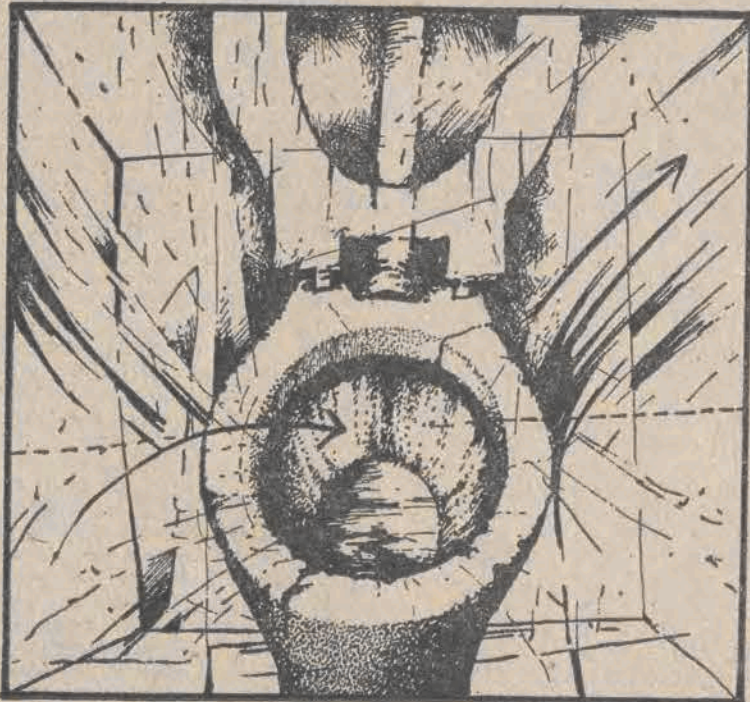
Była na spotkaniu z posłem, którego sprawa zainteresowała. W sekretariacie Zespołu Poselskiego, gdzie są przecież ludzie znający prawo i obowiązujące przepisy roszczenia obywateli uznano za słuszne. Posel faktycznie zajął się sprawą. Do domu państwa J. trafiła komisja z PGM — trzy młode panie, które obejrzały, co w ramach remontu zostało wykonane, a następnie zajęły się rachunkami. Wspólnie z Matyldą J. przejrzały je i rozdzieliły na dwie kupki: na jedną te, które są prywatną sprawą lokatorów, na drugie — te, za które, zgodnie z obowiązującym prawem lokalowym, zapłacić powinien PGM.

Zamiast pieniędzy nadeszło kolejne pismo z PGM, opatrzone stemplem radcy prawnego, z którego wynikało, że Matylda J. nie należy się nic. Jako uzasadnienie takiej decyzji podano numery ustaw, rozporządzeń i przepisów — te same, jakie wymienił radca prawny wiceprezydenta, uznający roszczenia petentki za słuszne. Pan posel rozłożył ręce — nie posiadał przecież w swoim biurze administracji uprawnień nakazowych. Doradził wystąpić na drogę sądową.

Nadeszła też odpowiedź od naczelnika dzielnicy Bałuty. Była dla petentki pozytywna. To także nie nie pomogło, PGM uparł się i już.

W ostatnim akapicie odpowiedzi od naczelnika Bałut umieszczono było wyjaśnienie, że w razie gdyby sprawa nadal nie została załatwiona po myśli zainteresowanej może ona zwrócić się o rozstrzygnięcie do sądu. I tak też miała zamiar postąpić Matylda, ale... przypadkiem obejrzała audycję telewizyjną. Mówiono w niej o tym, że terminy w sądach są strasznie długie, bowiem trafia tu wiele — słusznych zresztą — spraw, które powinny być załatwione w urzędach.

Matylda postanowiła więc spróbować raz jeszcze — i zadzwoniła do naszego dyżurnego redaktora. Czy publikacja prasowa zmieni stanowisko PGM — Bałuty, skoro na jego zmianę nie mógł wpłynąć ani naczelnik dzielnicy Bałuty, ani nawet prezydent? Zobaczymy. A chodzi o sumę niezbyt dużą — około 200 tys. zł.



Rys. Anna Bymonik-Głowa

Województwie piotrkowskim istnieje 52 rolnicze spółdzielnie produkcyjne. Większość z nich oprócz uprawy i hodowli zajmuje się też działalnością pozarolniczą — świadczeniem usług transportowych, remontowo-budowlanych, itp. Pozwala to w pełni wykorzystać czas pracy w okresie, gdy nie ma roboty w polu, jak również — osiągnąć większe zyski. Z samego rolnictwa bowiem — twierdzi zgodnie spółdzielcy — trudno dziś wyżyć: zarobić na porządną pensję i odłożyć jeszcze coś na inwestycje.

Powstała dziesięć lat temu rolnicza spółdzielnia produkcyjna w Gertrudowie od początku była jedną z najsilniejszych w regionie. Utrzymywała się głównie z uprawy zbóż i z kredytów bankowych. W maju 1986 roku wzorem innych powołano w RSP Gertrudów brygadę remontowo-budowlaną, która w założeniach miała stać się kołem ratunkowym dla idącej na dno spółdzielni. Za sprawą kilku osób stała się kamieniem u szyi, który ciąży do dzisiaj.

1. Jerzy Stracyński do brygady remontowo-budowlanej przy RSP Gertrudów trafił we wrześniu 1986 roku. Sciągnął go kolega, Jerzy Baran, który pracował tam już od czerwca i bardzo sobie chwalił. Robota na miejscu — w Radomsku, zarobki wysokie — do 40, 50 tysięcy, spory luz — można czasem nie przyjechać. Kierownik i brygadziści całkiem do rzeczy... Brzmiało to zachęcająco i młody człowiek, niewiele myśląc, rzucił placującą mało fabrykę. W podobny sposób znaleźli się w brygadzie: Grzegorz Wolski, Jacek Winer i inni. Niektórzy — wprost z „Japanki” przed wydziałem zatrudnienia. Każdy był dobry. Wymagał nie stawiano żadnych. Obiecywano dużo. Kto by więc na to nie poszedł?

Roboty miało być pod dostatkiem — ocieplanie szczytowych ścian bloków, malowanie wnętrza, piwnic... Nie specjalnie trudnego. Można się nauczyć, kiedy jest od kogo. Kierownik, albo brygadziści przecież pokażą, powie, co i jak. Jerzy Stracyński był tego pewien. Wielu pozostałych — także, jako że z budownictwem nie wszyscy mieli przedtem coś wspólnego. Lecz gdy Lech Grabiński polecił rozpocząć malowanie ścian od lamperii, nie potrafił dobrać farby klejowej, kazał przynieść z domu lub kupić sobie niektóre narzędzia, odcinał się z dostarczeniem ubrań roboczych, zaczęli podejrzewać, że coś tu nie jest tak.

— Wypożyczyl dla nas od spółdzielni mieszkaniowej wciągając ręcznie winde, taka kłątka na dwóch linach, ale jak ją zainstalować, jak obsługiwać zachowując bezpieczeństwo, nie powiedział. Musieliśmy biegać na budowy i podglądać.

Takich spraw z tygodnia na tydzień pojawiało się coraz więcej. W tajemniczych okolicznościach ginęły materiały, znikały narzędzia, zaczęły pojawiać się nieścisłości w dokumentach.

Jerzy Stracyński:
— Pamiętam, pracowałem na drugiej zmianie. Grabiński przywiózł styropian do ocieplania ścian, ale — dużo mniej niż było na kwicie, który kazał mi podpisać. Że niby odebrałem wszystko. Nie chciałem. Wytrzymał mi, że te brakujące arkusze dostała pierwsza zmiana. Kiedy później zapytałem tych z pierwszej zmiany, byli zdziwieni, bo żadnego styropianu wtedy nie dostali.

Włodzimierz Wilczyński:
— Grabiński zaproponował mi, abym dodatkowo na umowę-zlecenie robił haki do wbiwania w ścianę, na których miała się trzymać warstwa ocieplająca. Zgodziłem się chętnie, bo chciałem dorobić. Umowę podpisał prezes Klekociński, a Grabiński dostarczał mi metalowe pręty do ciecica i potem odbierał gotowe już haki. Na każdym miałem zarobić około stu złotych, ale nie zarobiłem, bo gdy zgłosiłem się w Gertrudowie po pieniądze, księgowa powiedziała, że wziął je już dla mnie Grabiński, a on z kolei — że nie brał i księgowa musiała się pomylić. O sto tysięcy?!

Paweł Wyka:
— Kierownik Blaszczykiewicz kazał nam ocieplać rury przy Piastowskiej 13. Mówił, że załatwił zlecenie spółdzielni mieszkaniowej. Robiliśmy we trzech chyba z tydzień — dopóki nie wyszło na jaw, że zlecenia nie ma i nikt za tę robotę nie zapłaci.

Jan Zakrzewski:
— Najpierw zarabialiśmy nawet dużo. Potem — coraz mniej. W październiku 1987 roku dostałem już tylko dziesięć tysięcy sześćset złotych i to dlatego, że ostro się dopominałem. Jak można pracować za takie pieniądze?

Włodzimierz Wilczyński:
— Pensja miała być płacona pod koniec miesiąca, w Radomsku. Czekaliśmy chyba z tydzień, ale pieniędzy nie było. Pojechaliśmy do Gertrudowa, dwadzieścia kilometrów — to samo. A to prezes czegoś nie podpisał, a to kasjerka gdzieś właśnie wyszła... Wreszcie spółdzielnia zamknęła. Po powrocie do Radomska żona objęła mnie, że znów nie przyniosłem fasy. Zdenierowałem się na dobre, wziąłem ją i dziecko i — prosto do Gomuła, do domu prezesa Klekocińskiego. Wrezyłem mu kartki, mówiąc, że skoro nie dostaje pensji, to teraz będę się u niego stołować.

— Mówię panu, to był jeden wielki burdel, ciągła improwizacja. Inna sprawa, że nie wszystkim chciało się uczciwie pracować. Byli tacy, co to porobił dwie, trzy godzinki, a potem urwał się na prywatną fuchę. Blaszczykiewicz i Grabiński, najczęściej przytykali jednak oko, bo miał im później kto podpisywać „lewe” kwity.

Grzegorz Wolski:
— Grabiński robił też tak, że dawał komus, przykładowo, sto wiertel widziowych, kazał potwierdzić na kwicie ich odbiór, a potem dopisywał jeszcze kilkadziesiąt sztuk w specjalnie zestawionym wolnym miejscu. Tak samo dopisywał farby, szpachlówki, czy inne rzeczy, których dostawaliśmy albo „na styk”, albo wcale. Początkowo nie mieliśmy pojęcia, że to robi. Potem się wydało.

Jacek Winer:
— Na fakturze pisali, że ściana była malowana dwa razy, a naprawdę myślny ją pomalowali raz, bo więcej nie było czym. Pisali, że była szpachlowana, a myśmy szpachlówki nie widzieli na oczu.

2. Władze oświatowe w Radomsku zawarły z RSP Gertrudów umowę na rozbudowę przedszkola nr 6. Brygada remontowo-budowlana przystąpiła do prac przygotowawczych, które polegały między innymi na... sprzedaniu płyt chodnikowych ze zdjętego chodnika. Dyrektorka przedszkola wezwała milicję. Większość płyt udało się odzyskać. Umowę — za obopólną zgodą — rozwiązano. Władze oświatowe odczłoniły z ulgą.

Przysłowie mówi, że okazja czyni złodzieja. A tu okazja nie brakowało. Warunki były wyjątkowo sprzyjające: podręczny magazyn brygady znajdował się w prywatnym garażu Bwy i Lecha Grabińskiego, „biuro” — w ich mieszkaniu, prezes Tadeusz Klekociński rzadko zaglądał do Radomska, a robotnicy — do Gertrudowa. Wielu z nich szybko odchodziło, czasem tak szybko, że pieczętą o zatrudnieniu przystawiano im w dowódzie osobistym równocześnie z pieczęcią o zwolnieniu. Wielu pracowało bez umowy o pracę, w której określono by zakres ich obowiązków i zasady wynagrodzenia.

Kandydatów na zwolnione miejsca nie brakowało. Wystarczyło znów pojechać pod wydział zatrudnienia. Każdy był dobry. Wymagał nie stawiano przecież żadnych, a obiecywano dużo. Ale ci, którzy popracowali dłużej i dalej chcieli pracować, coraz mniej byli z tego wszystkiego zadowoleni. Wreszcie nie wytrzymał i głośno powiedział: dość!

3. Prezes zarządu RSP w Gertrudowie, Tadeusz Klekociński sprowadza całą sprawę do wewnętrznego konfliktu w brygadzie między jej pracownikami a kierownictwem. Jego zdaniem,

Zamiast kołem ratunkowym, stała się kamieniem u szyi.

Ważne to je, co je moje

PAWEŁ TOMASZEWSKI

konflikt powstał dlatego, że brygadziści Lech Grabiński chciał zwolnić cztery osoby, które nie nie robiły. Były też nadpłaty pensji wliczanych przez kierownika Blaszczykiewicza, więc trzeba było obniżyć zarobki — nawet do 10 tysięcy miesięcznie. Wymagało tego dobro całej spółdzielni, ale ludzie z Radomska nie potrafili zrozumieć tej konieczności i zaczęli rozrabiać. A najwięcej — ci młodzi. Nagle wszystko przestało im się podobać, wszystkich chcieli pozwałniać ze stanowisk. Krzyczyli o jakichś kradzieżach, nadużyciach, dowodów jednak nie mieli. Rachunki i inne dokumenty przedstawiane przez kierownictwo brygady nie budziły wątpliwości prezesa. Wyglądało, że są w porządku. No to czy można było wyrzucić kogoś jedynie na podstawie głosolownych zarzutów?

Barbara Kot, członkini komisji rewizyjnej spółdzielni jest innego zdania. Mówi, że już dużo wcześniej wszyscy ostrzegali prezesa, ale nie odnosiło to żadnego skutku. Pamięta, jak komisja sprzeciwiła się wypłaceniu Lechowi Grabińskiemu 170 tysięcy złotych zaliczki „na zorganizowanie brygady”. Prezes postawił jednak na swoim, pieniądze dał, a efekt był taki, że do dziś nie wiadomo, na co właściwie pieniądze te zostały przeznaczone.

Podobnie było, gdy w jakimś czasie potem Lech Grabiński poprosił o 600 tysięcy złotych zaliczki. Wtedy już nawet księgowa kategorycznie odmówiła wystawienia czeku na taką sumę. Wszyscy, wszyscy byli przeciw. Tylko prezes uparł się i „na własną odpowiedzialność” dał mimo to ten czek. Lekka ręka dawał też i brał dla siebie talony na benzynę. I to miała być gospodarność?

— A mieszkanie dla kierownika Blaszczykiewicza? — pyta Barbara Kot.

4. Rzeczywiście, ta sprawa wywołała chyba najwięcej szumu i niezadowolenia w Gertrudowie. Było tak: Blaszczykiewicz nie miał gdzie mieszkać w Radomsku, bo pochodził z innych stron, zwrócił się więc do prezesa Klekocińskiego z prośbą, aby spółdzielnia... kupiła mu mieszkanie.

— Trzeba było pomóc człowiekowi — wyjaśnia prezes, który w sierpniu 1986 roku przygotował odpowiednie pismo do Radomskiego Spółdzielni Mieszkaniowej, i dodaje niezbyt przekonująco: — Chociaż wcale nie liczyłem, że coś z tego może wyjść, a w każdym razie — że tak szybko.

Tymczasem już 17 grudnia 1986 r. Władysław Blaszczykiewicz został członkiem spółdzielni mieszkaniowej, tego samego dnia przydzielono mu M-3, a w pięć dni później otrzymał do niego klucze i od razu się wprowadził.

Marian Berezka, prezes Radomskiego Spółdzielni Mieszkaniowej przyznaje, że może rzeczywiście nie było to całkiem w porządku wobec innych członków spółdzielni, którzy muszą oczekiwać na mieszkanie 10 lat, albo i więcej. Twierdzi jednak, że nie miał innego wyjścia, gdyż RSP w Gertrudowie uzależniła od tego mieszkania podpisanie umowy na ocieplenie bloków, a żaden inny wykonawca nie oferował tak dogodnych warunków. Prezes Marian Berezka wybrał zatem jedynie mniejsze zło.

Prezes Klekociński zaprzecza, jakoby wiedział coś o tym szantażu. Jeśli więc do tego doszło, to za jego plecami. Nie przeczy natomiast, iż mieszkanie dla Władysława Blaszczykiewicza kosztowało będącą na skraju bankructwa RSP Gertrudów 631 tysięcy złotych, z czego połowa miała zostać zwrócona jej przez spółdzielnię mieszkaniową, połowa zaś — spłacona w miesięcznych ratach przez samego zainteresowanego. A to, że Blaszczykiewicz odmówił później spłaty, to już — zdaniem prezesa — całkiem inna historia.

Gertrudowanie długo nie mogli darować te-

go mieszkania Blaszczykiewiczowi. Tak samo tego, że zarabia 40 tysięcy, podczas gdy oni ledwo po 15, chociaż było to nie w porównaniu z zarobkami Lecha Grabińskiego sięgającymi 150 tysięcy złotych na miesiąc. Bo Grabiński był jakby na oddzielnym prawach: niby podlegał prezesowi, a tak naprawdę... Różnie na ten temat mówiono.

Dość, że wszystko to doprowadziło do zwolnienia członków z głębokiego przekonania, że utrzymanie brygady kosztuje ich zbyt dużo i że w niej właśnie jest źródło wszelkiego zła, które panoszy się po spółdzielni. Z kolei robotnicy — choć mieszkający w Radomsku i nie mający z ziemią nic wspólnego, to jednak będący pełnoprawnymi członkami rolniczej spółdzielni produkcyjnej — uważali, że to tylko dzięki nim rolnicy mają jeszcze za co żyć. Denierowało ich na przykład, że zimą pograżała się w błogim lenistwie, zamiast jak oni na budowie zakasać rękawy. Denierowała nieudolność, brak zdecydowania...

5. Był pomysł, aby uruchomić w Gertrudowie stolarnię, która przede wszystkim właśnie zimą dałaby ludziom zajęcie i trochę więcej grosza do podziału. Zakupiono nawet wieloczołową obrabiarkę za prawie pół miliona, zatrudniono kierowniczkę stolarni — po studiach o rzadkiej wesołości: technologia drewna. Próbowano zelarwić tarcice, znaleźć kontrahentów i ruszyć z jakąś prostą produkcją — choćby drzwi do piwnic. Uciekała po trzech miesiącach, gdy bliżej przyjrzała się funkcjonowaniu spółdzielni. Bala się, że będzie musiała pisać pismo, które kto inny może jej nawrócić.

No i stolarni nie ma, obrabiarka rdzewieje. Ludzie nadal nudzą się setnie od żniw do siewów.

— Jakby nam dali robotę — wzdycha Ireneusz Kopic — to i spółdzielnia by miała, i my byśmy więcej zarobili, bo żyć za te piętnaście tysięcy już przecież niepodobna. Ale prezesa to nie obchodzi. On dba tylko o swoje, ile razy już mi mówił, że to nie tak, tamto nie tak... Jak grochem o ścianę.

— Ale to nie prezes, a wy — walne zgromadzenie członków spółdzielni jestecie tu najwyższą władzą. To wasza spółdzielnia i wy macie w niej decydujący głos.

— Wie pan, tak się tylko mówi, a naprawdę to prezes robi, co chce. Dlatego dopóki nie zaprowadzi w Gertrudowie porządku ktoś z góry, dobrze nie będzie. My już próbowali!

6. To prawda — przyznaje Jerzy Stracyński — że większość pracowników brygady domagała się zwolnienia kierownika, brygadziści oraz prezesa Klekocińskiego, krył tamtych, tolerował marnotrawstwo w spółdzielni... Nie nadszedł się na stanowisko. Ludzie w Gertrudowie też byli tego zdania — prywatnie; oficjalnie raczej woleli się nie wychylać, przynajmniej niektórzy. Młodzi z Radomska nie mieli związanych rąk wniesionymi do spółdzielni hektarami i w każdej chwili mogli odejść z RSP Gertrudów do jakiejś innej roboty. Jeżeli zwlekali z tym tak długo, to tylko po to, aby wygrać walkę z prezesem i jego poplecikami, a potem — myśleli — móc uczciwie i za godne pensje pracować. Przynajmniej niektórzy.

Początkowo wyglądało na to, że mają w rękach wszystkie lub prawie wszystkie atuty. Brakowało im chyba tylko jakiegoś wsparcia z góry, jakiegoś „wejścia” w partii, czy władz administracyjnych, które mogłyby przyspieszyć bieg spraw. Bez tego wszędzie byli skazywani na występowanie jako bliżej nieznani potencjał, a takim wierzy się, albo nie, traktując poważnie, albo zbywa.

Młodzi pracownicy brygady pukali do wielu drzwi. Już w 1986 roku któryś powiadomił milicję. Później poszli do komendy całą grupą. Sekcja do spraw przestępstw gospodarczych oczywiście zainteresowała się sprawą, ale fakt ten długo nie miał absolutnie żadnego wpływu na to co dzieje się w Gertrudowie. A działało się źle, coraz gorzej, trzeba więc było szukać pomocy szybszej i skuteczniejszej. Popłynęły pisma do: Wojewódzkiego i Centralnego Związku Rolniczych Spółdzielni Produkcyjnych, Najwyższej Izby Kontroli, Prokuratury Generalnej, Komitetu Centralnego PZPR. Była wizyta w Komitecie Wojewódzkim w Piotrkowie.

Owszem, obiecywano zająć się sprawą, przesyłano skargi do właściwych jednostek, powiadamiano... A czas płynął, wzmagala się niecierpliwość i poczucie bezsilności wobec zła. Równocześnie toczyła się coraz bardziej zacięta walka na walnych zgromadzeniach członków RSP w Gertrudowie.

Walne zgromadzenie 23 marca 1987 roku: Barbara Kot porusza sprawę mieszkania dla Władysława Blaszczykiewicza. Jerzy Stracyński — zaliczki 600 tysięcy złotych dla Lecha Grabińskiego. Zygmunt Chudy z WZRSP zwraca uwagę na to, że w tym czasie nieproporcjonalnie duży wzrost liczb członków spółdzielni (brygady) i sum tzw. przerobu w stosunku do osiąganych zysków. W podsumowaniu przewodniczący GRN w Gomułce, Kazimierz Krawczyk stwierdza m.in.: „...jest mi miło być na tak wspaniałym zebraniu. Kolega Klekociński wnosił duży wkład w tę spółdzielnię, organizując dwie grupy: remontową i stolarnię”.

Walne zgromadzenie 28 kwietnia 1987 roku: Poruszona zostaje sprawa zaliczek polustracyjnych, a wśród nich — dotyczących zwolnienia brygadysty i kierownika brygady remon-

towo-budowlanej. Lech Grabiński grozi, że sam odejdzie!

Walne zgromadzenie 31 lipca 1987 roku: Jerzy Stracyński zgłasza zastrzeżenia do porządku obrad, gdyż nie został uwzględniony punkt zaproponowany przez pracowników brygady, a dotyczący zwolnienia brygadysty i kierownika. Padają konkretne przykłady marnotrawstwa materiałów, fałszowania dokumentów i innych machinacji. Odbija się też głosowanie nad propozycją przesunięcia Lecha Grabińskiego na etat pracownika fizycznego. 31 głosów za, 1 przeciw, 2 wstrzymujące się. Powołana zostaje również komisja, która zbadać ma działalność brygady i przeprowadzić spis materiałów „na budowach” w Radomsku (nigdy do tego nie dojdzie wobec późniejszego sprzeciwu prezesa! — przyp. P.T.).

Walne zgromadzenie 25 września 1987 roku: W porządku obrad m.in.: zwolnienie brygadysty i kierownika brygady (gdzie de facto nadal pełnił swe funkcje) i „rozpatrzenie przydatności” Tadeusza Klekocińskiego jako prezesa. Przewodniczący komisji rewizyjnej spółdzielni, Waldemar Dąbrowski oświadcza, że prezes nie wypełnia swych obowiązków i dlatego on nie widzi go dłużej na tym stanowisku. Prezes zapowiada, że wobec tego sam złoży rezygnację, ale najpierw chce jeszcze wykorzystać urlop. Barbara Kot informuje, iż była na kontroli u przebywającego na zwolnieniu lekarskim Lecha Grabińskiego i stwierdziła, że zamiast lekarstw pił wódkę. Przyjęta zostaje uchwała, że zarówno brygadziści, jak i kierownik skreśleni zostaną z listy spółdzielców, gdy tylko skończy się im zwolnienie lekarskie. Tymczasem złożyli pisemne odwołania od decyzji przeniesienia ich do fizycznej pracy.

Walne zgromadzenie 21 stycznia 1988 roku: Przedstawiony zostaje kilkudziesięciopunktowy protokół z kontroli, jaką w RSP Gertrudów przeprowadziła Lecha Skarbowa z Częstochowie. Dotychczasowe zarzuty wobec kierownika i brygadysty nie tylko potwierdziła się w pełni, ale wychodzą na jaw też nowe, nieznane przedtem fakty. Obaj nadal nie są jednak zwolnieni, gdyż nie zostali powiadomieni o zebraniu na piśmie. Protokół oraz wyniki ostatniej lustracji ujawniają także szereg poważnych błędów i nadużyć popełnionych przez prezesa. Józef Jankowski, wiceprezes WZRSP mówi, że „ktoś odpowiada za ten bałagan w tej spółdzielni. Skargi, które są w WZRSP potwierdzają te zarzuty na działalność prezesa. Skoro podpisuje się zaliczki, a są nierozliczone poprzednie, to to też o czymś świadczy. Wyniki gospodarcze są coraz gorsze, toleruje się złodziejstwo...”. Naczelnik gminy, Henryk Tazbir wyjaśnia zebraniemu, że „z rolnictwa przecież spółdzielnia się nie utrzyma i w związku z tym podjęliśmy decyzję o założeniu grupy remontowo-budowlanej i nie trzeba tu winić prezesa, że trafił się na takie kierownictwo, a nie inne”. I sekretarz KG PZPR, Józef Skrobek zaś — że „prezes spółdzielni nie przybył tu z własnej woli, został on zmuszony i bardzo mu się dziwię, że podejmuje się tak trudnego zadania (...). Prezes ma za mały nadzór nad wszystkimi pracownikami i to jest bardzo źle (...). Jednak za to co zrobił należą mu się podziękowania”. A Tadeusz Klekociński broni się rozbrajająco: „Za nadbranie wypłaty nie ponoszę sam odpowiedzialności, ponieważ mam księgową i powinna sprawdzić, czy wypłata jest zgodna z fakturami. Jeżeli pracownicy (w Gertrudowie — przyp. P.T.) mają pretensje o wypłaty, to nie jest to moja wina, bo mam kierowniczkę...”

(W RSP Gertrudów na 27 pracowników aż 7 zajmują pełne etaty nieprodukcyjne).

Walne zgromadzenie z 19 lutego 1988 roku: Prezes Klekociński rozlicza się ostro i pryncypialnie z kierownictwem brygady remontowo-budowlanej. Przedstawia zarzuty wobec Lecha Grabińskiego: „całkowity brak nadzoru nad pracami budowlanymi, prace wykonywane były źle, (...) bezzasadnie rozliczył na poczet własnego zadłużenia kwotę 311 080 zł, przedstawił rachunki na nie zakupione materiały...”. 18 głosami za przy 6 przeciw Lech Grabiński zostaje wykluczony z grona spółdzielców. Z kolei prezes przedstawia zarzuty wobec Władysława Blaszczykiewicza: „umyślne działanie na szkodę spółdzielni, zawyżanie faktur poprzez wpisywanie robót, które nie były wykonane, nie rozliczył się z 269 litrów farby olejnej, nie rozliczył się z 500 kg szpachli olejnej, spowodował nadpłatę wynagrodzeń na kwotę 593 239 zł”. Stosunkiem głosów 22 do 3 Władysław Blaszczykiewicz również zostaje wykluczony. Na jego miejsce od razu przyjęty zostaje nowy kierownik brygady. Wykluczeni również zostają czterej pracownicy z Radomska. Są wśród nich „rozrabiacze”, którzy przedtem domagali się usunięcia swych bezpośrednich przełożonych oraz prezesa.

Innych „rozrabiaczy” albo wykluczono już wcześniej, albo sami odeszli — zmęczeni, zniechęceni... Pole bitwy zostało oczyszczone. Prezes Tadeusz Klekociński pozostał.

7. Jerzy Stracyński, Grzegorz Wolski, Włodzimierz Wilczyński i Jacek Winer z Radomska mówią, że ani do państwowej, ani do spółdzielczej roboty już nie pójdą. Dosyć się napraczyli, jak wygląda tam gospodarność, uczciwość, sprawiedliwość i za co się naprawdę bierze pieniądze.

Ireneusz Kopic i Barbara Kot z Gertrudowa myślą o wystąpieniu ze spółdzielni, odebraniu wniesionej ziemi i — być może — utworzeniu swych dawnych gospodarstw indywidualnych. Zamiast polepszyć — mówią — tośmy sobie pogorszyli. Ale to niezwykle trudne, bo wstępując do spółdzielni mieli przecież maszyny, inwentarz..., teraz nie mają nic. Pieniądzy również. No, i są o dziesięć lat starsi.

W WZRSP w Piotrkowie Trybunalskim na sam dzień nazwy Gertrudów wszystkim robi się niedobrze. Żadna spółdzielnia nie dała się im tak we znaki, jak właśnie ta. Ale co zrobić — związek jest bezzilny, a prawo spółdzielcze tak samo chroni uczciwych i pracowitych, jak małwersantów i walkoni. Ono jest bardzo dobre, ale dla mądrych — powtarza się tu i nie kryje obaw, czy aby „sprawa Gertrudowa nie rozejdzie się w rasem po kościach”. Bo to już naprawdę stanowczo za długo trwa!

Nie jest to wstrząsająca popularność, ale wystarcza. Wsiadłem do taksówki, której numer boczny nie powinien nikogo obchodzić, i ten gość, co trzymał w rękach kierownicę, strzelił najpierw okiem w lusterko wsteczne, a potem odwrócił się i powiedział, że pamięta mnie jeszcze z tych czasów, kiedy grałem na trąbce.

— Jak pan chce — powiedział — dam panu materiał do powieści o taksówkarzach. Doceniłem ten wspaniały gest, odparłem wszelako, że na powieść o taksówkarzach, to trzeba mieć pomysły, sam materiał nie wystarczy. Dodałem, że jeśli bym musiał szukać tego pomysłu, to znam paru taksówkarzy z biografiami. Jeden z nich był kiedyś znakiem telewizyjnym sprawozdawcą sportowym, drugi muzykiem, trzeci inżynierem, czwarty fotoreporterem „Odgłosów”, a piąty, wielki jak szafa, potrzebny byłby jednym uderzeniem pięści wszystkie śmiechne i trzonośne zęby każdego terrorysty.

— Ale ja siedzę za kółkiem dwadzieścia sześć lat — rzekł złośliwie.

— Zawodowiec z pana?

— Jasne!

W czwartek dwudziestego pierwszego kwietnia, kiedy

dam do nich z chodnika. — Muszę tylko wejść do tego domu i zadzwonić na milicję”. — Zrobiłem spokojnie parę kroków, a potem odwróciłem się. Gości wywołało. W takich wypadkach uczęchaj taksówkarz powinien być konfidentem. W przeciwnym razie mógłby paść ofiarą tych dani inny, mniej doświadczony taksówkarz. Oni wiedzą, że my zawsze trzymamy przy sobie trochę grosza. Czasem zresztą nie potrzebują pieniędzy tylko samochodu, żeby przemieścić się szybko do obcego miasta po skoku lub wykroczyć jakąś perfidną aferę. Taksówkarz po zmroku musi być czujny. W dzień też. Nikomu nie wierzę. Nawet kobietom. Wpakowała się kiedyś taka wymalowana suka i prosi, żeby ją podrzucić na Limanowskiego. Popatrzyłem na mnie! Przystojniak to ja nie jestem, a ona, ledwo ujechaliśmy sto metrów, zaczyna mi zasławać komplementy, że wy-czuwa we mnie prawdziwego mężczyznę, że z takim jak ja można by ukrąść stado koni, że zna cynka, który chce sprzedać tani papier i że z przyjemnością wypłaca by mu butelkę. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie oddychała tak szybko, nerwowo, i gdyby adres, który mi podała, nie dotyczył speluny, jaką spotkać można tylko w starych domach na przedmieściu. Zatrzymałem się i mówię: — „Trzysta”. — „Nie wejdzie pan do mnie?”. — „Spiesz się”.

Prawdziwą rewolucję seksualną przeżywamy dzięki tym filmom, które telewizja puszcza w nocy.

— Mnie te filmy bardzo się podobały.

— A mnie nie. Teraz nawet o piątej po południu dziecko nastawia telewizor i od razu musi zobaczyć cycki i golą dupę.

— Księdzem pan powinien zostać.

— Żeby pan wiedział. Spia-wit pan człowieka, któremu zarzyci taksówkę. Pan wie, co to jest zarzycana taksówka? Cuchnie to później całym dniem. A bywa i tak, że zamiast rzucić, pasażer wybebesza panu z bezinteresownej zemsty siedzenia zyletka, kroi koca, zrywa okładziny, odkręca klamki i kradnie, co tylko znajdzie pod łapą. Bywa, że wieziesz pan faceta i nie masz pan najmniejszych wątpliwości, że ta teczka, ten aparat, to radio, które ścisła w rękach, zostało przed chwilą komuś zwinięte. W taksówkach macherzy dokonują operacji walutowych, w taksówkach zamożni alkoholicy odpysyają lbać, w taksówkach — przeżyłem taki numer — dziewczyny robią narkomanom zastrzyki dożylny. Zdenerwowałem się wtedy, a panna patrzyła mi z uśmiechem w oczy i zasława: — Mój narzeczony jest cukrzykiem. — Pała także w taksówkach papierosy o podejrzanych aromacie, piją do dna

Warszawy książkę z dedykacją. Nie uwierzyłem. A tu któregoś dnia...

— W porządku — powiedziałem. — Cieszę się, że pomaga pan artyście.

— Tfu! Pijani artyści, panie, to zaraza. Krążyłem niedawno z takim jednym brodatym palantem po mieście. Kazał stanąć na Traugutta pod Grandem, Stanąłem. Dał mi pięćseta i wysłał mnie do cukierni po ciastka. Inny taksjarsz postąpił go do wszystkich diabłów, ale ja wiem, że na Zachodzie takie rzeczy są praktykowane, więc wszedłem do cukierni i wziąłem co trzeba. Podaje mu to w paczce, a on wrzeszczy, że wuzetki, to ja sobie mogę wpakować w odbytnicę. Odniosłem wuzetki i podaje mu tysiąc. Gość miał zawężenie świadomości.

— „I co ty mi, gnoju kupi-teś?” — pyta.

— „To co było — mówię”.

— „Wyp...”.

— To wziąłem dwa ciastka w rękę i rozmasałem mu to na twarzy.

— Ucieszył się?

— Nie bardzo. Ale wyglądał jak święty Mikołaj.

— Wasy mu urosły?

— Wasy to on już miał. Do-robiłem mu baki i brode.

— Ostro z pana jegomość.

— Nie zawsze.

— Lubi pan swój fach?

— Czy ja wiem? Człowiek zdążył się przyzwyczaić. Ale nerwy cały czas są napięte. Taksjarsz, to jest taki gość, który na każdym kroku ma wro-gów. Wrogiem jest śnieg, mróz, deszcz, mgła, nie douczony, jadący z tyłu albo z naprzeciwka kierowca; wrogiem może być zbyt gorliwy milicjant, no i wrogiem bywa często pasażer. Cios może paść z każdej strony. Mogę panu tylko powie-dzieć, że jem ciężki i uczciwy chleb. I sumienie też mam czyste. Nigdy nie zostawiłem na ulicy chorego człowieka czy zabłąkanego dziecka. Nieraz u-lituję się nad psem, a nieraz nawet nad pijakiem, bo jak nie, to biedak trafi do izby wytrze-zówień i ślono za to zapłaci.

— A tak w ogóle, to jak się panu powodzi?

— Średnio. Zauważył pan chyba, że na postojach jest co-rz łatwiej o taksówkę? Trud-no znaleźć się ludziom. Drugo. Taksówkarz jak muzyk, zarab-ia dobrze w święta, w Sylwe-strę, w karnawał, w okresie kiedy jest moda na wesela i bale, w czasie, kiedy dzieci przystępują do komunii i chrzty.

— No i wtedy, kiedy ma do-bry samochód. Jak to się dzie-je, że kraja po Łodzi tyle pięk-nych nowych taksówek-merce-desów, a o tym, żeby się taki zatrzymał na ulicy albo na po-stoju, można sobie najwyżej pomarzyć?

— Bo to są wozy do zadań specjalnych.

— Jakich?

— Tego panu nie powiem.

— Nie tylko piłkarze strzegą swoich tajemnic?

— Oczywiście.

Byłem rozczarowany, kiedy poznałem się z nim na Piotrkowskiej. Nie powiedział mi nic nadzwyczajnego, nie zdradził przede mną żadnych mroczących krew w żyłach sekretów. Jeśli czegoś by sobie w ogóle ży-czył, to żeby w Łodzi zmieniły się zwyczaje i obyczaje, żeby było tak, jak jest w Warsza-wie.

— A jak tam jest? — zapy-tałem.

— Prawidłowo. Na postoju stoi druga, zniecierpliwiona ko-lejka. Podjeżdża taksówka. Pa-sażer wsiada. Wówczas tary-fasz krzyczy przez okno: — Kto jeszcze na Pragę? — z ko-lejki występują dwie — trzy osoby i pakują się do gabloty. W ten sposób złotowa ma do-datkowy zarobek, a pasażerowie oszczędzają na nerwach i czasie. W Łodzi ta rutyna nie chce się jakoś upowszechnić. Łódzianie to egoiści: wolą pod-różować sami.

— Jest jeszcze druga strona medalu — powiedziałem. — Łódzianie wolą nierzaz poczekać dłużej, niż mieć świadomość, że taksówkarz zarabia na nich poza licznikiem.

— „Nie”.

— „Bo kupiłem je w Szwec-ji”.

— Przysięgam, że przysięgam i



Mówi: Jan Reising

— Zaczniemy rozmowę od przypomnienia: wyraził pan chęć uhonorowania tegorocznego laureata nagrody „Odgłosów” dodat-kowo własną nagrodą. Dlaczego?

— Po pierwsze dlatego, iż jestem stałym czytelnikiem „Odgło-sów”, po drugie: wasza akcja, aby nagradzać ludzi upowszechniających kulturę moim zdaniem, jest niezwykle ważna. Bo proszę popatrzyć wokół: kto dziś tak naprawdę chce upowszechniać kulturę, skoro te dobra są tak trudno dostępne? A jeśli już ktoś to robi, to otrzymuje za to przysłowiowe grosze. Dlatego postanowiłem dołożyć od siebie co nieco do waszej nagrody, uważam, że dotacji na kulturę nigdy nie jest za dużo, a premiowanie tych, którzy tę kulturę upowszechniają jest społeczną powinnością nas wszystkich.

— Pańska działalność zawodowa niewiele ma wspólnego z kulturą, a już zupełnie nie mieści się w pojęciu „upowszechnianie”.

— Jak każdy, mam także swoje zainteresowania. Po pracy, po całodziennym gonitwie zasiadam do czytania: książki, czasopis-ma, gazety. Zaczynam od „Odgłosów”. Muszę powiedzieć, że gdzieś tak od dwóch lat, wasz tygodnik stał się niezwykle in-teresyjący. Jest tam taka różnorodność tematyki, że bywa, iż kłócimy się z synem, kto pierwszy ma czytać. A mówiąc szcze-rze, to po pracy, przynajmniej takiej jak moja, nie można się zamknąć w małym kręgu, odizolować się od wszystkiego, za-paść w sen. Przecież nie wiedziałbym, na jakim świecie żyję. Mówi się, że robotnik jak to robotnik, nie go nie interesuje. Nieprawda. My w zakładzie jak jest jakiś ciekawy temat, to wszyscy dyskutujemy. I nieraz bardzo zawzięcie. I dlatego u-ważam, że propagatorzy kultury winni właśnie docierać do ro-botnika, do tych z produkcji. Bo dziś przy maszynie nie stoi robot, ale człowiek, który chce wiedzieć, wiedzieć coraz więcej.

— Od jak dawna czyta pan „Odgłosy”?

— Gdzieś od siedmiu, ośmiu lat. Teraz mogę „Odgłosy” kupić co tydzień, ale kiedyś tak nie było. Po prostu trzeba było na nie polować...

— Zapewne bierze się to z faktu, że kiedyś nasz nakład os-cylował w granicach 30 tysięcy egzemplarzy, dziś drukujemy przeszło 50 tysięcy.

— Nie wiem, ale ostatni numer „Odgłosów” dostałem dopiero w trzecim kiosku. Ale teraz i tematów jest tam więcej. Nieraz, jak zabiorę się za czytanie, to kończę o 2—3 w nocy. Nie mo-gę się oderwać. A do tego: „Panorama”, „Przekrój”, „Przegląd Tygodniowy”, „Polityka”. Jest tego, jak pan widzi, sporo.

— Na co dzień zajmuje się pan szlifowaniem szkła. Według mnie, by wykonywać takie zajęcia nie wystarczy mieć sprawne ręce, ale trzeba posiadać także sporo wyobraźni. Porozmawiajmy na ten temat.

— Moje kontakty ze szkłem zaczęły się w młodości. Wpierw po szkole podstawowej poszedłem do Technikum Gastronomicz-nego w Gdańsku. Absolwenci tego technikum byli zatrudniani na statkach. A więc były to młodzieńcze ciagoty romantyczne: rozumie pan — morze. Niestety, były to lata pięćdziesiąte, ro-dzice nie mogli płacić za internat po 240 zł miesięcznie. Prze-rzuciłem naukę i trafiłem do Huty Szkła „Hortensja” w Piotrkowie. Zaczęliśmy ukończyć zawodówkę, potem ogólniak. I cały czas pracowałem.

— Długo?

— Od 1956 do 1964 roku.

— Co pan robił?

— Byłem zdobnikiem szkła. W roku 1960 nasz zespół, zes-pół Stanisława Gajewskiego, był pierwszą Brygadą Pracy Socja-listycznej w przemyśle szklarskim. Z tego okresu pozostała mi Brazowa Odmiana im. Janka Krasińskiego. Tu muszę się pochwa-lić, że byliśmy pierwsi, którzy złamali stare tradycje pracy. Niegdyś nie było tempa, wydajność była słaba. Np. na kon-kretnym szlifie można było zrobić 100 sztuk dziennie, a oni robili 60—70. A myśmy te normy pozrywali i doszło do tego, że brygada wykonywała po 100 sztuk dziennie danego szlif. Po-ciągnęliśmy wkrótce innych za sobą. Pamiętam, że kiedy Zwią-zek Radziecki zamówił u nas 2 mln szklanek do herbaty, to wykonaliśmy je nie wiedząc kiedy. Starszym to w głowie się nie mieściło: jak to oni mogli zrobić?!

— Co było dalej?

— Dalej był Piotrkowski Ośrodek Sportu i Turystyki, gdzie zostałem zastępcą kierownika. Ale to także nie był przypadek, bowiem zawsze „działałem w sporcie”: to w sekcji kolarskiej, to w komisji sportu w „Hortensji”, to przy organizowaniu bie-gów masowych, nauki pływania itp.

— Stamtąd odszedł pan do własnej firmy?

— Nie, zostałem służbowo oddelegowany do zorganizowania w Piotrkowie „Orbisu”.

— Od kiedy jest pan „na swoim”?

— Od 1970 roku.

— Rozpoczynając pracę na własny rachunek, czy zastosował pan doświadczenia nabyte w Brygadzie Pracy Socjalistycznej, gdzie było przede wszystkim tempo, czy też u siebie wprowadził pan metodę: wolniej ale dokładniej?

— Powiedziałem sobie tak: jeśli na szklance jest jakiś wzór do zrobienia, to ja muszę go zrobić jeszcze lepiej. A gdzieś od początku lat osiemdziesiątych, kiedy nabyłem już odpowiednie maszyny, zacząłem zdobić kryształ. Wreszcie mogłem się wy-żyć.

— Czy brał pan udział w jakichś wystawach?

— Tak, w Poznaniu, Łodzi, w warszawskim „Arsenale”...

— Z jakim skutkiem?

— Uzbierałem sporo dyplomów.

— Medali nie?

— Na tego rodzaju wystawach medali się nie przyznaje.

— Kto jest odbiorcą pańskiej produkcji?

— Rynek krajowy. Kiedyś chciałem zrobić coś na eksport, ale formalności mnie dobiły.

— Czy wszystko, co pan wyprodukuje, znajduje odbiorcę?

— Ja, proszę pana, za swoje wyroby się nie wstydzę. I moje wyroby nie zalegają u mnie w magazynie. Niestety, są inne kłopoty: surowiec biorę z hut spółdzielczych, a jest to bardzo słaby surowiec, z którego nie można niczego dobrego zrobić. Bo w naszym fachu jest tak: musi być dobry surowiec i dobry fason, dopiero wówczas daje się szlif.

— Kto panu projektuje wzory?

— Sam je wymyślam.

— Wracając do nagrody „Odgłosów”, zaczynam rozumieć dla-czego pan zdecydował się na ufundowanie skromnego daru od siebie: bo był pan w przeszłości społecznikiem, może w innej dziedzinie, a przecież coś tam pan upowszechniał.

— Wie pan, największą satysfakcją jest, jeśli robi się coś dla drugiego człowieka.

— Zgadza się i dziękuję za rozmowę.

W każdym zawodzie trafia się parszywa owca!

Złotowa

ANDRZEJ MAKOWIECKI

miałem w redakcji dyżur przy telefonie, zadzwonił do mnie taksówkarz z pretensją, że pa-sażerka zarzuciła mu wóz:

— I co?

— Nic. Nie wspominałem o tym w raporcie, bo facet nie chciał się przedstawić. Nie lu-bie anonimowych listów, ani-mimowych telefonów i anoni-mowych znajomości. Jak pan się nazywa?

— Powiedział.

— I gdzie to niby słyszał cennie pan, jak grałem na trąb-ble?

— W MDK.

— No to wal pan te swoje taksówkowe rewelacje!

— Tu?

— Co za różnica? Była noc. Wracałem z podle-go poddóbkiego miasteczka, które zawiadło mój Instytutk reporterski. Jedynym godnym uwagi faktem, jaki udało mi się stamtąd wywieźć, była na-rożna knajpa sąsiadująca o metr z torowiskiem tramwa-jowym, dzięki czemu pijak po opuszczeniu knajpy miał wsze-lkie szanse zatoczyć się o ten głupi metr i skończyć swój kłanibny żywot pod kołami. Nie było jednak żadnego tak-iego wypadku. Pijacy na ogół mają szczęście i jeśli nawet któryś się zatoczy, to we wła-sciwym kierunku.

— Taksówkarz o takim stażu jak ja — mówił z pychą zło-towa — wie o ludziach trochę więcej niż detektyw Scotland Yardu i cwaniki z FBI. Pan może nie wierzyć, ale kiedy klient wsiada do gabloty, ode-niam go w ułamku sekundy i pewnie dlatego do tej pory ży-ję. Przedwczoraj wysiadłem pasażerkę na Wojska Polskiego i upakowało mi się do środka dwóch urkosów.

— „Gdzie jedziemy?” — za-pytałem.

— „Do Łagiewnik”.

— „Krótko mówiąc do la-su?”.

— „Tak”.

— „Proszę bardzo”.

— Inny na moim miejscu zacząłby się z typami chandry-czyć i od razu dostałby w łeb, bo to był element przestępczy: lekko tylko narabany, zdespe-rowany, spieszący się gdzieś, wie pan, taki, co nie ma już czasu na żadne namysły. A ja uwa-lem się nie chandryczyć. Ja-dę i to w stronę lasu, a potem nagle, przed mostem, zatrzymu-je gablotę, wyciągam kluczyczki i wychodzę tak szybko, że oni nawet nie zdążyli się odezwąć.

— „Zaraz wracam — powia-

— „Ale ja nie mam przy so-bie pieniędzy”.

— „Poczekam”.

— Odeszła i wróciła dziesięć minut później z próbką, abym wszedł na górę, bo zachorowa-ła matka, zawał, trzeba ją od-transportować na pogotowie. I teraz zaczyna pan ze sobą wal-czyć. Łże kurwizson jak pies. A jeśli nie łże? Jeśli matka naprawdę jest chora? Idę za nią po schodach, zapachy, z drzew na pierwszym piętrze wyfrzwały dwa rozkudłone me-skie tby i znikły. Kurwizson mel-duje, że to kuzyni z Wro-clawia. To ja zavracam.

— „Jak ma pani dwóch ku-zynów — mówię — to niech wezmą matkę z obu stron pod ręce i przyniosą do taksówki”.

Myśli pan, że nie poczeka-łem? Poczekalem. Potem odje-chałem bez matki i bez pienięd-zy za kurs, ale nikt mnie nie poblił, nie ograł, nie uścił. W tym zawodzie trzeba umieć re-zygnować.

Jak powiedziałem Grażynie Olechnowicz, że dzwonił do mnie ze skargą anonimowy taksów-karz, któremu pasażerka za-paskudziła samochód, pani re-daktor westchnęła i orzekła, że złotowy mają jednak ciężkie życie. Zły jestem na taksówka-rzy za to, że jeden z nich pod-wędził mi brazylijską torbę, o czym już kiedyś wspominałem w „Odgłosach”. Ale fakt, lek-kiego życia nie mają.

Ten, co mnie wioził z podle-go poddóbkiego miasteczka, też się skarżył:

— Gdyby moja żona wiedzia-ła, czego ja się nieraz w tak-sówce napatrzę i nasłucham, to by chyba dała mi rozwód. Pan jedziesz, kręci kierownic-ą, a ta parka, niby taka sym-patyczna, odstawia numer po francusku. Użył człowieka pie-kę, a przecież nie wypada się odwrócić i urzasnąć: — Woni!

— Jak mieszane towarzystwo z knajpy łapie nocą taryfę, to na tylnym siedzeniu obowiązk-o-wo będzie szarpanina i moca-donia. Czasem zdarzają się pa-no-nie piorą się po pyskach, cza-sem panie idą na całosc i nie krecupują się, moją obecnością zaczynają pracować na jedzeń, ale wtedy moja cierpliwość się kończy: otwieram drzwi i krzy-czę: — Jazda! Do bramy z ga-chem, zdiro, albo do hotelu.

— A ona na to: — Wolnego, pan wie, kim ja jestem?!

To prawda. Walą się w tak-sówkach prostytutki, ale uwa-lem się także damy z towarzysztwa. Wszyscy chcą się walić — ona w drodze do domu, gdzie czeka mąż, a on w drodze do do-mu, gdzie czeka żona i dzieci. Walą się lumpy, ale uwa-lem się również dyrektorzy i działacze.

z małych buteleczek walerian, lękają prochy i drah, który wsiadł do taryfy o własnych siłach, omalowa mi w drodze tak, że muszę go wleść za dar-mo do szpitala albo taszczyć na plecach do domu.

Powiedziałem: — Znam taksówkarzy, którzy są na usługach prostytutek; czekają pod renomowanymi ho-telami i żyją z nierządu. Znam taksówkarzy od waluty, czar-nych interesów i nieprawych kontaktów.

— W każdym zawodzie trafi się parszywa owca. U was też się trafi.

— Jasne.

— Wiozłem kiedyś znanego pisarza, warszawiaka. Był to wspaniały gość. Zasmolił się jak stodoła u znajomych. W grud-niu kilka lat temu, w ciężki śnieg i mróz. Znamy chcieli zatrzymać go na noc, więc schowali mu kożuch i buty i położyli się spać, a on ocknął się o dziesiątej wieczorem i wybiegł na ulicę, gdzie hotel jest pod nosem. Miał tylko na so-bie kożuch, ciemki garnitur i skarpetki. Wskoczył do tram-waju, który zawiózł go na Wi-dzew, później innym tramwa-jem zawoził na Teofilów. Coś mu się poprzestawiało w głowie. Zrobił dwa chybotne kursy autobusem, po czym za-czął polować na taryfę. Tary-fiarze stronili od niego, jakby miał trąd.

— Złobę — powiedziałem.

— Ale tam, złobę! Brakło im po prostu wyobraźni. Mnie wy-starczył jeden rzut oka i zgar-nąłem go w biegu. Był już trzeci. Pokrzyknąłem biedacz-kę z flachy, którą trzymam na wszelki wypadek w бага-żniku. Złobiesz pan?

— Nie. A pan?

— Ja jestem kierowcą. Nigdy w życiu nie prowadziłem jesz-cze po kielichu. No, ale ten pisarz tyknął. Zapalił i opowie-dział mi swoją przegodę. To ja mówię do niego:

— „Z góry wiedziałem, że z pana porządny gość”.

— A on wtedy podniósł nogę, położył stopę na kolanie i po-wiada.

— „Ja to może porządny nie jestem, ale te skarpetki są po-rządne. Zobacz pan: mokre, złodowaciale, zaśnięzone, a dziury nie ma. Wiesz pan, dla-czego?”

— „Nie”.

— „Bo kupiłem je w Szwec-ji”.

— Przysięgam, że przysięgam i



Kto zapomni?
Trawa.
Kto zapamięta?
Trawa.
Kto będzie współczuł?
Trawa.
Kto pojedna?
Trawa.
Ona wyzywająca wobec stuleci.



Gwiazda,
gdy przerażona,
spada...
Drzewo,
gdy porażone,
schnie...
Człowiek,
gdy wędrownianiem zmęczony,
stuka do cudzych drzwi.
Czasem się otwierają.

(Jan Huszcza. Rozmowy i zaklęcia. Wydawnictwo Łódzkie, 1973 r.)

Dni Kultury Robotniczej

Już po raz czwarty, pod patronatem Komitetu Łódzkiego PZPR, Wydziału Kultury i Sztuki, Urzędu Miasta Łodzi oraz związków zawodowych, na przełomie maja i czerwca odbędzie się Dni Kultury Robotniczej. Udział w przygotowaniu poszczególnych imprez mają wszystkie łódzkie domy kultury — dzielnicowe a także zakładowe. Oferta jest bardzo bogata i różnorodna, tak jak różnorodna są gusta odbiorców. Obok imprez o charakterze sportowym będą: kiermasze, festyny, różnego rodzaju spotkania i przeglądy. Dni Kultury Robotniczej zainauguruje wystawa w Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego pt. „Robotnicy Łodzi w fotografii 1870 — 1939”. Tego samego dnia mieszkańcy Łodzi będą mogli podziwiać na ulicy Piotrkowskiej Parade Orkiestr Dętych. W tych dniach zostanie rozstrzygnięty III Ogólnopolski Przegląd Filmów Nieprofesjonalnych pod nazwą „Praca i ludzie pracy”. „Uniotex” zaprosił na festyn do parku Źródliska. Dom Kultury na Widzewie podał się przygotowania imprezy, która ma być najciekawszą „cieczą gatunkową” — a jest nią trzydniowe seminarium filmowe pod nazwą „Etyka robotnicza w kinie polskim. Między historią a dniem dzisiejszym”. Projekcją 30 filmów dokumentalnych i 11 fabularnych będą towarzyszyły wykłady monograficzne, jeden z nich będzie wygłoszony przez dr K. Sobotkę z Uniwersytetu Łódzkiego. W czołówkach filmów zarówno fabularnych, jak i dokumentalnych pojawia się nazwiska wielkich twórców polskiego kina — Wajda, Kawalerowicz, Kłosa, Wiśniewski, Żygadło, Kieślowski... Ten ostatni może być gościem DDK Łódź-Widzew. Również przez widzewski dom kultury zostanie zorganizowany konkurs „Wieg Kapel Podwórkowych”. Nie pierwsza to edycja „Zbięgu” i można się spodziewać, że wzorem lat ubiegłych i w tym roku będzie można usłyszeć doskonale kapelę — „Łódziankę”, „Baluciarzy”, czy nową nieśmiało „Włóknarską brać” i „Fakirów” z Piotrkowa Trybunalskiego. Propozycja dla dzieci będzie konkurs rysunkowy „Kim chciałbym być”. Zaś dla tych, którzy lubią sentymentalne spojrzenie na to, co już odchodzi, w Domu Kultury „Łutnia” przygotowano będzie wystawę R. Filipińskiego „Baluty odchodzące”. Ciekawa i nietypowa propozycja jest impreza „Dawne polary robotniczej Łodzi” — oczywiście będzie także degustacja.

Dni Kultury Robotniczej zakończy się 4 czerwca, który będzie uświetniony występem Orkiestry Dętej Zakładowego Domu Kultury „Półtex”, obchodzącej właśnie swoje 85-lecie.

B. A. M.



8 ODGŁOSY

— 30 maja br. biblioteka nadana zostanie imię Tadeusza Kotarbińskiego. Dlaczego właśnie profesor będzie patronem?
— Sądzimy, iż lepszego patrona znaleźć trudno. Jesteśmy zadowoleni, że w ubiegłym roku w specjalnie wydzielonych księgach nasi czytelnicy najczęściej wpisywali właśnie to nazwisko. Patron więc został wybrany przez czytelników i pracowników. Profesor Tadeusz Kotarbiński był przez wiele lat związany z naszym miastem, a szczególnie z tego środowiskiem akademickim. Wykształcił wielu łódzkich logików i filozofów nauczycieli i wychowawców. Otrzymał z Uniwersytetu Łódzkiego tytuł doktora honoris causa, i obecnie łódzkie nauczycielstwo w formie skromnej podzięk i pamięci czyni Go patronem naszej placówki.
— Na podstawie informacji wywieszonej w halu wyliczyłem, że w marcu biblioteka ukończyła 63 lata. Czy może pan przybliżyć jej historię?
— Początki sięgają 1921 r., więc teraz Biblioteka wkracza w 68 rok działalności. Powołana by-

Nauczycielska księżnica

Rozmowa ze SZCZEPANEM JANEM ANTOSEM, dyrektorem Biblioteki Pedagogicznej w Łodzi.

Ia przez ówczesny Wydział Oświaty i Kultury, jako Miejska Centralna Biblioteka Pedagogiczna. Była subdyktowana przez miasto i funkcjonowała do marca 1925 r., kiedy to utworzono Państwową Centralną Bibliotekę Pedagogiczną, która przejęła zbiory i zadania swojej poprzedniczki. Pierwszym kierownikiem był znany łódzki pedagog Tadeusz Czapeżyński. Księgozbiór składał się między innymi z depozytu Państwowego Kursu Nauczycielskiego, który liczył 550 tomów, przejęto 1200 woluminów z Biblioteki Kuratorium Okręgu Łódzkiego, inspektor szkolny Łódź przekazał 795 pozycji a Gimnazjum im. Emilii Szczęsnej 352. Wiele książek otrzymano także z darowizn społeczeństwa, głównie nauczycieli. W wyliczonej grupie znaczna część, bo aż 35 proc. stanowiły książki w języku niemieckim. Podczas II wojny biblioteka została zamknięta przez okupanta. Część księgozbioru wzięli na przechowanie nauczyciele, resztę umieszczono w podziemiach Miejskiej Biblioteki Publicznej, dziś imienia Waryńskiego. Po wojnie dzięki ofiarności nauczycieli odzyskano ogromną część zbiorów. Normalne życie wróciło do biblioteki już 1 kwietnia 1945 roku. Dzisiaj w zbiorach mamy ponad 230 tys. tomów. Pragnę dodać, że w maju ukaże się monografia Biblioteki, która wszystkim zainteresowanym przesyła naszą książkę. Przybliży jej działalność, osiągnięcia i kłopoty.

— Widząc jak zmienia się wygląd zewnętrzny Biblioteki, wydawać się może, iż pańska „firma” nie cierpi na brak finansów.

— Wbrew tym „zewnętrznym” pozorom możliwości finansowe ma skromne, choć dzięki zrozumieniu ze strony Kuratorium Oświaty i Wychowania nie występują jak dotąd trudności z zakupem potrzebnych książek i czasopism. Tylko w ubiegłym roku wzbogaciłmy zbiory pozycjami o ogólnej wartości 4200 tys. złotych.

— A problemy lokalowe?

— Jeśli nie mamy problemów lokalowych, zadowolimy się z tego, co mamy. Ostatnio przeprowadzono remonty, podczas którego dokonaliśmy wielu zmian i poprawek w wykorzystaniu pomieszczeń. Nie znajdujemy się w sytuacji luksusowej, lecz na jakieś 7 — 10 lat mamy zapewne dobre warunki przechowywania i gromadzenia księgozbioru.

— A co później?

— Myślę, że w najbliższych latach uda się poprawić sytuację naszej filii w Zgierzu. Zapadły już odpowiednie decyzje i byłoby dobrze, aby nowa szkoła, w której przewidziano miejsce dla naszej filii została w terminie oddana do użytku.

Ciemne strony przeszłości

W znanym i cenionym w świecie wydawnictwie Klett-Cotta ukazała się niezwykle interesująca książka Dietza Behringa opowiadająca o tym, jak Żydzi niemieccy cierpieli wskutek antyżydowskiej polityki w Niemczech i w krajach niemieckich. Książka jest napisana w sposób przystępny i zrozumiały, zawiera wiele ciekawych faktów i danych. Autor, Dietz Behring, jest historykiem i publicystą. Książka jest napisana w sposób przystępny i zrozumiały, zawiera wiele ciekawych faktów i danych. Autor, Dietz Behring, jest historykiem i publicystą.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Przed wejściem do pana spytałem kilka osób o opinie na temat dostępności księgozbioru. Studenti lat początkowych skarżyli się, iż są dyskryminowani w ilości wypożyczanych pozycji. Zresztą wszyscy pytani przeze mnie mówili, iż powinna być jednakowa ilość książek możliwych do wypożyczenia, a nie tak, że I i II rok po dwie, na III — trzy, zaś na IV i V roku po cztery. Dlaczego tak jest?

— Nie ma dostatecznej ilości potrzebnych lektur i jeżeli wypożyczamy po kilka książek, to często są przetrzymywane, zwłaszcza przez osoby z pierwszych lat studiów. Piszęmy w tych sprawach do dziekanatów, ale to nie odnosi większego skutku. Jeżeli ktoś wypożyczył dwie książki, a chce wziąć coś nowego, to musi zwrócić wcześniej wypożyczone, aby ktoś inny mógł z nich skorzystać.

— Punkt regulaminu mówiący o zróżnicowanej ilości wypożyczanych książek jest w interesie ogółu, a nie jednostki. Poza tym, że ograniczenia wyrażała nawyki częstego kontaktu z biblioteką i umiejętnego korzystania z księgozbioru, a o to też nam chodzi.

— A jakimi sukcesami może pochwalić się pańska placówka?

— Myślę, że każde nasze działanie na rzecz zwiększenia oferty czytelników i poszerzenia usług świadczonej przez Bibliotekę jest już naszym małym sukcesem. Wspomnę tylko o szeroko prowadzonej przez nas akcji wypożyczeń korespondencyjnych o zgromadzeniu przez nas bogatego zbioru czasopism krajowych i zagranicznych — 1135 tytułów, albumów, reprintsów, a nawet i starich druków. Udało nam się w ramach Wydziału Zbiórów Specjalnych zgromadzić i uchronić od niepięknego zapomnienia oraz zbioru materialne dotyczące przeszłości łódzkiego szkolnictwa, które są eksponowane w Muzeum Oświaty. Pożyteczną rolę pełni też biblioteka skladowa, pomagając bibliotekom szkolnym w naszym województwie w selekcji księgozbioru.

— Dziękuję za rozmowę.

BOGUMIL A. MAKOWSKI

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

— Jak do tej pory nie chwalił się pan „nowinkami” technicznymi.

— Nowoczesna technika biblioteczna, oczywiście widziana na miarę schyłku XX wieku, jeszcze do nas nie dotarła. W tej chwili dysponujemy zaledwie takimi „nowinkami” jak: czytniki do mikrofilmów i mikrofisz, magnetowidem z pełnym oprzyrządowaniem, płytami, taśmami i kasetami.

— Czy nie ma pan także powodów do narzekania na brak pracowników?

— Obecnie wszystkie etaty są obsadzone i na najbliższą przyszłość nie rysują się przed nami kłopoty kadrowe, choć place są niskie, a wymagania wysokie. Nasi pracownicy muszą mieć przygotowanie pedagogiczne, biblioteczne, no i oczywiście tytuł magistra. Absolwenci wyższych uczelni, którzy chcieliby u nas pracować muszą skończyć studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa, a jeżeli nie posiadają przygotowania pedagogicznego, to zobowiązani są ukończyć roczny kurs przygotowujący do zawodu nauczyciela.

Trawestując znaną anegdotkę o malarzu Stryce dąbaj się powieścić, że Hanuszkiewicz nie robił w łódzkim Teatrze Wielkim Mozarta na kłęczkach, ale robił go dobrze. To fakt. Natomiast czy zrobił go „tylko” dobrze, czy też — jak sądzi pewnie niektórzy — bardzo dobrze, pozostaje kwestia otwarta.

Na poprzedzającej premierze „Wesela Figara” konferencji prasowej związany coraz ściślej z Łodzią szereg realizatorów i aktorów teatru stwierdził, iż jego celem jest „odporuczenie” opery, przywrócenie jej oddechu i wolności interpretacji. Tak sformułowany program jest dowodem postawy niepokornej. Wynikające z niego działania praktyczne też.

„Wesele Figara” inaczej

Tradycja m. in. związana z interesującym nas w tej chwili Mozartowskim arcydziełem. Pomimo że — zauważmy — arcydzieło to nie było wcale wcześniej uważane za podurę. Przeciwnie — zawsze widziano w nim najlepsze cechy opery komediowej. A zatem już sam reżyser program jest dowodem postawy niepokornej. Wynikające z niego działania praktyczne też.

Inszeniacja Hanuszkiewicza różni się daleko od tego, do czego przywykliśmy. Inność polega przede wszystkim na zintensyfikowaniu ruchu. Istota tej ruchliwości jest ornamentyczna, tzn. w sposób formalny rozdrabniająca i „upiększająca” naturalne poczynania postaci po to, aby uwaga widza (podkreślam: widza a nie słuchacza) była ciągle zajęta. Stąd towarzysząca recytatywom, ariom i ansambliom dynamika skłonów, obrotów, kroczków i gestów (czy wręcz typów), gimnastyki, włączanie z „pompekami”: podczas najłagodniejszej, śpiewanej przez Figara arii z „Wesela” — „Non più andrai”, stąd szataf biegających po scenie lub

biatających w tle chórzystek, stąd przenoszenie elementów dekoracji i windowanie w górę i w dół ogromnego łoża, którego ruch w sposób niezamierzony rozłożony został jeszcze na wektory porównywalne. Ową główną, wiszącą na linach rekwiizyt drgał bowiem nieustannie, nieczym na obrazie rozregulowanego telewizora.

Nie przeczę inscenizacyjnej mobilności okazującej się w sumie oryginalną, często niezwykle zabawną, lecz w pewnych momentach (vide wspomnianą arię, także sekwencje liryczne) trochę kolidującą z muzyką, rozpraszać ją, ponadto można by zarzucić, że permanentny ruch czasami dewaluował się. Nadmiar powtarzających się środków osłabia przecież ich działanie.

Żeby nie było wątpliwości: przez cały czas mówię o premierze sobotniej, gdyż druga, niedzielną, tak bardzo pod względem głównie aktorskim różniła się na niekorzyść od poprzedniej, że należałoby właściwie traktować ją jako odrębny spektakl. Jak się dowiedziałem, drugiej obsadzie reżyser poświęcił o wiele mniej czasu.

Rolę tytułową kreował w sobotę pięknie rozwijający swój talent baryton, Zbigniew Macias. Z prawdziwą satysfakcją odnotowuję walory Figara: szlachetność barwy głosu, dokładność techniczna, naturalność ekspresji a zarazem wymiennie, godne sceny dramatycznej aktorstwo. To był sukces, panie Zbigniewie, bravo! Wcielając się w postać Zuzanny Joanna Woś wniosła zdecydowany powiew młodości, temperament i sugestywność wokalne interpretacji. Sadzę, że artystka ta powinna jeszcze bardziej wyrównać dynamikę solowu tak by „góry” nie były tak dotąd „silniejsze”. Kolejna sopranistka, Joanna Cortes (Hrabina), zaimponowała zarówno pełnym niuansów,

inteligentnym aktorstwem, jak i widoczną w kształtowaniu frazy kulturą muzyczną. Korzystnie chyba byłoby dla tej głosu silniejsze osadzenie go w tzw. rezonatorze pierślowym. Przekonujący w rytmiku psychologicznym okazał się jako Hrabia Almariva Andrzej Kosztewski — poważny, zdecydowany, zaborny. Ładny baryton tego młodego solawka na pewno z czasem wzmożni się. Słuchać, że trema (a może zaabsorbowanie zadaniem aktorskim) spowodowała „zaburzenie się” w repitowej arii „Vedro, mentre io sospiro” i niewypięwanie jednej notabene, w operze, kilkukrotowej koloratury. Ogólnie — głosy żeńskie nie były specjalnie „mozartowskie”, że wspomnę i o najbardziej rozwibrowanym mezzosopranie Alicji Pawlak (Marcelina). Dobrze wypadli Zdzisław Krzywicki (Bartolo), Stanisław Michoński (Antonio), Dariusz Siachura (Don Curzio), Hanna Klimczak (Barbina), Jerzy Wolniak (Basilio). Ciekawostkę stanowił udział w roli Cherubina Piotra Łukowskiego, kontratenora dźwięcznego, lecz nie zawsze wzorowo intonującego.

Orkiestra przygotowana została przez Andrzeja Straszyskiego z pietysmem, grała stylowo i precyzyjnie, jeśli nie brać pod uwagę minimalnych uchybień. Już witalna uvertura, wiodąca skądinąd również niezależny estradowy żywot zabrzmiiała z pełnią blasku i dźwiękowej klarowności, niczym w najlepszej koncertowej sali.

Była więc ta rozpedzona (co rzadkie) w tembie narracji, żartobliwa, podłana erotyzmem, szykowna ubarwiona kostiumami i służynymi dekoracjami opera spektaklem naprawdę dobrym. I przy tym określeniu — pamiętajcie, wszakże o wysuniętych zastrzeżeniach — proponuję pozostać.

JANUSZ JANYST

W. A. Mozart: Wesele Figara. Kierownictwo muzyczne — Andrzej Straszyski. Inszeniacja i reżyseria — Adam Hanuszkiewicz. Dekoracje — Mariusz Chwedeżuk kostiumy — Xymena Zanlewska-Chwedeżuk, kierownictwo chóru — Leon Zaborowski. Premiera w łódzkim Teatrze Wielkim 7 maja 1988 r.



Na zdjęciu: Joanna Woś (Zuzanna) i Zbigniew Macias (Figaro).
Foto: Romuald Sakowicz

Kronika

MEDYCZNEMU STUDIUM ZAWODOWEMU NR 1 (przy ul. Ciołkowskiego) nadane zostało, 12 bm., imię Marii Stancel (zmarłej przed trzema laty zastępczej pracowniczki służby zdrowia, wyróżnionej najwyższym międzynarodowym odznaczeniem dla pielęgniarek: Medalem Florence Nightingale).

Uroczystość poświęcona była z udekorowaniem sztandaru szkoły Honorową Odznaką m. Łodzi. Wzięli w niej m.in. udział sekretarz KZ, PZPR — Jan Nosko.

UROCZYSTOŚĆ SPOTKANIE Z OKAZJĄ „DNI BIBLIOTECARZA ŁÓDZKIEGO” — odbyło się, 12.V.br., w Muzeum Historii Miasta Łodzi. Wyróżniającym się bibliotekarzem wrocławskim zostały odznaczenia, nagrody i listy gratulacyjne. Honorowe Odznaki Stowarzyszenia Bibliotekarzy Polskich otrzymali m.in.: Krystyna Bielska, Wanda Kluczwajd, Danuta Przybysz.

NAGRODA WARSZAWSKIEJ PREMIERY LITERACKIEJ przypada w ubiegłym miesiącu Janowi Koprowskiemu za tom opowiadań „Monolog w starej gospodzie”. Gratulujemy!

W TYM ROKU otwarta zostanie w Pekinie, pierwsza w powojennej historii ChRL, wystawa aktu. Złożą się na nią prace wykładowców pekińskiej Akademii Sztuk Pięknych.

W DAWNYM MOSKIEWSKIM MIESZKANIU SERGIUSZA JESIEŃNINA utworzone zostanie muzeum, poświęcone jego pamięci. Komitet Jesieninowski, przy Związku Pisarzy ZSRR, zabiega też o pełne, krytyczne wydanie bogatej spuścizny literackiej tego wybitnego poety.

SEJMOWA KOMISJA KULTURY zastanawiała się niedawno, jak opanować żywiołowy rynek wideo w naszym kraju. Według szacunkowych danych, liczba magnetowidów w Polsce wynosi obecnie 700 tys. W obęgu znajduje się 3 tys. filmów nagranych na 12 min kaset (co roku przybywa około 3 mln kaset). Istnieją 33 wypożyczalnie państwowe i 100 prywatnych.

W RAMACH OBCHODÓW 40-LECIA Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej im. Leona Schillera w Łodzi, 10 bm., otwarta została (przy ul. Piotrkowskiej 189) Galeria studentów tej uczelni.

UNIKATOWE ZBIORY SZTUKI DWUDZIESTOWIECZNEJ prezentowane są w ramach otwartej 19 kwietnia br. nowej, bardzo interesującej ekspozycji w Muzeum Sztuki w Łodzi. Zachęcamy do obejrzenia!

W WYWIADZIE UDZIELONYM „ŻYCIU WARSZAWY”, Jerzy Jesienowski powiedział, iż — jego zdaniem — „nie jest możliwa literatura o pracy. O pracy jako takiej — według pisarzy — można pisać instrukcje. Natomiast tematem literackim może być tylko człowiek i jego konflikty, a nie praca”.

DWAJ WARSZAWIACY, wzorem kolegów z Katowic, założyli pierwszą w stolicy wypożyczalnię książek z dostawą... do domu. Klient wykreca numer telefonu, podaje pozycję, i tego samego dnia ma książkę w mieszkaniu.

CIĘSAWE czy ktoś z przedsiębiorczych łodziaków pójdzie w ich ślady?

W SULEJÓWKU, w dawnym domu Józefa Piłsudskiego, ma powstać Muzeum Czynu Niepodległościowego.

DOROCZNA NAGRODA IM. JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA przyznawana przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik”, otrzymał Tadeusz Konwicki za książkę „Bohater”.

WŁOSZKA, MICHAELA ROCCO DI TORREPADELA wybrana Miss Europy, jest córką włoskiego księcia. Startowała w tej imprezie bez zgody ojca, za cichym przyzwoleniem matki, wziętej lekarki (specjalistki od chirurgii plastycznej).

NASZ REPREZENTACYJNY PIŁKARZ, były zawodnik „Widzewa”, Włodzisław Smolarek podpisał na trzy lata kontrakt z roterdamskim Feyenoordem. Drużyna ta zajmuje aktualnie szóste miejsce w lidze holenderskiej.

Opracował: JAK

Wystawienie na dużej scenie Teatru im. Jaracza montażu scenicznego „Monte Cassino” — odnotować należy z kilku przyczyn. Przede wszystkim dlatego, że jak głosi program spektakl zrealizowany został z inicjatywy Towarzystwa Przyjaciół Polsko-Włoskiej. Stanowi to pewne novum w praktyce życia teatralnego. Połączony wysiłek organizacji społecznej i teatru zapewnił („zabezpiecza”, używając nowomowy) potencjalnego adresata czy odbiorcę przedstawienia. „Monte Cassino” pokazywana będzie zapewne w rocznicowym mieście przed wszystkim młodzieży. Może to jedna z dróg wiodących ku zaoferowaniu widzowi teatralnemu?

Motyw drugi to aktualność tematu. Przeżywamy okres likwidowania „białych plam” w historii naj-

hatejskiej czyn żołnierskiej 1 Korpusu Wojska Polskiego zajęł miejsce trwałe i jednoznaczne. Książka Melchiora Wańkowicza, poprzedzona typową dla autora, znakomitą kwerendą reporterską, była rozchwytywana przez publiczność i zaryzykuje twierdzenie, że każde jej wznowienie może liczyć na nie słabnące zainteresowanie.

Alie przecież świadomością zbiorową a oficjalną historiografią to nie jedno i to samo. W publikacjach prasowych, w podręcznikach szkolnych i w rozprawach historycznych często usiłowano w przeszłości pomniejszyć znaczenie bitwy pod Monte Cassino, podważać celowość wielkiej — to nie wątpliwe — strat, jakie poniosł żołnierz polski na stokach tego wzgórza w południowych Włoszech, w dwuznacznym świetle przedstawić decy-

I tu nie mogę wstrzymać się przed wyrażeniem żalu pod adresem redaktorów programu przedstawienia, że nie zamieścili w nim nazwisk autorów słynnej pieśni, która krąży w narodzie anonimowo. Słowa do „Czerwonych maków” napisał (jak podaje nieoceniony Tadeusz Szewerski w antologii „Niech wiatr ją poniesie”) w ciągu nocy z 17 na 18 maja 1943 roku, a więc gdy trwał ostatni szturm wzgórza, a za oknami błyskały eksplozje pocisków, Feliks Konarski, zwany „pieśniarzem 2 Korpusu”. Muzykę skomponował ten samże nocy inny członek zespołu Teatru Żołnierskiego — Alfred Schütz. Tylko ostatnia zwrotka, ta o krzyżach, dopisana została nazajutrz, po zwycięstwie, gdy żołnierze 12 pułku Ułanów Podolskich jako pierwsi wkroczyli do ruin klasztoru, głównego punktu oporu hitlerowców, zawieszając tam flagę biało-czerwoną.

Scenariusz montażu, którego autor nie powołuje się na źródła (głównym była książka Wańkowicza) zrobiony jest rzetelnie. Z bogactwa materiału faktograficznego Paweł Kruk wybrał tylko kilka epizodów, ale na zasadzie pars pro toto oddaje one atmosferę bitwy i daje pojęcie o morale żołnierza polskiego.

Spektakl, posiadający charakter widowiska estradowego, ale w najlepszym gatunku, wyreżyserowany został sprawnie z należytym dozowaniem nastroju i dostosowaniem do niego zmieniającym rytmem. Swój walny udział ma tu muzyka i gra światła, doskonała w momentach bitewnych.

Wykonawców należy wymienić wszystkich: Andrzej Kiero, Andrzej Herder, Marek Kołaczowski, Bogusław Semotulnik, Stanisław Jaskulka, Jarosław Piłarski, Paweł Kruk i Stanisław Jaroszyński. Głębokim przejęciem i cennym podaniem tekstu zdecydowali oni o kształcie tego pięknego, patriotycznego widowiska.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

„Bo wolność krzyżami się mierzy...”

nowszej. Bitwę o historyczne opactwo benedyktyńskie na Monte Cassino trudno traktować w pełni jako białą plamę. W świadomości narodu bo-



Na zdjęciu: Stanisław Jaskulka, Bogusław Semotulnik, Paweł Kruk, Andrzej Kiero, Andrzej Herder.

Foto: Tymoteusz

że Dowódcy 1 Korpusu o udziale naszych formacji w tej krwawej bitwie. Porównywano ją do Samosierri i to Samosierri traktowanej, opacznie w kategoriach zbrodni, tródmadracji (dopiero Zbigniew Żużewski udowodnił, że szarża szwoleżerów polskich nie była fanfaronadą).

Montaż sceniczny w Teatrze im. Jaracza rozprowadza się z relikwiami krzywdzących ocen w sposób otwarty i konsekwentny. Jak mocno brzmią, że sceny słowa o tym, że dowódcą 2 Korpusu, architekt zwycięstwa pod Monte Cassino, kawaler najwyższych odznaczeń „allanckich” generał Władysław Anders, wraz z kilkudziesięcioma wyższymi oficerami polskimi pozbawiony został w 1945 roku uchwały Sejmu obywatelstwa i że ustawa ta do dziś dnia nie została uchylona.

Ze sceny brzmi solawana pełna pierś śpiew „Czerwone maki na Monte Cassino”, przy czym canto ostatniej zwrotki brzmi zgodnie z oryginałem:

„Bo wolność... krzyżami się mierzy!
Historia ten jeden ma błąd!”

Warto tu wspomnieć, że w niechlubnej przeszłości zaklamowano perfidnie ten tekst, przekraczając następująco: „Historia niejedną zna błąd”, co sugerowało, że bitwa pod Monte Cassino była błędem...

Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata • Z kraju i ze świata •

przypadku. Prawda jest raczej, że rzeczywistość jest plastyczna, przekształcalna, należy więc wyobrazić sobie pewne cele „nieprawdziwe”, ponieważ jeszcze nie zrealizowane, lecz wiarygodne i realne. Albo przynajmniej cele, które wydają się realne. Dopiero czas, dopiero historia orzeknie, czy były to złudzenia, czy może genialna intuicja.”

KOBIETA JAKO...

W Muzeum Sztuki w Łodzi nie czynna jest wystawa pt. „Kobieta i surrealizm”. Kobieta jako anioł, erotyczny obiekt, czarodziejka, demon i „Femme fatale” — oto treść 450 wystawionych dzieł m.in. Rene Magritte’a, Salvadora Dali, Maxa Ernsta i Pabla Picassa. Znajdują się tam też obrazy słynnych surrealistów — Meret Oppenheim, Dorothy Tanning i Leonora Carrington.

MUZEUM POD ZIEMIĄ

W podziemnych grotach i korytarzach mieścić się będzie nowe

muzeum historii Aten, obejmujące okres helleński oraz panowania rzymskiego. Lokalizację — centralny plac starej części miasta — narzuciło życie. Nowa placówka prezentować bowiem będzie odkrycia archeologiczne dokonane w tych właśnie miejscach od maja 1985 roku. Zwiedzający będą mieli okazję zobaczyć jak wyglądała przed wiekami ta część miasta — a więc antyczne ulice, zakład garncarski z III w. p.n.e. a także wodociąg sprzed dwóch tysięcy lat.

STOWARZYSZENIE REŻYSERÓW

W Tbilisi odbył się założycielski zjazd Międzynarodowego Stowarzyszenia Reżyserów. Przewodniczącą nowej organizacji została wybitna reżyserka gruzińska Lana Gogoberidze, która poinformowała prasę, że idea powołania stowarzyszenia narodziła się podczas XV Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Moskwie

NOTOWANIA NA GIEŁDACH KSIĄŻKOWYCH

Umberto Eco „Imię róży” — 2300 zł; Steven Runciman — „Wyprawy krzyżowe” — 8000 — 10000 zł; Paweł Jasienica „Dwie drogi” — 700 zł; (cena nominalna 450 zł); Margaret Mitchell „Przeminęło z wiatrem” — 2700 zł (cena nominalna 1800 zł); Heins Guderian „Wspomnienia żołnierza” — 6000 zł; W. Bruce Lincoln „Mikolaj II” — 2000 zł (cena nominalna — 1600 zł); Paweł Maria Lisiewicz „W imieniu Polski Podziemnej” — 1000 zł (cena nominalna 400 zł); Waldemar Lysiak „Wyspy zazarywane” — 1000 zł; Cezary Chlebowski — „Pozdrowienie Góry Świętokrzyskiej” — 2000 zł; Aleksander Dumas „Hrabia Monte Christo” — 3000 zł.

Fraszki

MACIEJ JÓZEF KONONOWICZ

POZOROWANIE

Luk brwiowy
Szczesie na tył głowy.

SZANSA DLA ŁYSIEJĄCYCH

Nie traćcie nadziei, skoro
Włos można dzielić na czworo.

NAGROBEK

Prawdę o smartym nam poruczę:
W esepku się urodził — zmarł w peruce.

KRUK KRUKOWI

Łysy bysemu nie wyszarpię włosów
No, bo po prawdzie, niby w jaki sposób?

OSZUST

Trafiał się łysy spryciarz:
Miał głowę bez pokrycia.

— Zakładam, że ma w Goltawinie narzeczoną. Ale to go nie uprawnia do samowolnego opuszczenia miejsca zesłania. A on jeździł do Goltawina bez zezwolenia. Być może, spojrzalbym na to przez palce, młodość, miłość i tak dalej. Ale Goltawino podlega komendanturze w Dworcu, a oni nie chcą patrzeć na to przez palce.

— Nic o tym nie wiedziałem — powiedział Sasza. — Ale można go zrozumieć. Jeśli ktoś trafił tu przez przypadek, to właśnie Solowiejczik, człowiek daleki od polityki. Przy tym człowiek bezpośredni, łatwo nawiązujący kontakt, wszystkie te ograniczenia stanowią dla niego duże obciążenie. To oczywiście dziwne, że zdecydował się na coś podobnego, ale miłość nie zna granic.

— Lirka, Pankratow, sentymenty. W języku oficjalnym to się nazywa ucieczka. I za ucieczkę każda się nie tylko uciekiniera, ale także tego, kto ułatwił mu ucieczkę. W Roszkowie są jeszcze inni zesłańcy, i on zawiódł zaufanie ich wszystkich.

— Jeśli ktoś ucieknie z Mozgowej, to ja będę za to odpowiadał?

— Tak, wyobraźcie to sobie: jeden uciekinier — wszyscy odpowiadają. I trzeba bronić niewinnych ludzi przed egoistami, którzy myślą tylko o sobie. O każdej przygotowywanej ucieczce należy zawiadomić władzę, taka jest zasada. I należy nam w tym pomagać. No, a wy twierdzicie, że jesteście uczciwym człowiekiem. Pomagajcie!

— Ach, to kogo chcecie ze mnie zrobić?!

— Aleksandrze Pawłowicz, dlaczego tak od razu? Za prowokację zasadza się u nas najwyższy wymiar kary. Nie prosimy was, żebyście informowali o nastrojach, o rozmowach. Chcemy zapobiegać ucieczkom, uratować ludzi lekkomyślnych, którzy uciekają, i ludzi ufnych, którzy temu sprzyjają. Przeniesiemy was do Kieźmy, zrobimy mechanikiem terenowym w ośrodku remontowym maszyn rolniczych, będziecie swobodnie poruszać się po rejonie, spotykać się z zesłańcami, w tej liczbie z tymi, którzy chcą uciec. A wy im odradzajcie. W ostateczności będziecie nas informować, żebyśmy mogli zapobiec ucieczce. Będziecie zabezpieczeni materialnie, mieszkać będziecie w mieście rejonowym, a nie na wsi i ocalicie ludzi przed zgubnymi postępkami.

— Traciecie czas na próżno — powiedział Sasza — tego, czego chcecie, ja robić nie będę. Uważam to za niemoralne.

— Moją pracę także uważacie za niemoralną?

— Wy jesteście na służbie i wykonujecie swoje obowiązki. A ja jestem zesłańcem i także będę wykonywał swoje obowiązki.

— Jakże?

— Odbywać wyrok.

Altierow pomilczał chwilę, potem uśmiechnął się i powiedział:

— Aleksandrze Pawłowicz, stawiać mnie w bardzo kłopotliwej sytuacji.

— Nie rozumiem was.

— Powiedzieliście „miłość nie zna granic”, macie rację, powiedzmy. Ale macie żonę: nauczycielkę. Czy możecie powierzyć wychowanie młodego pokolenia żonie człowieka politycznie niełajnego?

— Nie mam żony, skąd to wytrzasnąć? Nauczycielka? Wstępuję do niej czasem po książki, i to wszystko.

— Aleksandrze Pawłowicz, jesteśmy mężczyznanami i dobrze się rozumiemy. Nie spodziewałem się innej odpowiedzi. Ale macie żonę: nauczycielkę. I jeśli będziecie rozsądni, to nie tylko was, ale też i ją przeniesiemy do Kieźmy, tu też są potrzebni nauczyciele.

— Nie mam żadnej żony — nachmurzył się Sasza — z równym powodzeniem możecie uznać za żonę każdą kobietę w Mozgowej. Jeśli ruszycie nauczycielkę, dopuście się największej niesprawiedliwości.

— Nikt nie zamierza jej ruszać. Ale mamy obowiązek chronić ją od obcych wpływów. Powiedzmy, przenosząc was w inne miejsce.

— Jesteście tu panami! — Sasza westchnął z ulgą. Do diabła z nim! Przeniesie się do innej wsi, żeby tylko Zidę zostawił w spokoju. Altierow wstał, przeszedł się po pokoju.

— Powiedzcie, Pankratow, jak wyobrażacie sobie swoją drogę życiową?

— Po zesłaniu wrócę do domu, będę się starał o rewizję sprawy.

— Do Moskwy nie wróćcie, dostaniecie kreskę.

— Pracować można nie tylko w Moskwie.

— Rewizja sprawy? — ciągnął Altierow. — Wątpię, żebyście to wywalczyli. Będzie nad wami ciążyła kara.

— Zdarza się, że kara jest zdejmuje.

— Zdarza się — zgodził się Altierow — ale za zasługi wobec państwa. A ja nie widzę w was specjalnego dążenia do dokonania czegoś niezwykłego. Jesteście przecież obrażeni.

— Nie jestem obrażony. Ale tego, jak miało być w korytarzu moja matka, kiedy mnie zabierano, nie zapomnę. I jak szyl mi sprawę grubymi nićmi śledczy, też nie zapomnę.

— No, dobrze — Altierow znowu usiadł naprzeciw Saszę — przejdźmy do sprawy. Solowiejczik uciekł!

Patrzył przelotnie na Saszę. Sasza patrzył na niego w oszołomieniu.

— To być nie może. Solowiejczik nie jest taki głupi, wie dobrze, że stąd nie ma dokąd uciec.

— A jednak uciekł, pisał coś do was?

— Uciec — to głupie, pisać o tym — jeszcze głupsze.

— Niewątpliwie — zgodził się Altierow — mimo wszystko jesteście tu jego jedynym przyjaciółm, jedynym kolegą.

— Chciecie mnie oskarżyć o pomoc w ucieczce?

— Pankratow — powiedział z naciskiem Altierow — odnoszę się do was o wiele lepiej niż myślicie. Nikt was o nic nie oskarża. Ale Solowiejczik dobrze przemyślał trasę ucieczki. Trasy takie są dwie: pierwsza — Angara do Jeniseju, druga — przez tajgę do Kańska. I jedna, i druga trasa daleko nie ujdzie, zatrzymają go od razu w pierwszej wsi. Iść omijając wsie — do tego potrzebny jest duży zapas żywności, którego nie posiada. Ale możliwa jest też trzecia droga — w górę Angary, na Irkuck. Ta droga jest dłuższa, ale przechodzi przez Mozgową, gdzie mieszkacie wy, i dalej jeszcze dwie wsie, w których mieszkają współwyznawcy jego narzeczonej. Nie jest wykluczone, że wybrał właśnie tę drogę, nie jest wykluczone, że zjawia się u was.

— Jakże się może zjawić u mnie? Na oczach całej wsi?

— Tego nie wiem. Może i się nie zjawi. Ale może się zjawi. W takim wypadku musicie przemyśleć swoje postępowanie.

— Zatrzymać go? — zaśmiał się Sasza. — A jeśli nie dam sobie z nim rady?

— Nie potrzeba go zatrzymywać, sami go zatrzymamy. Dobrze byłoby namówić go, żeby wrócił. W tym wypadku oskarżenie o ucieczkę odpada, po prostu — samowolne oddalenie się, można ograniczyć się do środków o charakterze administracyjnym. Mówię uczciwie, Pankratow, nie chcę ucieczki, niepotrzebne jest mi nadzwyczajne wydarzenie.

Sasza czuł, że Altierow mówi szczerze. Ale Sasza nie wierzył w ucieczkę Solowiejczika, może polował w tajdze i zabłądził.

— A więc tak, Pankratow — podsumował Altierow — namówcie go do powrotu, tak będzie najprościej. A jeśli nie zawróci, poinformujcie radę wiejską albo zarząd kołchozu, oni wiedzą, co robić.

Pomilczał chwilę, potem dodał:

— Potraktujcie to poważnie, Pankratow. ukrywanie zbiega albo udzielenie mu pomocy może mieć dla was poważne konsekwencje. Uważajcie się za uprzedzonego!

Solowiejczik uciekł? Sasza nie mógł w to uwierzyć. Mógł dopuścić, że Solowiejczik się powiesił, utopił — życie zmarnowane. Czy sam nie był bliski samobójstwa? Ale uciekać?!

Praktyczny, rozsądny Solowiejczik znakomicie rozumie głupotę takiego postępowania. Z o wiele większym powodzeniem mógł uciec z

szczególny, takich, jak on, jest ogromna liczba. I trzeba znaleźć w sobie siły, żeby to wytrzymać.

Kiedys spotkał na ulicy Timofieja. Tamten bojaźliwie popatrzył na niego, chciał go ominąć, ale Sasza zaszedł mu drogę.

— Czy tak kłopotliwie strzelasz, Timofiej, czy to strzelbę masz taką gównianą?

— Ty czego, czego? — wymamrotał Timofiej, odstępując o krok, tak jak wtedy, na łące, na pewno bał się, że Sasza go uderzy.

— Nie bój się — uśmiechnął się Sasza — tu cię nie ruszę, a wpadniesz mi w ręce jeszcze raz w lesie — zastrzelę, jak psa. Ty masz siekacz, a ja mam kulę i łufę gwintowaną — dostanę cię! Ja cię nie dostanę, to kto inny cię dostanie. Mam swoje sady. Zapamiętaj, padłino!

Powiedział to i poszedł. Z takimi tylko tak trzeba. Jak rozprawiali się w więzieniu z chłopakami, którzy zabili zesłańców na drodze kańskiej, wie cała Angara. Timofiej też wie. Nie odważy się więcej, tchórz! Idąc do lasu, Sasza łufę ładował strumem, ale do kieszeni kładł siekacz. I to nie jeden. I bez Zuczka więcej nie chodził. I nie stał na odsłoniętym miejscu, i ścieżki ciągle zmieniał.

Na drugi, czy na trzeci dzień po rozmowie z Timofiejem Sasza poszedł znowu do lasu. Nagle Zuczek przystanął, coś poczuł, rzucił się w gestwinę. Jego wściekle ujadanie słychać było całkiem blisko, ujadanie było niezwykle, ale złe, zjadłe, widać, ujadł na człowieka, a może i na niedźwiedzia. Sasza przeczekał się

ANATOLIJ RYBAKOW

Dzieci Arbatu



Kańska — wsiadłoby do pociągu i pojechał. Tuż mógł mieć nadzieję na przeniesienie do Friedy, w momencie, gdy uciekł, taką nadzieję stracił na zawsze. I Friedę będą ciągać. A jej na pewno nie chciałby wpędzić w tarapaty.

Jaką to sieć splota Altierow? Twój kolega uciekł z zesłania, żebyś czasem nie musiał odpowiadać, schowaj się za naszymi szerokimi plecami! Żyjesz z nauczycielką, ona może uciec z tego powodu, także się schowaj za naszymi szerokimi plecami! W Mozgowej jesteś bez pracy, kto cię będzie żywił przez trzy lata? A ja dam ci pracę, nie będziesz ciężarem dla rodziny. I nie zapomnij, wisi jeszcze nad tobą separator, papierce o tym — proszę bardzo, w szufladzie. Prymitywnie.

Ale jednocześnie Sasza wyczuwał w Altierowie jakąś niezwykłość, niestandardowość, to nie Dżakow, to ptaszek całkiem innych lotów, był w Chinach, Dżakowa do Chin nie wysłał. Jednak Dżakow jest w Moskwie, w organach centralnych, a Altierow tutaj, w guszy. Na pewno coś przeszkobił. Ma w oczach czujność, oznakę własnej niepewnej sytuacji. I nie ma w nim ordynarnego uporu Dżakowa. Może niespecjalnie się stara?

Wsiwołodołi Sergiejowiczowi powiedział, że wzywano go z powodu Zidy. O ucieczce nie mówił — nie wierzył w tę ucieczkę. Wsiwołodoł Sergiejowicz odniósł się do tego wezwania ze spokojem.

— Pojedziecie w ostateczności do Sawina albo Frołowa — to niewysoka cena za dwumiesięczne szczęście. A Nurzdzie Gazizownie nic nie będzie, jest tu cenniejsza od Altierowa. Innego pełnomocnika na to miejsce znajduje, innej nauczycielki — nie.

Zidzie opowiedział o Solowiejcziku, oczekiwał, że Zida, tak jak i on, nie uwierzy. Ale Zida uwierzyła.

— Uciekają z tęsknoty — powiedziała — nawet bardzo rozsądni ludzie. Tracą rozsądek i uciekają. Zwyczajna rzecz.

Może to dziwne, ale rozmowa z Altierowem uspokoiła Saszę, ukroczyła jego niepokój: Altierow potwierdził to, o czym sam myślał — Moskwy nie zobaczy, na rewizję sprawy nie ma co się ludzić. Jest skreślony. No cóż, on też będzie się musiał przestawić. Na koniec uznał swój los, poczuł, że może sobą pokierować. Żadnych iluzji. Jego przypadek nie jest

za drzewem, przeladował strzelbę, wsunął do obu łuf po siekaczu.

Ujadanie wzmagalo się, rosło we wściekłość, to oddalając się, to przybliżając, widać Zuczek odbiegał, potem znowu rzucił się na kogoś. To oczywiście nie Timofiej, pies zna wszystkich we wsi, tak może ujadać tylko na nieznajomego albo na niedźwiedzia.

Saszy zamajaczyły za drzewami człowiek, wydało mu się, że słyszy szelest, a może to ruch powietrza albo trzask gałęzi.

Zuczek wyskoczył na polankę i rzucił się na nieznajomego, a tamten odganiał go dźwiękami, grubym kijem. Sasza poznał go od razu. To był Solowiejczik, w watowanych spodniach i watowanej kurtce, czapce-uszance, butach rybackich, zarośnięty, chudy. Trudno go było poznać, ale Sasza poznał po figurze, po tym, jak opędzał się od psa, a może gdzieś w głębi duszy dopuszczał możliwość, że Boris rzeczywiście uciekł i przypuszczenia Altierowa były słuszne: uciekł właśnie w tę stronę.

Krzyknął na psa, podszedł do Solowiejczika. Objął się.

— Chodźmy z powrotem do lasu — powiedział Sasza.

Zagłębili się w gestwinę i przysiedli pod drzewem, gdzie było wygodnie sucho. Solowiejczik zdjął plecak, położył przy sobie, oparł głowę o drzewo, przymknął oczy.

— Ziego masz pieska.

— Zobaczyła nieznajomego... Chcesz jeść?

— Na razie nie, podjadłem — Boris pokazał na worek — ty co, już wiesz o mnie?

— Altierow mnie wzywał, wypytawał o ciebie.

Boris półleżał z zamkniętymi oczami.

— Dlaczego to zrobiłeś? — spytał Sasza.

Solowiejczik się rozkaszał, długo i z wysiłkiem odcharkował.

— Prosiłem o przeniesienie do Friedy albo jej do mnie. Odmówili. Pojechałem do niej. Zatrzymał mnie po drodze, Uciekiem. Wrócić do Roszkowa? Wsadzą, oskarżą o ucieczkę. No i poszedłem w tę stronę. Będą mnie szukać w dole rzeki albo na drodze kańskiej, a ja może zdążyć dojeżdż do Bracka.

— Altierow przewidywał, że pojedziesz w tę stronę.

— Mówił ci to?

— Tak.

Boris milczał.

— Do Bracka jest mięśnista droga. Nie dość, że

jutro nastanie zima. Zamarznie w lesie — powiedział Sasza.

— Nie mam innego wyjścia — powiedział Boris zmęczonym głosem — dojdę — to dojdę, nie dojdę — to nie dojdę.

— A co będzie z Friedą?

— Nic jej nie będzie. Ona nic nie wie. Nie widziałem jej po etapie. Korespondowaliśmy? Z wieloma osobami korespondowałem.

— To jest niezupełnie tak — zaprotestował Sasza — oświadczyłeś, że jest twoją narzeczoną, to znaczy, że jest bliskim ci człowiekiem, będą ją wzywać.

— Ciebie też wzywały, co mogłeś im powiedzieć? Ona też nic nie może powiedzieć.

— Słuchaj, może będzie lepiej, jeśli stawisz się w Kieźmie, u Altierowa? Oświadczyłeś, że azedłeś do niego, żeby prosić o przeniesienie cię do Friedy albo Friedy do ciebie. Wtedy sprawa będzie wyglądała zupełnie inaczej; nie przekroczyłeś granic rejonu, sam stawiał się w Kieźmie.

— To szyć grubymi nićmi — skrzywił się Boris. — „Szedłem do Kieźmy” — przecież zatrzymano mnie nie po drodze do Kieźmy, a przeciwnie, po drodze w dół rzeki. Nie, do Altierowa nie pojedę — odeśle mnie do Kańska.

— Droga do Kańska jest nieprzejezdna — powiedział Sasza — będzie przejezdna dopiero za miesiąc, nie wcześniej. Więzienia w Kieźmie też nie ma, gdzie mieliby cię trzymać? Altierowowi wygodniej jest przyjąć twoją wersję: przyszedłeś zabiegać w sprawie swojej i Friedy. On sam mi mówił: nie chcę nadzwyczajnych wydarzeń. A to, że wziął cię w dole rzeki, nie ma znaczenia. Powiesz, że w Roszkowie nie było łódki, a gdzieś w Kodzie czy Paszynie miałeś nadzieję nająć łódkę.

— Altierow już na pewno zawiadomił wszystkich o mojej ucieczce. — zaproponował Boris. — Jeżeli już cię wzywał, to znaczy, że przedsięwziął odpowiednie środki.

— A jednak — nalegał Sasza — to jedyna szansa. Do Bracka nie dojdiesz, złapią cię od razu w pierwszej wsi i wtedy na pewno przypiszą ci ucieczkę.

— Nie będę zachodził do wsi.

— A co będziesz jadł?

— Dasz mi trochę żarcia, słoniny, sucharów, cukru, jeśli masz...

— Oczywiście, że dam! Ale na jak długo ci tego starczy, ile możesz unieść? W lesie teras się nie wyżywisz, bo zima. Strzelby nie masz. Poddasz się z głodu w pierwszej z brzegu wsi. Zrozum, że tu chodzi o twoje życie. Stawisz się u Altierowa, to je zachowasz. I będzie szansa, żeby się z tego wykręcić. Pojedziesz dalej — zginiesz w lesie albo cię złapią i wtedy już nie masz żadnych szans.

Boris milczał, półleżał z zamkniętymi oczyma, jakby nie słuchał Saszę. Może się zdrzemnął.

— Przenocujesz u mnie?

— Nie otwierając oczu, Solowiejczik przecząco pokręcił głową.

— Zmiarkuj. I ty podpadniesz.

— O mnie się nie martw.

Boris otworzył oczy. Powiedział z niespodziewaną energią:

— Jeśli mnie tu zobaczą, to Altierow pojedzie tym śladem. A ja muszę przejść ze siedemdziesiąt kilometrów — tam mi pomogą. I ciebie narażać też nie mogę. Ty nawet nie możesz powiedzieć, że nie wiedziałeś, że uciekłem, Altierow cię uprzedzał. Umówmy się: ty mnie nie widziałeś, a cię nie widziałem! Cokolwiek i kiedykolwiek by się stało, choćby za rok, za dwa, za dziesięć lat: ja cię nie widziałem, ty mnie nie widziałeś.

— No, jak uważasz — rzekł Sasza — jednak myślę, że popełniasz błąd. Za parę godzin byłbyś w Kieźmie. Altierow trochę tobą potrząśnie i na tym wszystko się skończy. Nie można dać gwarancji, ale myślę, że to by tak wyglądało. Powtarzam, to jedyna szansa.

— Klamka już zapadła. — twarde powiedział Solowiejczik — możesz zdobyć dla mnie słoniny, sucharów, cukru?

— Słoninę mogę, o cukier się postaram, suchary trzeba wysuszyć, jeśli poczekasz, będą i suchary.

— Nie mogę czekać. Zamiast sucharów przynies chleba.

— Boris! — powiedział Sasza. — Pomyśl, bardzo cię proszę. Nie mogę pojąć, na co liczysz. Powiedzmy, że uda ci się dostać do Bracka... To wykluczone, ale załóżmy. A potem?

— Stamtąd przetrucą mnie do Irkucka, wsadzą do pociąg i pojedą do Moskwy.

— Po co?

— Szukać prawdy.

Saszy wydawało się, że Boris stracił rozum. Jakiej prawdy zamierza szukać? Może ma wiernych ludzi na drodze? Przyjaciół Friedy? Musi jeszcze przejść siedemdziesiąt kilometrów, to znaczy Frołowa, albo Sawino, albo Usolciewo. Ale wszystkie te wsie są na wypasach, jak przeprawi się przez Angarę? Angara jeszcze nie pokryła się lodem i nieprędko się pokryje — nurt jest tu wartki. A jednak na coś liczy. Widać i tu, na zesłaniu, są jakieś kontakty, możliwości, jakich Sasza nie podejrzewał. Państwo zawsze wydawało mu się wszechmocne, wszechwładzące, wszechobecne. W rzeczywistości to wcale tak nie jest, można je obejść. Zida proponowała mu inne drogi. Solowiejczik, być może, też ma własne dojścia, tylko że Sasza o nich nie wie.

— Ile czasu ci potrzeba, żeby skoczyć do wsi?

— To była prośba o pośpiech. Sasza wstał.

— Wróć za około trzy godziny.

— Będę na ciebie czekał.

Boris znowu oparł się o drzewo i zamknął oczy.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Na lotnisku w Szeremietiewie długo szukaliśmy bagażu.

Zawieruszyli się gdzieś i o mało nie poleciał do Delhi. W hotelu przy polskim konsulacie nikt już nie pamiętał o naszej rezerwacji. Jak zwykle urzędników niższego szczebla nie przekonuje argument logiczny — w planowanym terminie Moskwa zamknęła lotniska (o czym kto, jak kto, ale oni wiedzą!) — dopiero lzy Wandy i rozmowa z wyższym urzędnikiem skutkuje. Dobrze chociaż, że w polskim konsulacie jeszcze reagują na lzy. Moskwa nie wierzy łzom. Przekonaliśmy się o tym natychmiast. Od południa przez całą noc aż do rana następnego dnia lotnisko Domodedowo co godzinę powtarzało, iż nie wie, czy są miejsca do Kurganu i każe dzwonić... za godzinę. Płacz do słuchawki nie pomógł. O 7 rano machnęliśmy na wszystko ręką. Poszliśmy spać.

Po południu jadę na Domodedowo po bilety. Ukochana biurokracja czuwa! Ponieważ radziecka kontrola graniczna stwierdziła, że niepotrzebnie zapatrzyliśmy się w wizę, gdyż przy wyjazdach na leczenie wystarczy stempel „AC” w paszporcie, nie wziąłem jej ze sobą. Ale gdzie tam! Wiza może być niepotrzebna kontroli granicznej, lecz panienice sprzedające bilety jest jak najbardziej potrzebna! To ona właśnie jest upoważniona, by rozstrzygać, jakie dokumenty obywatel powinien posiadać. Ani mi się śniło jej ustępować. Z centrum Moskwy do lotniska jest ponad 30 km! Miałem dla jej przyjemności czterokrotnie pokonywać tę trasę? Znowu trzeba było rozmawiać z „naczelstwem”. Rzecz niepojęta, jak u nas każdy, kto

skrzypią po nierównym, ubitym śniegu kule, kuśtykają chorzy.

Gawrii Ilizarow nikomu nie odmawia pomocy, ale ceną tego jest niewyobrażalny tłok w salach. Część pacjentów leczy się ambulatoryjnie. To oni właśnie od rana do wieczora jeżdżą na zabieg.

Wstępne ustalenia w przypadku Wandy są pozytywne, lecz ostatnie słowo należy do profesora. Przed przyjęciem do kliniki trzeba ambulatoryjnie zrobić wszystkie badania: od grupy krwi poczynając, poprzez rentgen płuc, aż do okulist i dermatologa.

Zobaczyłem go zupełnie niespodziewanie.

Jakieś drzwi otworzyły się na oścież i stanął w nich człowiek nie tyle poważny, co pochmurny, podobny chyba do biblijnego Elizara. Z czarnych zrenic jego oczu wyzierała surowa i tajemnicza głębia Azji. Gorące, pełne miłości i nadziei spojrzenia skierowały się ku postaci, od której bił mroczny chłód. Stałem wraz z córką w tłumie chorych, jeszcze przed chwilą ruchliwym i gwarowym, teraz już niemym i wysekującym. W otwartych drzwiach ukazała się i ruszyła za profesorem spora grupa asystentów. Gawrii Ilizarow jest niewysoki, krepki, o wyraźnych wschodnich rysach twarzy. Gdy nas mijął, zatrzymał się nagle i spojrzał na mnie tak badawczo, jakby chciał o coś zapytać. Poczuliśmy się nieswojo. To nie był dobry moment, by przedstawiać się i prosić o wywiad dla „Odgłosów”.

Wszystko to trwało sekundę, może dwie... Ilizarow ruszył dalej. Do dziś nie mogę pojąć, co za magiczną, hipnotyzującą moc ma jego wzrok. Mnie osobliście odebrał odwagę. Wądzę również. Później oboje doszliśmy do wnio-

szorem będziemy na miejscu. Spędzimy normalną noc (telefonicznie zarezerwowaliśmy pokój w hotelu konsularnym), a rano odlot do Warszawy.

Zanim oczyszczono pas startowy, minęła godzina. Śnieg ciągle pada. Wreszcie startujemy. Niby wszystko jest w porządku, stewardesy uśmiechnięte, pasażerowie spokojni, a tu nagle bez żadnych wyjaśnień lądujemy w Permie. Nie planowane uzupełnienie paliwa. Trwa to ponad godzinę. Startujemy z innym pilotem.

Lądowanie w Permie i ponowny start przypięciem zdrowiem. Nie wiem, co się ze mną stało, lecz zwyczajnie... ośłupiałem. W oczach — ból i mgła. Odwracam się ku Wandzie, głowę ma odchyloną na oparcie fotela. Twarz ściągnięta, grymas bólu w kącikach ust. Niestety, stewardesy nie reagują, żadna nie podeszła do nas. Miałem, że już koniec ze mną. Uratowała mnie myśl o Wandzie. Wyobraźnia podsunęła mi jej postać w ogromnej hali lotniska w Domodedowie, zagubioną w tłumie, zaplakaną, bezradną... Ostatnim wysiłkiem woli uniosłem głowę do góry i odchyliłem do tyłu na fotel. W takim stanie byłem ze dwie godziny. Pamiętam, że Wanda podawała mi Valioli, który miała ze sobą. Może okazał się skuteczny?

W Moskwie lądujemy o północy.

Nawet nie próbujemy dotrzeć do konsulatu. Rano znowu straciliśmy godzinę na dojazd do Szeremietiewa. Przed lotniskiem stoi rząd taksówek, ale żadna nie chce o tej porze jechać na Szeremietiewo. Kurs dla naszej kieszeni niebagatelny, około 60 km, lecz „jaśnie panowie” dobrze znają godzinę przylotów i wiedzą, iż o tej porze nikogo z Szeremietiewa nie zabiorą. Proszę, błagam, nikt nawet słuchać nie chce. Jednemu powiedziałem coś „po matuszku”, nic, groch o ścianę, tylko wstyd mi się zrobiło własnej córki. Nie ma do kogo iść na skargę. Stoimy jak dwie sieroty, gotowe krzyczeć z bezsilności. Wreszcie zatrzymuje się jakiś prywatny samochód. Biegnę.

— Gdzie państwo chcą jechać? — uprzejmie pyta właściciel. Boże, nareszcie jakiś wiatr pieriestrojki powiał! Wymieniam Szeremietiewo, on wymienia kwotę 25 rubli. Wanda szepcze błagalnie: — Jedźmy tutaj!

Jesli średnie pobyty miesięczne wynoszą ok. 120–140 rubli, to prywatna taksówka — majątek na kółkach! Na jaki czołt potrzebne są studia, tytuły naukowe? Wystarczy, że umiesz trzymać kierownicę i masz wszystko.

Słoną opłatę za przejazd prywatną taksówką wyznacza nie licznik, lecz... język. W czasie jazdy usłyszałem od kierowcy, że to żadne kosy. Podatki są duże. Pasażer bierze go tylko z konieczności, woli państwowego. Benzyna droga, części zapasowe deficytowe, więc jeszcze droższe, a kontrolują go średnio dwa razy dziennie. Jest młodym żonkosiem, a mimo to musi pracować również w nocy, bo teściowa żąda, by kupił dachę pod Moskwą, wszyscy znają już mają. Chciałem załatwić, że żona również może zarabiać po nocach na dachę, lecz był tak grzeczny i miły, tak byłymy mu wdzięczni, że prosił, żebym nie przeszedł mi przez gardło. Oczywiście, za takie pieniądze, każdy może być uprzejmy i miły. Ciężki los człowieka, który musi kupić teściowej dachę, wkurzył nas bardzo, poczestowaliśmy go jabłkami, wlezionejmi z Kurganu, było nam go serdecznie żal.

Ogromne Szeremietiewo w środku nocy wyglądało jak rozjarzona światłami zamknięta pustynia. Zostawiam Wandę w hali odlotów i biegnę na górę szukać dzurującej kasy. Na okienku co prawda „stoi jak wół”: „kasa czynna całą dobę”, lecz za okienkiem pusto. Czekam chyba godzinę i nic, nikt nie przychodzi. Zaczynam się młotać po całym porcie, pytam celników i żołnierzy kontroli paszportowej — wszyscy kierują mnie na górę do kasy nr 1, „tej samej”. Wreszcie nie wytrzymuję i idę na komisariat milicji zameldować, że „zginął człowiek”. Trafiam w dziesiątki. Tam wiedzieliśmy, gdzie szukać kasjerki. Wydzwoniono ją z baru, siedziała u koleżanek na płoteckach. Przybiegła na komisariat czerwona ze wstydu, zaczęła przeproszać milicjantów. Ci ofuknęli ją zdrowo i wskazali, kogo ma natychmiast przeprosić. Podziękowałem im za pomoc, dodając, że zgodnie z przysięgą: „bez bata to i dobry koń się znarowi”. Przez całą drogę do kasy powtarzała bez końca: „przepraszam, ja tylko na chwilę...”. Nie miałem już siły pytać, ile godzin trwa ta jej „chwilka”.

Z biletem w rękę (ja zostawałem) biegnę do Wandy. Mój boże, ona pewnie dawno już mnie szuka, nie było mnie bite dwie godziny! Siedzi tam, gdzie ja zostawiłem, ale oczy wyrażają tyle obawy i lęku, że serce mi się ścisnęło. Wiem, co ją ucieszy.

— Jutro będziesz w domu. Odlot o 9. W Warszawie na ciebie czekają.

Wychodzimy z hali, musimy dostać się do hotelu dla pasażerów. Zostaje nam sześć godzin, właściwie pięć, jest już prawie 3. Trochę pospiemy, odpoczniemy. Taksówkarz, oczywiście, odmawia jazdy, tłumacząc, że to „parę kroków” i wskazuje na zagajnik za mostem. Na oko prawie kilometr. Widzi, swolocz, że dziewczyna jest o kulach, że ciemno, ślisko i ma czołozna odmawiać. Wiedziałem, że na lotnisku jest dyżurny dyspozytor taxi, zmigła mi gdzieś taka tabliczka. No więc znowu zadzłaziałem przez „naczelstwo”. Łobuz nie tylko podwiózł nas do samego wejścia, ale jeszcze bagaże wniósł do hallu.

Następne 25 rubli otwiera przed nami drzwi rajy w tę krótką noc. Przedpokój z szafą i lustrem do ziemi, duża komfortowa łazienka, dywany, dwa wygodne łóża, fotele, kolorowy telewizor, telefon. Sama ta piękna normalność koł nerwy, zdiera grubą skórę, czyni człowieka szlachetnym.

Rano pożegnałem się z córką, pomachałem ręką na pożegnanie samolotu. Znowu po raz kolejny z rzędu granica przecięła życie mojej rodziny.

WASYL KOCZNOW

Panorama

CSRS

Przed 1 maja i w dniu 1 maja doszło w kilku miastach CSRS do profanacji flag państwowych i ZSRR. W Pradze zatrzymano studenta, który zniszczył flagę CSRS, a w Bratysławie trzy osoby, które niszczyły również flagi ZSRR. W Trnawie natomiast młody mężczyzna w klubie fabryki „Tricota” wymalował swastykę. Zatrzymano go pod zarzutem propagowania faszyzmu.

Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna

Zbliżająca się Olimpiada w Seulu wpływa na zaostreżenie sytuacji politycznej w Azji. Koreański dziennik „Rodong Sinmun” zarzucił Japonii, USA i Południowej Korei spisek mający na celu wykluczyć KRL-D z współgospodarstwa XXIV Igrzyskami Olimpijskimi. Gazeta napisała między innymi:

„Nasza propozycja współgospodarstwa Olimpiady nie została dotąd zrealizowana. Obecnie jednak, gdy zbliża się Olimpiada, USA, Japonia i południowokoreańskie marionetki usiłują wykluczyć nas drogą swojego spisku, dążąc do tego, by Korea Południowa była jedynym gospodarzem”.

W dalszym ciągu gazeta stwierdziła: „Co więcej, zamierzają oni wykorzystać Olimpiadę poprzez manipulowanie południowokoreańskimi marionetkami dla stworzenia „dwóch Korei”. Wojna i podział: taki jest prawdziwy cel, do którego zmierzają władze japońskie poprzez Igrzyska Olimpijskie. Wzmagamy czujność przeciwko niezwykłym posunięciom ze strony Japonii”.

W połowie kwietnia 1988 roku przybył do Phenianu, gdzie poprosił o azyl polityczny, docent Wyższej Szkoły Handlowej w Kavan, w Południowej Korei — Li U Gap. Na niedawnej konferencji prasowej złożył oświadczenie o motywach swego postępcu. Powiedział, że za pośrednictwem Radia Phenian zdobył wiedzę o idei czucze. Idea ta oznaczała dla niego „słone światła”, które rozjaśniło jego życie.

— „Za każdym razem — powiedział Li U Gap — gdy dowidywałem się, iż niemal we wszystkich krajach świata odbywały się międzynarodowe seminaria w sprawie idei czucze i organizowane były grupy studowania tej idei, coraz bardziej przybliżała mi się wielkość szanowanego prezydenta Kim Ir Sena, który był twórcą tak wielkiej idei oraz dla drogiego przywódcy Kim Dzong Ila, który rozwijał ją i wzbogacał. (...) Słuchając radia KRL-D dowiedziałem się też, że wielki prezydent Kim Ir Sen i drogi przywódca Kim Dzong Il udzielają energicznych wskazówek na miejscu w sprawach państwowych, wielkich i małych. Zapytałem siebie, pełen podziwu dla nich, czy mógłbym gdziekolwiek indziej znaleźć innych takich przywódców”.

Li U Gap wezwał profesorów i studentów południowokoreańskich uczelni, aby nie wzięli temu, co o KRL-D mówi się w Południowej Korei, bo to wszystko są kłamstwa.

Rumunia

Jak stwierdził w wypowiedzi dla rumuńskiej gazety „Scinteia” przedstawiciel Krajowej Rady do spraw Wychowania Fizycznego i Sportu — Gabriel Popescu, w skład przygotowania rumuńskiej ekipy olimpijskiej wchodzi też wychowanie polityczno-patriotyczne. Obejmuje ono informację polityczną, omówienie dokumentów partyjnych, spotkania z działaczami partyjnymi i kadra kierowniczą gospodarki. Sportowcy biorą udział w zebraniach Związku Młodzieży Komunistycznej oraz odwiedzają zakłady pracy. Gabriel Popescu stwierdził, że nie we wszystkich grupach szkolenie to odbywa się w należyty sposób. Na przykład bokserzy i piłkarzy więcej uwagi poświęcają osiąganiu dobrych wyników w sporcie niż w szkoleniu polityczno-patriotycznym.

W czerwcu 1988 roku odbędzie się posiedzenie komitetu partyjnego przy Krajowej Radzie do spraw Wychowania Fizycznego i Sportu, na którym oceni się wyniki szkolenia.

ZSRR

Jeden z młodych radzieckich żołnierzy zwrócił się do gazety „Trud” z pytaniem, czy to prawda, że kiedyś zwłoki Józefa Stalina leżały w Mauzoleum obok zwłok Włodzimierza Lenina? Tak było istotnie — wyjaśnił na łamach gazety Aleksiej Abramow. Józef Stalin leżał obok Włodzimierza Lenina do 30 października 1961 roku. O usunięciu jego zwłok z Mauzoleum na Placu Czerwonym zdecydował XXII Zjazd KPZR na wniosek delegacji leningradzkiej, którą poparły delegacje: Moskwy, Gruzji, Kazachstanu, Kraju Altajskiego i inne.

Zwłoki Józefa Stalina zabrano z Mauzoleum w nocy. Rozezbrano sarkofag, zwłoki przełożono do trumny i pochowano je pod murem krematorium (nie w murze). Pogrzeb — drugi — Józefa Stalina odbył się bez przemówień, orkiestry i żałobników. Tylko w obecności jego córki Swietłany Alilujewej. Na grobie położono szarą płytę z imieniem ojca, nazwiskiem i datami urodzin i śmierci.

Z tej okazji Jewgienij Jewtuszenko opublikował wiersz w „Prawdzie”: „A ja swracam się do rządu naszego s prośbą: / podwoić, potroić przy tej płycie straż / aby Stalin nie ożył, / a wraz ze Stalinem — przeszłość...”.

JADWIGA M. NIEDŹWIECKA

Do Kurganu po ratunek

siedzi za barierką lub za szybą lubi komenderować, pomiatac człowiekiem.

W Kurganie powiadają, iż kiedyś Gawrii Ilizarow sam wyszukiwał w okolicy ludzi kalekich, by ich leczyć. Teraz na odwrót, wiara w niego jest nieograniczona. Jadą więc do Kurganu chorzy ze wszystkich kontynentów.

To, co za pomocą swego aparatu robi Gawrii Ilizarow, graniczy z cudem. Mnie, sam aparat skonstruował się za średniowiecznymi dybami i innymi narzędziami tortur. Nie mogłem patrzeć na chorych przesuwających swe nogi, oplecione siatką metalowych prętów. Jak to się dzieje, że przetrzy, długie jak sprzysy rowerowe, przekuwają kość, mięsień, a kończyła przez to rośnie, wydłuża się? A jednak to prawda. Ilizarow udowodnił, że zarówno kości, jak i mięśnie, nie dokształcone czy też amputowane mogą wzrastać i można im nadać dowolny kształt. Proces leczenia jest długi. 2–3 cm przysrostu, to 2–3 miesiące chodzenia w aparacie. Oczywiście, zależy to od wielu czynników — wieku, ogólnego stanu zdrowia itp. Profesor wydłużał już uciętą nogę i ręce o ponad 30 cm.

Na twarzach chorych widać cierpienie, choć starają się nie jęczeć, nie krzyczeć. Sami się na to zdecydowali i nie było wypadku, by ktoś zrezygnował z leczenia, by wolał pozostać kaleką do końca życia. Kończyna przez długi czas po bezkrwawej (!) operacji jest mocno opuchnięta i ma nienaturalną barwę — szaroniebieską. I wtedy, gdy pacjent już zagna się z nadzieją na poprawę, następuje przełom. Kończyna niemal z dnia na dzień zaczyna wracać do normalnego wyglądu, skóra różowieje, a to, co pojawia się w twarzy i ruchach człowieka, który negle uswiadamił sobie, że upragnione centymetry przysrosły, że to, czego tak pragnął, już się stało — jest nie do opisanego. Zmienia się chyba psychika i charakter takiego człowieka — nie ma cierpienia, jest radość i szczęście. To tak rzuca się w oczy, iż nie sposób tego nie zauważyć. Oczywiście, jeśli wydłużenie kończyny obejmuje kilkanaście lub kilkadziesiąt centymetrów, bądź gdy chodzi o rekonstrukcję dużej jej części — leczenie odbywa się etapami i może trwać po parę miesięcy przez kilka lat.

Najbardziej na współczucie zasługują dzieci. O ile sam zabieg jest bezbolesny, o tyle cały proces leczenia, łącznie z rehabilitacją, niestety, boli. Dorosłemu łatwiej to zniesić, jest w pełni świadom upragnionego celu. Czy dzieci te pełną domosć posiadają? Dobrze, że jedno z rodziców może na koszt państwa przebywać tam na miejscu i opiekować się dzieckiem od rana do wieczora.

Po naszej pierwszej wizycie w klinice nie miałem odwagi spojrzeć córce w oczy. Nie do zniesienia wydawała się myśl, iż czekają ją podobne meżarnie. Jej twarz była surowa i napięta, a na dnie zrenic czaił się strach. Dopiero teraz dostrzegłem, jak jest mizerna i blada. Na stole leżały nieruchome, jak zapomniane cudze przedmioty, lodowate drobne ręce. Nie mogłem oderwać od nich wzroku i jakimś od nich oczekiwałem odpowiedzi, zapytałem:

— Boisz się?

— Nie — Wanda powiedziała to twardo, zdecydowanie i dodała — będę patrzyła, jak się zakłada taki aparat na kolano.

Alle ręce nadal leżały nieruchomo, jedynie koniuszki palców drgnęły. Oderwałem wzrok od tych nieżywych rak, westchnąłem ciężko. Jej szeroko otwarte oczy patrzyły „do wewnątrz”, widzialem, jaką walkę toczą teraz wola, determinacja i obawa, lęk.

Trzeba szczerze powiedzieć, że ani KNEIKOT, ani Kurgan nie są przygotowane na przyjęcie tak dużej, jak obecnie, liczby pacjentów i ich opiekunów. Stąd wiele osób mieszka w kwartach prywatnych. Dopiero w tym roku do budowy specjalnego hotelu przy klinice przystępują... Polacy. Będą w tym rywalizować z Amerykanami, którzy uzyskali zezwolenie na zbudowanie dla siebie oddzielnego hotelu. Dotarcie do kliniki z centrum miasta nie jest łatwe. Od naszego hotelu do przystanku jest ze 400 metrów. Autobus zatrzymuje się w odległości ok. 500 metrów od wejścia do kliniki. To wszystko dla zdrowego człowieka pewno nie jest trudne, dla chorego — to koszmarn. W tę i z powrotem

A może do kina?

„SONATA MARYMONCKA” to debiut reżyserski Jerzego Rida. Film zrealizowano na podstawie jednego z wcześniejszych utworów Marka Hłaski. Jest to historia osieroconego chłopca z biednego przedmieścia Warszawy, który z trudem przeżywa przez życie, od czasów przedwojennych, poprzez okupację, aż do powojennej zburzonej stolicy. Wśród wykonawców: Olaf Lubaszenko, Henryk Bista, Zofia Merle, Alicja Jachiewicz i Bronisław Pawlik.



„ZŁOTE DZIECKO” Michaela Ritche to film przygodowy. Z klasztoru w Tybecie porwane zostaje „Złote dziecko” — symbol dobra i przewieziony przez ludzi reprezentujących zło do Los Angeles. W tym mieście aniołów uratować je może wybraniec, któremu, niestety, daleko do anioła. W filmie występują m.in. Eddie Murphy i Charlotte Lewis.



Fakty □ Plotki □ Anegdotki

* Polacy na antenie programu drugiego BBC. Najpierw 50-minutowy film poświęcony Tadeuszowi Konwińskiemu, potem telewizyjna premiera sztuki Ryszarda Kapuścińskiego „Cesarz” w wykonaniu jednego z najlepszych teatrów londyńskich — Royal Court Theatre (w reżyserii Jonathana Millera) i wreszcie godzinna audycja poświęcona Ryszardowi Kapuścińskiemu.

* Zapowiadane przez szefa 2 programu TV, Józefa Węgrzynę zmiany w programie Dwójki („Życie Warszawy” z 15.IV br.) potwierdzają się. Szef Dwójki zapowiedział rozszerzenie współpracy z wybitnymi ludźmi, którzy swego czasu zniknęli z ekranu, a więc z Hanuszkiewiczem, Toepflem, Walterem, Rolickim, Bogusławskim i jeszcze innymi najwybitniejszymi twórcami w historii telewizji. Nowe twarze — ale też Sanuk i Mikołajczyk. Nie zależy mi na tym, żeby to co robie było nowe czy też moje — tylko żeby było dobre. Chcemy się pozbyć maszkaronów gadających w telewizji. I obojętnością powitalną na ekranie Tadeusza Szuka, jako gospodarza niedzielnego programu Dwójki. Innych widziliśmy wcześniej...

* „Frantic” (Szalony) to najnowszy, pełen napięcia thriller Romana Polańskiego. Jaki zaprezentowano w Paryżu. Film opowiada o tym, co przydarzyło się amerykańskiemu kardiologowi w Paryżu, dokąd przyjechał — wraz z żoną — na kongres. Lekarka gra Harrison Ford, towarzyszącą mu żonę, która znikła w tajemniczych okolicznościach — Betty Buckley. Polański twierdzi, że po nakręceniu tego obrazu odzyskał chęć do robienia kolejnych filmów. Złośliwi utrzymują, że jest to rezultat udanego debiutu francuskiej aktorki Emmanuelle Seigner — od trzech lat przyjaciółki, a od niedawna żony Polańskiego.

* Co tydzień na ekranach telewizji brytyjskiej pojawia się w. pismo 25-letnia Emma Freud i przeprowadza rozmowy z gwiazdami brytyjskiej telewizji i kina. Program „Pillow Talk”, czyli „Poduszkowa rozmowa” (stąd strój głównej bohaterki programu) cieszy się dużym zainteresowaniem widzów. Nie bez znaczenia jest fakt, że Emma Freud to prawniczka Zygmunta Freuda, ojca psychoanalizy, choć powiada o pradziadku, że nie o nim wie i niczego, co stworzył nie czytała. Można i tak.

— Zbliża się pana jubileusz 40-lecia pracy na scenie. Gdyby mógł pan cofnąć czas, czy wybrałby pan zawód aktora?

— Gdybym znał swoje zdolności i możliwości, to byłbym nieuczciwy w stosunku do siebie, gdybym narzucał sobie wybór właśnie tego zawodu. Kiedyś wyobrażałem sobie swoją pracę, jako pasmo sukcesów, a z perspektywy czasu okazało się, że te moje dokonania były dość przeciętne. Nie mówię tego przez fałszywą skromność. Mam już parę lat za sobą i patrzę na moje osiągnięcia zupełnie inaczej, z dystansem. Bywały w moim życiu zawodowym takie okresy, kiedy na próby i przedstawienia chodziłem z największą przyjemnością, ale także bywały chwile, kiedy z wielkim wysiłkiem wychodziłem z domu do teatru. Złota chwila, kiedy zdawałem sobie sprawę, że nie potrafię ciękawie zbudować kreowanej postaci. Bardzo łatwo ulegam zniechęceniu i szczerze zazdrości kolegom, którzy posiadają taki upór i siłę w sobie, że pokonują przeciwnika.

„Grywałem dobrotliwych ludzi”

— mówi ZBIGNIEW JÓZEFOWICZ, aktor Teatru im. St. Jaracza w Łodzi

ce się przed nimi przeszkody. Moja psychika jest chyba sprzeczna z psychiką rasowego aktora.

— Jakiego rodzaju rolę pan preferuje?

— Komediowe i tylko o takich marzyłem, a zazwyczaj obsadzany byłem w dramatach i tragediach — i też często dramatami się kończyły.

— Może to za sprawą pana warunków zewnętrznych?

— Być może... Często się mówi, że aktorstwo to powołanie, ale przede wszystkim, to jest wielka odpowiedzialność za to, co się robi. Wydaje mi się, że jeżeli ja dobrze czuję się w roli, to z pewnością widza to odczuje i z przyjemnością będzie oglądał spektakl.

— Wspomniał pan, że musiał czasem przełamywać opór wewnętrzny przed wcieleniem się w postać — proszę o przykład?

— Teatr Nowy wystawiał „Skapca” w reżyserii Jerzego Zygalskiego. Kiedy zobaczyłem, jaka to ogromna rola i uświadomiłem sobie, jakie znakomitości ją grali i jakie to były osiągnięcia... ale to była komedia... — Wiedziałem, że mu-

szą mieć ciekawy pomysł na zaprezentowanie tej sylwetki widzowi i nieskomplikowanie powiem — udało mi się.

— Mówimy tylko o teatrze a przecież brał pan udział w filmach, w których nie wspomnę o teatrze telewizji. Jakże były panu pierwsze kontakty z filmem?

— Pierwszym filmem, w którym zagrałem to była „Pamięć z Celulozy” — Jerzego Kawalerowicza (rola Gawlikowskiego). Później zupełnie przypadkowo zagrałem u Jana Rybkowskiego w filmie zatytułowanym „Godziny nadziei” i tak się zaczęło... Byłem do pracy w filmie zupełnie nie przygotowany i bardzo się bałem...

— Jest pan bardzo samokrytyczny...

— Oj, proszę pani, kiedy zobaczyłem „Godziny nadziei”, byłem zupełnie zdruzgotany. To było straszne przeżycie. W tym samym filmie grała Jadwiga Chojnacka — kiedy popatrzyłem, z jaką swobodą pokazywała się na ekranie, to wiedziałem, że jestem skompromito-

wiem pani historię, która dowiedzia, jak łatwo na scenie dramat staje się komedią, a komedia przestaje się w dramat. Jeszcze w latach 80. wiele programów telewizyjnych transmitowano na żywo. Brałem udział w spektaklu, który napisał specjalnie dla łódzkiej telewizji Edward Szustler pt. „Dwie tłuście gęsi”. Sztuka opowiadała o tragicznych losach pary bohaterów śledzących w więzieniu i czekających na wyrok śmierci. Życie mogli okupić tylko tłuściami gęsiami, dając je w łapówce niemieckim strażnikom. Szczególna wartość gęsi wynikała z faktu zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, w których okupacyjnych czasach... Sztuka zaczynała się w taki sposób, że my widzowie siedzieliśmy na skrzyniach. Kamera dostała sygnał: zaczynać. Pomalutku wchodził w dekorację... ja wstaje i tylko słyszę: Tryyyyyy... i czuję, że zawadziłem spodniami o gwóźdź. Spodnie są całkiem rozdarte. Nie mogłem w czasie grania tej dzikiej ekspozycji. Wygrać taką sytuację w ponad godzinnej au-



Gospodarz w „Weselu” St. Wypłaskiego — Zb. Józefowicz

Dwukrotnie miałem okazję uczestniczyć w przechowywaniu reżyserskiego, co zwiastuje człowieczeństwem, a stało się tak dzięki filmom „Most na rzecę Kwai” i „Król szczurów”.

W zasadzie chodzi o przetwarzanie, ale sposoby na to zasugerowane w tychże filmach są różne. „Most na rzecę Kwai” jest filmem cokolwiek dżentelmeńskim, który nie opowiada o umieraniu za życia i odnosi się do umierania, ale obojętnie do tego tylko teren szlachetnej walki brytyjskiego pułkownika z japońskim komendantem obozu.

Należy chyba docenić Anglika, który w tym filmie trzyma się zasad, że Japonczyka zganic za łuki w psychologii i skłonność do stosowania tepej i brutalnej siły. Ale może to również jest psychologia — kodeks budo.

Był może ekstrawagancja śladu pułkownika Nicholsona to nie tylko kodeks etyczny i regulamin, ale również w miarę rzetelna ocena swoich akcji. Komendant to człowiek interesu, żąda budowy mostu — nie rozumiemy zaś przez blisko półwiecze pozostałe problem dowodzenia.

Z kolei „Król szczurów” to re-

TV

Król szczurów

konstrukcja sytuacji pozornie mniej złożonej, ponieważ oba jenieckie to polskie skansen, w którym ludzie nuda się i umierają, ale pewnie dlatego psychologiczna analiza postaci jest pogłębiona.

Król szczurów to niejaki kapral King, żołnierz armii Stanów Zjednoczonych, który postanowił przeżyć i przedsięwziął swoje morale, to szczyt „poszedł na współpracę” z Japonczykami. Pozostali jeniecy to głównie Brytyjczycy, więc pragmatyczny Amerykanin szuka, gdyż ich tresura narodziła nie przewidywalne takie sytuacje i takiego postępowania. A tymczasem życie w polu w Kinga jeden dogmat — żeby przeżyć, trzeba mieć, żeby mieć, trzeba przeżyć — i to on wyznacza postępowanie. W obozowych warunkach prosperuje nie tyle i dzięki stryżynie, w której posiada żywność i dobro wszelkie, gromadzi wokół siebie liczną gromadę zwolenników.

Bardzo łatwo spekulować nad książką albo przy telewizorze o humanistycznych aspektach jego postawy, lecz nieco trudniej dostrzec, że jego postępowaniem rządzą tylko jeden dylemat: żyć albo nie żyć. Być może to właśnie z jego postawy najlepiej przebiega człowieczeństwo, mimo wszystko reguły, których się trzyma, są ściśle ustalone i w miarę możliwości pomaga młodemu Anglikowi, nie mówiąc już o tym, że utrzymuje swoich podległych, a dzięki szczurzym udomom z jego hodowli nie umiera z głodu pół obozu.

Przesłanie filmu jest chyba takie: w sytuacji nietypowej, gdy wszelkie kanony moralne i by tak rzec, misternie tworzona i pielęgnowana siatka socjologiczna tracą na znaczeniu, następuje praktyczna selekcja autorytetów i wybija się ci, którzy nie posiadają tradycyjnych zahamowań etycznych.

TOMASZ KUBIK

Zakończony w ostatnich dniach kwietnia XV Przegląd Filmów o Sztuce najłatwiej byłoby zamknąć statystyką: 36 filmów w konkursie wybranych ze 110 zgłoszonych, brak Grand Prix, ale za to 20 pozostałych nagród i wyróżnień przyznanych nie tylko przez oficjalne jury z Andrzejem Papużką na czele, ale i inne gremia z zakopiańską publicznością włącznie.

Był to, mimo bądź co bądź jubileuszu, festiwal skromny, zgrabny, a co gorsza nie do końca chyba przemysłowo jego formuła. I nie chodzi tu nawet o poziom prezentowanych filmów — te były takie, jakie w ostatnich dwóch latach powstawały. Zabrakło natomiast otoczki, imprez towarzyszących, które każdemu przeglądowi nadają specyficzne, jemu tylko charakterystyczne piętno. Lub nie. Niestety, tym razem zupełnie nie było niczego, co mogłoby wyróżnić ten przegląd. W praktyce wyglądało to tak, że zgromadzone filmy, przyjechali goście — twórcy filmowi, krytycy i znawcy, popularyzatorzy i miłośnicy kina — odbyli się pokazy, wręczono nagrody. I tylko zapomniano o tak oczywistym fakcie, że film o sztuce jak żaden inny gatunek, z definicji wręcz żyje i ma się najlepiej wśród innych dziedzin sztuki, tego konglomeratu działań i przedsta-

W ZAKOPANEM

Filmy o sztuce

wień, które składają się na współczesną panoramę naszej kultury. Zabrakło na festiwalu — w Zakopanem — jednego choćby słowa pamięci o zmarłym niedawno zakopiańskim Tadeuszu Brożewskim, wielkim malarzu, artyście, którego barwna postać złączyła się z kolejnymi przeglądami. Bywał w jury, był bohaterem nagradzanych filmów, był zawsze obecny na pokazach. Na miarę skandalu organizacyjnego zastępuje w tym kontekście i ten jeszcze fakt, że wystawa prac tego artysty prezentowana w zakopiańskim BWA została zamknięta na tydzień przed rozpoczęciem festiwalu. A sprawa dotyczyła prochy Witkacego? Przecież festiwal jest chyba coś w sobie, tematu artysty. Legenda Zakopanego, jego sprzyjająca wszelkiej artystycznej działalności atmosfera, tak znakomicie dziś wykorzystana przez Andrzeja Dziuka i jego teatr, miała swój udział w narodzinach festiwalu. Mało zresztą jest w naszej historii sztuki sylwetek tak na wszelkie sposoby filmowo eksploatowanych jak właśnie Witkacy. Fascynowali się jego twórczością i poświęcali mu swoje filmy i tegoroczny laureat Grzegorz Dubowski i Józef Rąbakowski i Jacek Samiód. Czyżby towarzyszący przegląd filmów inspirowanych dziełem Witkacego był zbyt trudny do zorganizowania?

Może zresztą tych żółtych byłoby mniej, gdyby po prostu więcej było dobrych filmów. Podczas konferencji prasowej na otwarcie festiwalu żartowano, że niedługo nagród będzie więcej niż filmów. Rzeczywiście, brak Grand Prix, przy deszczu pozostałych, świadczy może o dewaluacji przeglądu. Nie było na nim przeboju, nie było nawet takich filmów o sztuce, do jakich przyzywał nas w latach 70. i początku 80. młodzi, często debiutujący dopiero filmowcy „ze stajni Łukowskiego”. Stał się się świadkami zmiany warty. Coż więc interesującego pozostało do obejrzenia. Na uwagę zasługuje przede wszystkim rozszerzenie formuły festiwalu. Po raz pierwszy zmodyfikowany regulamin dopuścił do przeglądu konkursowego filmy o literaturze, teatrze, filmie, fotografii. Trzeba od razu stwierdzić, że posunięcie to,

oczekiwane od kilkunastu co najmniej lat, okazało się może zbawienne dla dalszej egzystencji festiwalu. Już w tym roku pokazano kilka co najmniej zasługujących na uwagę filmów. Zaliczam do nich obraz Andrzeja Titkova „Piękny dwudziestolecie” (o Marku Hłascie) i Krystyny Pióro „Nie było lata” (o Stanisławie Grochowiaku). Ascetyczne w formie, stylizowane niemal na kronikarski zapis, oba podejmowały bardzo trudny problem ukazywania literatury, pisarza za pośrednictwem ruchomych obrazów. Reżyserki zabieg szczególnie widoczny był w filmie o Grochowiaku. Wspomnienia osób znających go (sąsiadka, matka, córka, nauczycielka) stały się w filmie etapami, przystankami życiowej drogi poety. Nagrodzono także filmy o teatrze. Wśród nich „Złe zachowanie” Ireneusza Englara (o słynnym spektaklu Andrzeja Strzeleckiego) jest zresztą więcej niż tylko rejestracją działań teatralnych. Jest przede wszystkim próbą uchwycenia relacji zachodzących między światem inscenizowanym a rzeczywistością. Takiego teatru, jaki istnieje codziennie życie nie da się zainscenizować.

Ze starej, dobrej tradycji Zakopanego odwołując się do sukcesu Bogdana Dziworskiego i „Brazowego Pegaza” za „Sen” — sugestywna, poetycka

próba interpretacji malarstwa Tomasza Beksińskiego. Był to właściwie jedyny godny uwagi film, który nie opowiadał o innym artyście, ale przedstawiał jego dzieło w obrazie właściwym, a sztuki filmu. W dwu filmach pojawiła się sylwetka Stanisława Szukalskiego, zmarłego w 1987 roku malarza, rzeźbiarza, projektanta, publicysty dopominającego się polskiego, narodowego stylu w sztukach plastycznych. Filmy te to nagrodzony najwyższą nagrodą „Srebrnym Pegazem” film Grzegorza Dubowskiego „W kręgu Stanisława Szukalskiego” i film Ignacego Szczępańskiego „Szczepow”. Bohaterem tego ostatniego jest malarz, rzeźbiarz i poeta Marian Konarski, współpracownik i przyjaciel Szukalskiego, jego następcą w ugrupowaniu artystycznym zwanym Szczepem „Rogate Serce”.

Wreszcie nie wolno pominąć „Dueu” Jadwigi Zakuskiej, kolejnego zrealizowanego w WFO filmu tej niezwykle wrażliwej artystki. Jest on zapalem powstawania widowiska baletowego „Karlo-wicz — Interpretacja”, realizowanego przez Adama Hanuszkiewicza w Teatrze Wielkim w Łodzi.

Na koniec filmy o filmie i fotografii. „Cudzoziemka” Michała Marynarzyka (o goszczącej w Łodzi Ewie Rubinstein, fotografującej ślady odchodzącego świata), „Zbigniew Bochenek — reżyser siatki Krakowa” Macieja Łukowskiego, „Włóczęgowie” Stanisława Manturzewskiego (o operatorze filmowym Stanisławie Niedbalskim) i „Władysław Starewicz” Władimiera Berestowskiego, którego bohaterem jest niezwykły artysta filmu kukielkowego, całe życie tworzący i umierający za granicą Polak.

Niestety były i filmy niezbyt interesujące czy wręcz nudne.

MECZYSLAW KUŹMICKI

• polemiki • listy • opinie • polemiki • listy • opinie •

„KOMU ZALEŻY NA OBRONIE JÓZEFA STALINA?”

Na wstępie pragnę przypomnieć Witoldowi Borowemu, że mój list przesłany do „Odgłosów” dotyczył artykułu F.P. z 15 kwietnia 1988 r. (...)

Witold Borowy cytując Gawrio Popowa: „nie spełniły się nadzieje, że pierestrojka umrze śmiercią naturalną”. Jeżeli słowa te dotyczą jej wrogów, to w porządku. Mnie to nie dotyczy. Jestem emerytem i nikomu nie zagrażam. Pisząc staram się być jak najbardziej obiektywny, szczególnie w sprawach historycznych. Nie należę do ludzi zmieniających chorągiewkę, a już najbardziej nie lubię wchodzić na pochylone drzewo. Do tych spraw trzeba mieć tupet, a ja go nie mam. Nie wpadam też w euforie. (...)

Nie mam zamiaru polemizować o Siemonie Rostowskim i Ili Erenburgu oraz pozostałych autorach listów dotyczących stalinizmu. Dla mnie stalinizm nie jest sprawą nową. Pozwolił sobie sięgnąć po gazetę z 31 grudnia 1936 r. pt. „CO DALEJ?”, drukowaną w Łodzi. Zacytuje krótkie urywki niektórych wypowiedzi Lwa Trockiego — przetłumaczone przez S.G.:

„Afera” — na wielką skalę. Sprawa zabójstwa S. Kirowa była przez kilka tygodni kompletną zagadką. Dopiero 17 grudnia stało się wiadomym, że Nikołajew był dawniej członkiem leningradzkiej grupy opozycyjnej Zinowiewa. Cała leningradzka organizacja partyjna z wieloma wyjątkami należała w 1926 r. do opozycji zinoiewowskiej i na XIV zjeździe partii była reprezentowana przez delegację, w której skład wchodził prawie wszyscy aresztowani w sprawie Kirowa. TASS donosi, że w Moskwie w związku z tą sprawą zostało aresztowanych 15 członków byłej „antystowickiej” grupy Zinowiewa. TASS dodaje przy tym, że w stosunku do siedmiu zaarrestowanych brak „dostatecznych podstaw do wytoczenia im sprawy sądowej”, i że dlatego zostają oni przekazani Komisariatowi Ludowemu Spraw Wewnętrznych. Wyliczmy w ślad za TASS zaarrestowanych w Moskwie członków partii: Zinowiew, Kamieniew, Zaluski, Jewdokimow, Fiodorow, Saffarow, Kuklin, Bakaiew, Szarow, Fajfiliowicz, Wardin, Gorczenin, Gerik, Kostin, Bulak”. (...)

Wiadomości wyżej cytowane w ówczesnym czasie były kością niezgody między dotychczasowymi komunistami a trockistami. Spory zazwyczaj kończyły się rekompensatami nie tylko w Łodzi. Wniosek, że dużo, dużo wcześniej toczyła się walka nie tylko między tymi ugrupowaniami. Chodziło o prawdziwe oblicze marksizmu, leninizmu przeciwko narastającemu i aktywizującemu się stalinizmowi. Działająca „pierestrojka” jest więc kontynuacją nie zrealizowanych postulatów politycznych, które istniały już od początku Władzy Radzieckiej. Po śmierci Józefa Stalina XX Zjazd KPZR ujawnił kult jednostki i wiele innych tajemnic. Stała się wielką rzeczą. Zostały wywołane siły twórcze, ale obok? Śmierć twierdzić, że zaktywizowały się siły antykomunistyczne i w różnej formie wyrażają swoje dążenia.

W Polsce ogólnie twierdzi się, że żadnego zagrożenia antykomunistycznego nie ma, że jest to wytwór wyobraźni ludzi chorych na konserwatyzm polityczny. A więc ja jestem chory i pragnę jasnej sytuacji. Przede wszystkim realizacji reformy, bez strąków. Nie oszukujmy się. Nie ten jest wróg, kto mówi tak jak ja: „mam szacunek dla Stalina”. Był wodzem, tego nikt nie zaprzeczy. Z jego imieniem umierali ludzie. (...)

Mówi się o starych zacofanych konserwatystach politycznych, pragnących zrobić pierestrojkę. Może tak jest, a może i nie? Stokroć gorsza jest dzisiejsza biurokracja w masowym wydaniu. Oni to pragną siedzieć i patrzeć jak inni pracują. Mówimy: są nowe czasy, dążenia, wyniki itd. Moim zdaniem niech się nikt nie dąży, że stalinizm się skończył, a może i nieomylny. Lekcja historii w moim kraju jest zbyt poważna, żeby nie widzieć istniejących różnic i powtarzać: jesteśmy silni, gotowi. (...)

Żeby być bardziej zrozumianym informuję: w latach 1926—1936 zwolennicy stalinizmu przypiełnili mi łatkę socjalfaszysty. Drugą etykietkę miałem jako antysemitę. Trudno było wszystkim wyłumaczyć, że tak nie jest. Nosilem miano socjalzdrajcy. Ja i moi towarzysze byliśmy bici jako żydokomuna. Nastąpiła zmiana kursu KPP i KZMP. Zaczęto budować jednolity front, w którym jedność ideowa była głównym celem. Mam swoje powody, żeby nie cieszyć się ze stalinizmu, mimo tego moja znajomość minionej historii walk klasy robotniczej mówi mi „nie mieszaj z błotem Józefa Stalina”. Byli różni wodzowie w historii Europy i świata. Po śmierci każdego z nich mówiono: „niech mu ziemia lekka będzie”. Jeden Stalin doczekał się wykłęcia. Szkoda, że on sam nie już nie powie na swoje usprawiedliwienie. Teraz ludzie mówią za niego i na niego. Zdumiewa mnie skąd u ludzi bierze się tyle nienawiści.

TADEUSZ KOLACZYK

(...) Pyta Tadeusz Kolaczyk, gdzie ten wielki wódz miał się uczyć i od kogo? On się uczyć nie potrzebował. On wszystko wiedział. O ile ktoś wątpił w jego genialność, miał jedno wyjście, a mianowicie przyznanie się do winy co oznaczało śmierć. Socjalizm musi być ustrojem sprawiedliwości i pełnym humanizmem, inaczej nie może być ustrojem upragnionym przez społeczeństwo. Ustrój musi umieć się sam obronić. Każdy ustrój gospodarczy i polityczny musi ulepszać swoje zasady działania i zmieniać metody w miarę potrzeb narodu i państwa. Stalinizm wywarł wielki i zły wpływ na postęp techniczny. Zrujnował w pewnym sensie rolnictwo, które winno ze względu na posiadane warunki wyżywić swój naród. Ci, co piszą o tych faktach, nie mieszają z błotem Józefa Stalina, a jedynie przypominają jego błędy, a zwłaszcza jeden najpoważniejszy, a mianowicie: uwierzenie w swój wielki rozum i bezwzględność w eliminowaniu swoich przeciwników. (...)

Uważam, że tylko jawność życia politycznego i pełna odpowiedzialność może nasz ustrój wyprowadzić z marazmu. (...)

TADEUSZ CHYLIŃSKI

Do listu Tadeusza Chylińskiego nie mogę dodać. Trudno byłoby się z jego poglądami nie zgodzić. Mam natomiast poważne zastrzeżenia do listu Tadeusza Kolaczyka. W prasie było już wiele niebylewale interesującego materiału na temat „sprawy leningradzkiej”. W artykułach tych ujawniono istotę owej stalinowskiej prowokacji.

Przypominając zatem tego, co pisało w 1936 roku jest dla mnie nieporozumiałe. Czy mam to rozumieć jako „jedną prawdę”, a obecne rewizje tamtych procesów i ujawnienie ich prawdziwych źródeł, jako fałszowanie historii? Chyba autor nie to miał na myśli, być może tylko myśli te niezbyt precyzyjnie sformułował.

Trzeba znać historię, aby wiedzieć, że na ogół każdemu władcy każda za życia, a po śmierci „szargają świętości”. Wychodzi to tylko na korzyść historii. Józef Stalin nie jest tu wyjątkiem. Za jego życia pisywano o nim kantaty i poematy, teraz — w 35 lat po śmierci — ukazuje się jego prawdziwe oblicze. Trzeba bowiem znać prawdę o przeszłości, aby móc patrzeć w przyszłość.

Nie chodzi przecieć o to, czy Tadeusz Kolaczyk zagraża po-

stępowi, ale chodzi o to, że poglądy, jakie głosi, dość dalekie są od prawdy. Ot, i wszystko.

Myślę, że na tym należy zakończyć polemikę.

WITOLD BOROWY

NALEŻY MALOWAĆ OKNA

W nawiązaniu do notatki zamieszczonej w „Odgłosach” nr 15 z 9 kwietnia 1988 roku uprzejmie informujemy, że problem malowania stolarki okiennej określony jest w regulaminie o konserwacji i remontach budynków mieszkalnych i obiektów handlowo-usługowych, który został zatwierdzony przez Radę Nadzorczą RSM „Bawelna” i zgodnie z jego postanowieniami obowiązek ten spoczywa na lokatorach.

Postanowienia tego regulaminu zobowiązują m.in. członków-lokatorów do odnawiania lokalu polegającego na: malowaniu farbami olejnymi całej powierzchni elementów drewnianych okien (wewnątrz i na zewnątrz) oraz z okitowaniem szyb (nie rzadziej niż raz na 4 lata).

Regulamin ten znajduje się do wglądu w Administracji Osiedla, paw. 470, ul. Bartoka 67, pokój 3, 10, 17.

mgr WIESŁAW CYZOWSKI
Dyrektor RSM „Bawelna”

NA NOWYM ROKICIE BRUDNO

Niesamowicie drażni mnie niechlujstwo gospodarza osiedla Nowe Rokicie, którym jest administracja VII Rejonu Obsługi Mieszkańców Łódź-Górną, przy ul. Cieszyńskiej 43. Drażni mnie nie ze sposobu urzędowania czy wykonywania cięższych na niej obowiązków, a wprost z powodu niedbalstwa o estetykę własnego lokalu biurowego. Jest to lokal parterowy, położony tuż przy ulicy i stanowi jeden z pociągających domów mieszkalnych. Elewacja tego biurowca jest najbrzydsza w całym osiedlu. Nie z powodu jej uszkodzenia lub ubytków, a tylko ze względu pomazania jej wapnem lub kredą.

Usunięcie tego obokurnego wyglądu nie wymaga żadnych nakładów inwestycyjnych. Wystarczy 5 kg cementu, wiadro wody i 2 godziny pracy i robotnika by tę obokurność usunąć. Niestety, do tego trzeba „spojrzenia dobrego gospodarza” i trochę dobrej woli, a tego jednak gospodarzowi brak.

Przykro, skoro taki stosunek do estetyki osiedla posiada sam jego gospodarz. W lecie częstokroć podjeżdżają na ul. Cieszyńską autokary wycieczkowe z młodzieżą do oglądania bloków cygańskich, a m.in. patrzą na brudny biurowiec administracji.

J.N.

(Imię, nazwisko i adres znane redakcji)

ZUS WYJAŚNIA

W nawiązaniu do publikacji dotyczącej renty nr 95669/15 P, która ukazała się na łamach naszego tygodnika nr 17 z 23 kwietnia 1988 r. — ZUS uprzejmie wyjaśnia:

Obywatel Jakubowski Franciszek zam. w Łodzi, ul. Sanocka 22, pobierający rentę inwalidzką z tytułu wypadku przy pracy pod ww. numerem, w marcu oraz kwietniu br. otrzymał rentę wynoszącą miesięcznie 22.630 zł.

Od 1 marca 1988 r. w związku z waloryzacją świadczeń przyznanych do dnia 31 grudnia 1986 r. oddział dokonał zwiększenia podstawy wymiaru renty czytelnika o 21,1 proc. i decyzyją z dnia 15 marca br. ustalił wysokość świadczenia miesięcznego na kwotę 26.190 zł. Ponieważ decyzję waloryzacyjną opracowano ręcznie, brak było możliwości wypłacenia świadczenia w nowej wysokości zarówno w marcu, jak i kwietniu. Informacje do komputera wprowadza się bowiem co najmniej z wyprzedzeniem jednego miesiąca, a w okresach masowego podwyższania świadczeń wcześniej, gdyż taki jest cykl przetwarzania danych oraz przygotowywania wypłat miesięcznych.

Z powyższych względów, w dniu 16 marca br. przekazano na rachunek oszczędnościowo-rozliczeniowy obywateli Jakubowskiego Franciszka wyrównanie z tytułu podwyżki w kwocie 7.120 zł, stanowiące dopłatę do świadczeń przekazanych za miesiące marzec i kwiecień (26.160 zł — 22.630 zł = 3.560 zł x 2 miesiące = 7.120 zł), o czym poinformowano zainteresowanego w punkcie 8 decyzji z dnia 15 marca br.

Powyższa należność może być podjęta na pocztę bądź w placówce PKO.

mgr KAZIMIERZ ZIELIŃSKI

SPÓŹNIONA LEKCJA MORESU

Chyba sprawdził dla ludzi zgłaszających się do Stowarzyszenia Polaków „Ekspluatowanych” przez III Rzeszę wymysłili dokonujący zapisów. Wszystkich chętnych gromadzących się przed tymczasowymi lokalami Stowarzyszenia poddano rozmaitym upokorzeniom oraz działaniu grubiaństwa i obserwowano efekty. Wiadomo: bez szemrania wytrzymają tylko ci, którzy rzeczywiście byli na przymusowych robotach, przechodząc tam szkołę podległości i „ordnunu”. Tak było w Łodzi przy ul. Piotrkowskiej 149, (szczegóły w „Karuzeli” nr 8), jak również w Pabianicach przy ul. Nowotki 4, gdzie zapisy odbywały się na tyłach budynku należącego do Urzędu Miasta.

Pod ten drugi adres, 25.02.1988 r. przybył Marek K. chcąc złożyć deklarację w imieniu swojej matki. Sam ze względu na zbyt młody wiek na robotach nie był, moresu należącego nie znał, naczytał się za to sporo o prawach obywatela i obowiązkach urzędu. Zdziwił się więc niepomierne, kiedy zobaczył, że grupa starszych ludzi moknie na deszczu ze śniegiem przed zamkniętą bramą gmachu, a wewnątrz stoi karny dwusereg babó i dziadków, musztrowany przez strażniczkę urzędu oraz osobnika w czarnym, skórzanym płaszczu. Mimo że stojący przed budynkiem odradzał mu to, Marek K. zaczął energicznie pukać do drzwi. Mężczyzna w płaszczu przybliżył się nieco, zmierzwił natrętą zimnym spojrzeniem, po czym oświadczył, że brama pozostanie zamknięta tak długo, jak mu się podoba, a jeśli komuś się to nie podoba, to on zaraz zadzwoni po milicję, gdzie ma znajomości, sam bowiem jest emerytowanym stróżem prawa i „niejednego kozaka już usadził”. Jego maniery wskazywały na to, że mówi prawdę.

Marek K., z mniejszym co prawda przekonaniem, ale zastukał jeszcze kilka razy, po czym od kogoś, kto właśnie nadziedził, dowiedział się, że do lokalu Stowarzyszenia można się dostać także inną drogą, od strony sąsiedniej ulicy. Po uzyskaniu informacji dotyczących trybu składania deklaracji Marek K. wszedł od podwórza do gmachu urzędu i zwrócił uwagę strażniczek, że zamykając bramę wejściową naraził go na niepotrzebną stratę czasu. W tym momencie pojawił się mężczyzna w czarnej skórce, wepchnął go do jednego z pokoiów, zamknął drzwi na klucz i oznajmił, że milicja jest już w drodze. Po następnych 10 min. faktycznie przyjechała. Funkcjonariusz wysłuchał, co i jak, pokłuszył głową i uwolnił Marka K. z zamknięcia — ten zaś, zaraz po powrocie do domu, postanowił napisać o swojej przygodzie do prezesa miasta Pabianic. Miał nadzieję, że w ten sposób przyczyni się do zahamowania samowol-

stycznych zapędów tandemu strażniczek — mężczyzna w skórzanym płaszczu.

Odpowiedź przyszła po miesiącu i ośmiu dniach i brzmiała mniej więcej tak: u obywateli, którzy przybyli, aby zapisać się do Stowarzyszenia, ujawniły się nastroje warcholskie. Doszło do tego, że udaremnili ślub parze młodej (w budynku mieści się również USC). Prowadzonym zająć się za własnie Marek K., który „mimo tłumaczeń i wyjaśnień kopał w drzwi”. Reasumując: prezydent mgr Radosław Januszkiewicz „uznał skargę za bezzasadną” i w ten sposób, do spółki ze strażniczką i tajemniczym osobnikiem w czarnym, skórzanym płaszczu, udzielił Markowi K. spóźnionej lekcji moresu.

MAREK KWIATKOWSKI

DLA TYCH, KTÓRZY CHCIELIBY ZOSTAĆ FILMOWCAMI

Celem Zaocznego Wyższego Zawodowego Studium SCENARIUSZOWEGO jest zapoznanie młodych pisarzy, dramaturgów, reportażystów z problemami warsztatu filmowego oraz scenariopisarstwa. Studium działa jako wspólne przedsięwzięcie Państwowej Wyższej Szkoły Filmowej, Telewizyjnej i Teatralnej w Łodzi oraz Przedsiębiorstwa Realizacji Filmów „ZESPOŁY FILMOWE”.

W czasie czterech semestrów (2 lata) studenci opracowują pod kierownictwem pedagogów: adaptację opowiadania, utworu powieściowego, scenariusza filmu nowelowego, scenariusza filmu fabularnego.

Część teoretyczna studiów obejmuje: podstawowe problemy teorii i historii filmu, problematykę telewizji, projekcję filmów i przeglądy widowisk telewizyjnych.

Zajęcia odbywają się metodą miesięcznych zgrupowań (4 dni w miesiącu). W program studiów włączone są 2—3 tygodniowe praktyki na planie filmowym. Studentom umożliwiające zostaną bezpośrednie kontakty z twórcami filmowymi i telewizyjnymi. Kandydaci posiadają powinni wykształcenie co najmniej średnie (matura) oraz nie przekroczony 35 rok życia.

Osoby mające zamiar ubiegać się o przyjęcie na Studium powinny złożyć:

a) oryginalne prace literackie w trzech egzemplarzach maszynopisu (powieść, nowela, opowiadanie, reportaż, scenariusz, utwór dramatyczny — publikowane lub nie publikowane; z wyłączeniem poezji. W przypadku form większych — 1 tekst, w formach mniejszych 2—3 teksty).

b) życiorys wraz z informacją o dotychczasowym dorobku twórczym, zawierającą wykaz prac literackich — poza nadesłanymi przy podaniu o kandydowanie na Studium.

c) podanie o przyjęcie wraz z dokumentami wymaganymi od ubiegających się o przyjęcie na studia wyższe (kwestionariusz osobowy, świadectwo wykształcenia, trzy fotografie).

d) jeśli kandydat posiada stałe miejsce pracy — zgodę zakładu pracy na podjęcie studiów zaocznych.

Dokumenty oraz prace należy nadsyłać pod adresem: Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa, Telewizyjna i Teatralna — Studia Zaoczne — ul. Targowa 61/63 90-323 Łódź, w terminie do końca czerwca 1988 roku.

Egzamin wstępny na STUDIUM składa się z dwóch eliminacji:

ELIMINACJA I: — obejmuje ocenę prac twórczych złożonych przez kandydata (bez udziału kandydata), która decyduje o zakwalifikowaniu do II eliminacji.

ELIMINACJA II: — obejmuje: 1) pisemne zadanie scenariuszowe sprawdzające m.in. umiejętność „filmowego widzenia” i konstruowania dialogu.

2) egzamin ustny — sprawdzający ogólną orientację kandydata w problematyce filmu, teatru, telewizji i literatury.

Odbędzie się w ostatniej dekadzie października 1988 r. Zajęcia dydaktyczne Studium prowadzone będą w Warszawie i rozpoczną się w drugiej połowie października 1988 roku.

Szczegółowych informacji udziela sekretariat PWSFTvT w Łodzi — ul. Targowa 61/63 tel. centr. 74-39-43 wew. 16 oraz sekretariat Studium Scenariuszowego PRF „Zespoły Filmowe” w Warszawie ul. Puławska 61, tel. 45-53-24 lub 45-40-41 wew. 291.

REDAKCJA — CZYTELNICY

MARIAN SOBIECHART, Piotrków Trybunalski. Pamięć pana nie zawiodła. Napisał pan: „wiersz ten często recytowałem na obozowych ogniskach Czerwonego Harcerstwa TUR, kiedy to plotkowscy harcerze stacjonując w lasach smardzewskich nad Pilicą gościli łódzkich przyjaciół z drugiej strony Pilicy, z Józefową”. Nie pamiętał pan tylko, kto był autorem tego wiersza. Napisał pan ten wiersz z pamięci niemal dokładnie.

Wiersz w oryginalnym brzmieniu nosi tytuł: „FABRYCZNE KOMINY”, powstał w 1934 roku, a jego autorką jest Hanna Ożogowska. Znaleźć go można w zbiorze „KWIATY ŁÓDZKIE”, opracowanym przez Ziemowita Skibińskiego i Barbarę Stelmachczyk-Swiontek, a wydanym przez Wydawnictwo Łódzkie w 1982 roku.

MIECZYSLAW KOZAK, Łódź. Poruszył pan kilka kwestii, z którymi trudno nam się zgodzić. 1. To, że teraz dużo pisze się o roli i znaczeniu Józefa Stalina w historii nie tylko w ZSRR, nie wynika z pogoni za sensacją, choć niekiedy teksty są rzeczywiście sensacyjne, ale po prostu z potrzeby odkłamania przeszłości i ukazania postaci historycznych w ich właściwych wymiarach. 2. Na temat polityki redakcyjnej harcerskiego tygodnika „Motywy” nie chcemy się wypowiadać. Dobry obyczaj nakazuje, aby o takich sprawach dyskutować we właściwym miejscu, czyli na łamach tygodnia „Motywy”. 3. Warto chyba pamiętać słowa Tencenjusza: „homo sum, humani nil a me alienum puto” — jestem człowiekiem, nie co-ludzkie, nie jest mi obce. A wymyślono to dawno, dlatego dziś mielibyśmy być gorsi od starożytnych? 4. Bez wątpienia „żyje jeszcze wielu takich ludzi, którzy w swoich zbiorach i wspomnieniach mają atrakcyjne i ciekawe tematy”. Nigdy od takich tematów nie stronił. Jest tylko jedno „ale”. To, co wydaje się „atrakcyjne i ciekawe” dla kolekcjonera, może wcale nie być takie dla innych. I o tym wróć pamiętać! 5. Autor reportażu o „królu Górniaka” — jak pan to raczył nazwać — pracuje obecnie w „Tygodniku Kulturalnym” w Warszawie. O podjęciu tematu pomyśleliśmy. Dziękujemy za sugestie.

MICHAŁ CEZAK, Łódź. Jeden z listów częściowo wykorzystaliśmy. Proponowana przez pana forma nie interesuje nas. Interesuje natomiast tematyka. Prosimy o kontakt z redakcją. Proszę zadzwonić do redakcji we wtorek lub w czwartek najlepiej w godzinach od 12 do 16. (Telefon: 36-52-44).

REDAKTOR DYŻURNY



Masz temat dla reportera?
Coś cię drażni, niepokoi,
szlag cię trafia — podnieś
słuchawkę i wykręć numer: 36-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

19. maja — **DARIUSZ DOROŻYŃSKI** —
godz. 10—16.
26. maja — **PAWEŁ TOMASZEWSKI** —
godz. 10—16.

To był wyjątkowo spokojny dyżur: zaledwie trzy telefony od czytelników.

Pan R.D. (dane personalne wyłącznie do wiadomości redakcji) powiedział, że do 3 marca br. miano na ulicy Zachodniej (strona nieparzysta) wykonać przecięcie suchych gałęzi na rosnących tam drzewach. Owszem, przycięto część, resztę — jak powiada pan R.D. — pozostawiono chyba, aby renciści mieli gdzie popracować społecznie. Ponadto ul. Zachodnia jest modernizowana, więc na odcinku Ogrodowa — Limanowskiego walają się pozrywane płyty z chodników, stopy starego asfaltu, kawałki krawężników. Co na to Zakład Zieleni Miejskiej Oddział Dzielnicowy z ulicy Smugowej?

Pan R.D. postuluje także, aby na przejściu przez Zachodnią vis a vis Bazarowej zainstalować pulsujące światło, bo same znak drogowy nie wystarczają i w przeszłości zdarzały się tam wypadki.

Pan Tadeusz Paciejewski z Abramowskiego dzwonił w sprawie, moim zdaniem, wymagającej natychmiastowej interwencji władz dzielnicy śródmiejskiej. Otóż jest na Abramowskiego pasaż, na którym bawią się dzieci. Obok — trzy metry w dół — znajdują się otwarte tunele. Wystarczy jeden nieostrożny ruch i dziecko leci w dół. Tak zresztą stało się z synem pana Tadeusza Paciejewskiego, który spadając doznał złamania podstawy czaszki i wstrząsu mózgu. Zwracam się więc tą drogą do Urzędu Dzielnicowego Łódź — Śródmieście o pilne zainteresowanie się owym nieszczęsnym tunelem i o zapewnienie dzieciom bezpiecznej zabawy.

Pani Janina Kowalska z Bełchatowa powiadomiła mnie, że w tym miejscu na placu Wolności jest sklep „Polmożbytu”. Ilekroć przywożę towar, zaraz pojawia się kartka „Przyjęcie towaru” i wisi parę dni. Nie ma na niej daty, jest więc ciągle aktualna. A przez szyby widać, jak w sklepie poruszają się ludzie i coś tam kupują. Wciąż jak to jest? — pyta pani J.K. — Dla kogo ten sklep i te części? Dla wszystkich czy też tylko dla wybranych?

EUGENIUSZ IWANICKI

Bez fajerwerków

22 maja na ulicach pojawiają się flagi o barwach narodowych oraz zielone i czerwone sztandary, ponieważ dzień ten jest nie tylko świętem Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i całej polskiej wsi, ale też i rolnictwa wspierającego swoją pracą i wiedzą. Charakterystyczne, iż pod wytycznymi w sprawie obchodów Święta Ludowego obok Sekretariatu NK ZSL podpisali się także Sekretariat KC PZPR. Nie chodzi tu jednak o pomniejszenie roli partii chłopskiej, która jest gospodarzem tegorocznego Święta, lecz o podkreślenie symbolu, jakim jest umacnianie sojuszu robotniczo-chłopskiego oraz rozwijanie i wzbogacanie zasad koalicji systemu politycznego w Polsce.

Służą temu również prowadzone przez instancje ZSL zabrania otwarte, w których uczestniczą członkowie PZPR, organizacji młodzieżowych, bezpartyjnych. Zebrania odbywają się już od początku maja. O czym się mówi? Przede wszystkim odzwierciedla echa niedawnego Kongresu ZSL. Chłopi czekają z niecierpliwością na wcielenie ducha Kongresu w życie.

Poza tym często zwraca się uwagę na konsekwentną realizację wspólnej polityki rolnej ZSL i PZPR. Widać, że nie jest to sytuacja gospodarcza kraju sprawiła, iż trzeba było skorygować plany co do zaopatrzenia

rolnictwa w maszyny i środki produkcji. Skoro mamy realizować II etap reformy, mówią chłopci, w którym decydować będzie samodzielnosc, przedsiębiorczość, efekty produkcyjne, i skoro rolnictwo wykazało już te wszystkie cechy, bo nikt nie cierpi na brak chleba, mleka, warzyw, mięsa, to rolnictwu należy się jakaś premia. Tymczasem nie dość, że brakuje maszyn i środków produkcji, to jeszcze nie ma równości w cenach — chłop sprzedaje pszenicę po cenach urzędowych, a kupuje wszystko po cenach umownych. Chłop rozumie, że urzędowe ceny na skupie stanowią pewną ochronę dla miast. Ale gdy ceny skupu będą zbyt niskie w stosunku do cen maszyn, materiałów i środków produkcji, to zabraknie motywacji do rozwijania hodowli i upraw i aby ratować rynek żywnościowy, trzeba będzie chwycić po 1 lipca zmienić ceny skupu. A rolnik, wbrew pozorom i złośliwym przypuszczeniom, wcale nie cieszy nakręcaniem inflacyjnej spirali.

Widać musi dbać o własne interesy, m. in. poprzez przedstawiciel partii chłopskiej w samorządach i organach władzy. Tegorocznemu Świętu Ludowemu towarzyszy kampania przedwyborcza do rad narodowych. Kandydatów jest sporo. I tak np. w RN ML mogłoby zasiąść 100 członków ZSL, a będzie ich w sumie 20. No bo, mimo bardziej demokratycznej

ordynacji, trzeba się podzielić mandatami z innymi partiami, organizacjami i bezpartyjnymi. Być może decyduje też fakt, iż w naszym minwojewództwie ZSL liczy 5 tys. członków, jest tylko 11 gmin, rolnictwem zaś żyje się zaledwie 6,5 proc. ludności, przez co rolnicy nie mają takiej siły przebicia.

Wiadomo jednak, że dzięki nowej ordynacji wyborczej ZSL może wiele — na szczeblu podstawowym, w gminach. I tak np. w gminie Brójce do rady narodowej kandyduje 15 członków ZSL, 15 członków PZPR i 10 bezpartyjnych.

Obchodom Święta Ludowego towarzyszą liczne imprezy o charakterze oficjalnym i rozrywkowym. Już 16 maja w sali widowiskowej „Polanili” odbyła się akademicka, podczas której nastąpiło rozwinięcie sztandaru dla DK ZSL Łódź-Górn. Podobna uroczystość miała miejsce w Rzgowie, tak że w zasadzie wszystkie organizacje województwa mają już swoje sztandary.

18 maja otwarto wystawę 10-wiecznej twórczości ludowej w siedzibie Muzeum Ruchu Młodzieżowego. A w ogóle to wszędzie, oprócz wieców, manifestacji, trwają festyny, kiermasze, zawody sportowe itp. Gospodarzami wojewódzkich obchodów są miasto i gmina Zgierz 22 maja na terenie MOSIR w Malinie przewiduje się cały blok imprez rozrywkowych, występy artystów, a nawet zabawę ludową.

Tyle, że odbędzie się chyba bez fajerwerków. Można bowiem świętować, lecz trzeba przy tym pamiętać o sytuacji, w jakiej znalazł się kraj. Ceny rosną nie w rolnictwie, tylko w zakładach przemysłowych. Chłop pragnie, aby przemysł

produkował jak najwięcej dla wsi, robotnik zaś żyć sobie, aby wieś dawała jak najwięcej żywności. Rolnik nie otrzymuje niczego gotowego. Sam musi budować drogi, szkoły, remizy, wodociąg itp. W gminie Stryków zamierzają już w czynie społecznym zakładać kanalizację.

Historia uczy, że chłop zawsze na pierwszym miejscu stawiał interes rolnictwa i spokój, aby mógł w miarę swoich możliwości — jak się to górnolotnie mówi — wyżywić naród. Dziś, kiedy to własnym kosztem niełatwo jest stworzyć własny warsztat pracy, chłop nie będzie trwał! Czasu na mówienie i dyskutowanie, czy jest za czerwonymi, zielonymi czy innymi. Tym bardziej, że akurat zaczyna się prace pielęgnacyjne w polu. Chłop jest za Polską i basta.

Jeśli więc mówi się o świętowaniu, to należy je traktować z przymrużeniem oka, a samo to słowo ująć raczej w cudzysłowy. Bo Święto Ludowe nie straciło uroczystego charakteru, ale dziś towarzyszy mu, powiedzmy, umiarkowana wesołość. I bardzo istotne w swej wymowie hasło, że bez nowoczesnej wsi nie będzie nowoczesnej Polski.

RYSZARD BINKOWSKI

Zaczęło się od strzałów w „Zachęcie”

Początek tej historii jak nie-
zły.

Jesienią 1982 roku aktor Marcel Szytenczel zaproszony został przez dyrektorkę II Liceum Ogólnokształcącego im. Gabriela Narutowicza do zorganizowania i przygotowania z uczniami akademii z okazji 90-lecia tragicznej śmierci patrona szkoły. Uczniów mających wziąć udział w programie wytypować mieli polonisci.

Szytenczel nie skorzystał z pomocy władz szkolnych w doborze wykonawców. Wolał sam dobrać zespół spośród tych młodych ludzi, których udało mu się zapalić do udziału w widowisku, mającym zdecydowanie odbiegać od schematu (i banalności) składarkowych akademii, na jakie zapewne oczekiwano.

Zaskoczenie formuła widowiska — nosiło ono nazwę „Wyrok?” — było całkowite. Zamiast tradycyjnego wykorzystania estrady w sali gimnastycznej przyjęto na przestrzeni scenicznej cały budynek szkolny, a zwłaszcza schody i korytarze. Na najwyższym piętrze zainstalowano nomieszczenia wystawowe warszawskiej „Zachęty”, na ścianach powieszono obrazy. Tam też oczekiwali na przybycie prezydenta Rzeczypospolitej artyści malarze, w ich liczbie przyszły zabójca Eligiusz Nieświadowski — wszyscy grani przez młodzież.

Gabriel Narutowicz przybył tuż po zakończeniu zajęć szkolnych, gdy uczniowie opuścili klasę wypełniając schody i korytarze. Robert (wówczas uczeń, dziś student Wydziału Aktorskiego PWSFTiT), któremu przypadał zaszczyt interpretowania postaci pierwszego prezydenta Polski, od razu

wszedł na górę po schodach, przebrany w żakiet i cylinder, wkroczył na teren wystawy i wdał się w rozmowę z malarzami.

Potem rozległy się śmiertelne strzały, Narutowicz padł na ziemię, zalany filmowym trykiem krwi, a zamachowiec rzucił się do ucieczki. W pogoni za nim uczestniczyli nie tylko wykonawcy przedstawienia. Włączyli się spontanicznie także bez żadnych młodzieżowych wygłupów oni właśnie pojmali Niewiadomskiego. Potem na zaskakujące rozmowy z pretowarzystwem zostały historyczne wypadki.

Ten opis happeningu, który wywarł przed pięćmi laty wielkie wrażenie na młodzieży, był mi potrzebny dla określenia punktu wyjścia i założeń ideowo-artystycznych, jakie leżały u zarania Studia Teatralnego „Słupa”, działającego po dzień dzisiejszy przy Dzielnicowym Domu Kultury Łódź-Widzew. Kieruje nim Marcel Szytenczel, a zespół aktorski to wykonawcy pierwszego widowiska „Wyrok?”. Dziś, o pięć lat starsi, „kończyli” szkołę średnią i studiują na różnych kierunkach łódzkich uczelni wyższych. Ale Studiu Teatralnemu pozostali wierni.

Po pierwszym przedstawieniu w liceum wystawił „Słup” jeszcze sześć premier: „Nowe Wyzwolenie” według Witkacego (1983), „Jaskinia filozofów” wg. Herberta (1984), II wersja „Nowego Wyzwolenia” (1984), „Królowa jest naga, czyli o śmierci króla w teatrze, buncie widzów i radach królowej” wg. tekstu M. Szytenczela (1985), „nadKoloniam karna” wg.

darzenie” wg. Mrożka. To ostatnie widowisko miało premierę w grudniu 1987 roku i grane jest przez zespół obecnie w sali DDK Widzew przy ul. Armii Czerwonej 77.

Słowa „według” przy każdym tytule spektaklu nie postawiłem przypadkowo. Za każdym razem pierwowzór literacki posłużył zespołowi jako inspiracja i poddany został gruntownemu przetworzeniu. Decydujący był tu — podobnie jak i przy interpretacji — autorytet i doświadczenie kierownika Studia, ale wszyscy aktorzy wnoszą podczas pracy nad sztuką swoje opinie, sądy i koncepcje, które są kolektywnie słuchane i dyskutowane. W ten sposób rodzi się kształt przyszłego spektaklu.

Nie będę, oczywiście, omawiać wszystkich inscenizacji. Zatrzymam się na ostatniej, jubileuszowej (pięćdziesiątka), by na jej przykładzie śledzić osiągnięcia Studia w realizacji przyjętych i kulturowanych założeń artystycznych. Każda bowiem kolejna inscenizacja „Słupa” była dojrzalsza i wyraźniej artykułowała jego charakter.

Spróbujmy wypunktować te cechy charakterystyczne! Niektóre z nich są wspólne dla wszystkich ambitnych zespołów nieprofesjonalnych. Grupują się w ich szeregach ludzie, którzy pokonali bakcyla teatru i pragną sztukę tę uprawiać bez namiaru na jakikolwiek korzyści materialne.

Dla członków zespołu Studia Teatralnego „Słupa” satysfakcją niesie w sobie sama możliwość uprawiania teatru — tak jak uprawia się z zadowoleniem sport niewyczynowy. Wspólna praca nad rolą jest w równym stopniu atrakcyjna jak występy przed publicznością. Ta ostatnia zaś wciągana jest przez wykonawców w gre intelektualną i wrażliwości. Stąd liczne próby prowokowania widowni do uczestnictwa czynnego w akcji sceniczej. Czyż nie taka właśnie próba była owa pogon za zabójcą Narutowicza, o której mówiliśmy wyżej?

Stwierdziwszy, że członkowie „Słupa” zafascynowani są swoją pracą w Studiu, obserwujemy równocześnie pewną specyfikę tego terenu. Dobór repertuaru i for a jego prezentacji wskazuje na szczególne zainteresowanie zespołu problemami egzystencji człowieka, funkcjonowania jednostki w trudnym i miejscami dramatycznym kontekście współczesnego życia.

Tezę tę da się zilustrować widowiskiem „Szczęśliwe wydarzenia”. W oryginalnym tekście dramatycznym Mrożka w

grę wchodzi forma kameralna. Podobnie jak w „Tangu”, tak i tutaj umiejscawia autor zadanie uniwersalne na arenie jednego domu rodzinnego.

Rodzina stanowi młode małżeństwo nekane przez wszechwładnego Dziadka, który czuwając przez całą noc, uniemożliwia synowi i synowej normalne stosunki płciowe. Trzeba dopiero interwencji obcego Przybysza, by dopełnił się akt zgodny z naturą. W jego wyniku nie zapanuje jednak swoboda. Rodzi się bowiem Niemowle-kreatura, która przejmie po Dziadku władzę w rodzinie. Zapowiadają się one nie lepiej od władzy despotycznego starca.

Aluzja Mrożka do stosunków międzyludzkich przekracza dalece sprawy jednej rodziny. Przedstawienie „Słupa” nie funkcjonuje w klauzurze rodzinnego domu. Rama zastopowana w spektaklu na jego początku i końcu wyprowadza konflikt tedrosnowy z czterech ścian i nadaje mu okiełtano społeczne. Przemianienie losów ludzkich sygnalizuje wielkie łóżce-trumna, na którym rozgrywa się akcja. I jeszcze jedna innowacja w stosunku do tekstu Mrożka: w inscenizacji rolę Dziadka gra pulehna i chętnie dzwiera co nadaje sprawie jakby poszerzającą interpretację. Nie pęd decyduje o rodzinnych uwikłaniach.

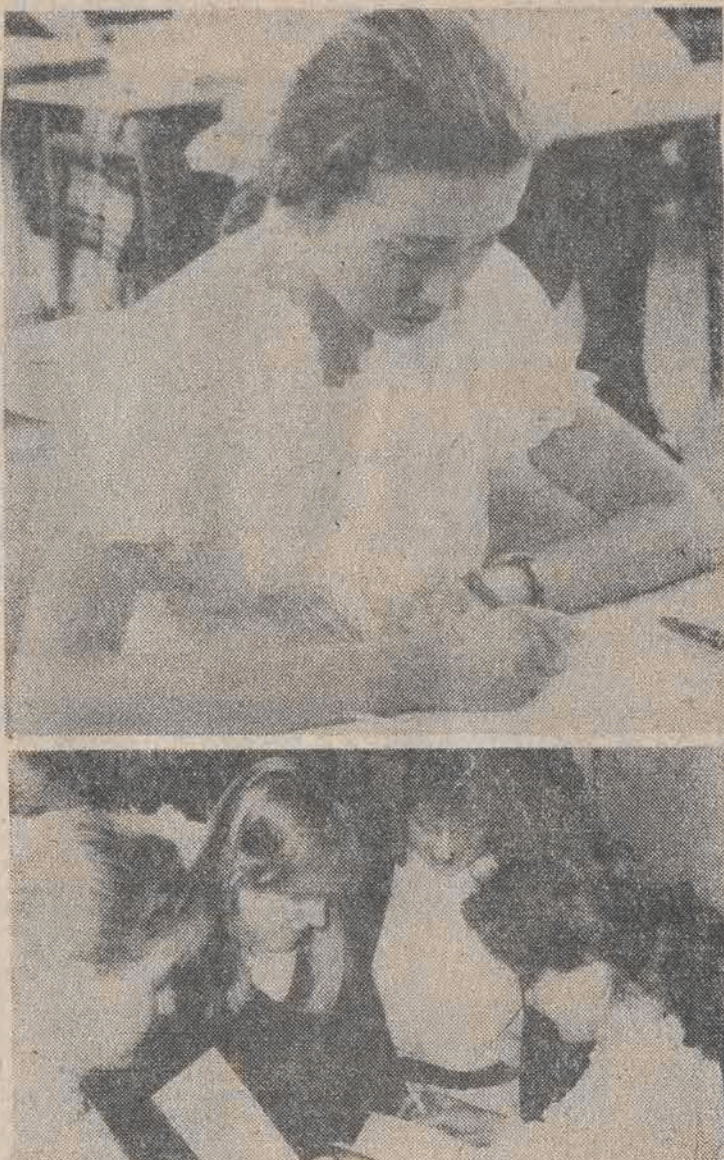
Wymienić pragnę wszystkich wykonawców głównych ról, gdyż z równym zaangażowaniem wywiązuja się ze swych obowiązków. Są to: Przemysław Sowa (Mał), Małgorzata Szum (Zona), Ryszard Peplowski (Przybysz), Ewa Dąbkiewicz (Starzec) i Marcel Szytenczel (Niemowle).

Na koniec słowo wyjaśnienia: ośnośnie kierownik Studia Szytenczel, mając uprawnienia aktora zawodowego, mógłby bez trudu zaangażować się w któryś z teatrów. Jeżeli tego nie czyni i poświęca się pracy z amatorami, z których daje się wykręcić entuzjazm to dlatego, że nie pociągają go teatry w ich obecie obowiązującej strukturze organizacyjnej, która z aktorów robi urzędników, w dużej mierze odbiegających swe obowiązki wobec zatrudniającej ich sceny. Swoją profesjonalizm wykorzystuje Szytenczel jedynie do grywania w filmie, co zdarza mu się bardzo często.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

Matury! Matury!

GRZEGORZ GALASIŃSKI



Na zdjęciu (od lewej): Ryszard Peplowski — Przybysz, Ewa Dąbkiewicz — Starzec, Marcel Szytenczel — Niemowle, Małgorzata Szum — Zona, Przemysław Sowa — Mał.
Foto: Jarosław Chojnacki

W roku 1986 ukazały się trzy książki Jerzego Pietrkiewicza „Poezje wybrane”, powieść „Gdy opadają łuski ciała” i esej „Literatura polska w perspektywie europejskiej”, wcześniej w roku 1980 wydano tomik poezji pt. „Kula magiczna”, a ostatnio w księgarniach można było kupić kolejną pracę „Antologia liryki angielskiej 1300–1950” w tłumaczeniu, w wyborze i ze wstępem tegoż autora. Częstość wydawnictw niebyła to wielka, a pisarzem Jerzy Pietrkiewicz jest dość płodnym i kilka powieści w języku angielskim napisał, tak więc zadanie przed naszymi tłumaczami i wydawcami nie było łatwe. Bo jeśli uważa się go za współczesnego Conrada, to warto — a sądząc po tym, co do tej pory wyszło, na pewno warto — poznać jego twórczość bliżej.

Jerzy Pietrkiewicz debiutował przed wojną na łamach tygodnika „Prosto z Mostu”. W 1939 roku wyemigrował do Anglii. W Londynie uzyskał doktorat i został wykładowcą języka i literatury polskiej w Szkole Studiów Słowiańskich Uniwersytetu Londyńskiego. Jeszcze w czasie wojny ukazały się trzy tomy jego prozy pisanej w języku polskim. Do roku 1953 był pisarzem dwujęzycznym, artykuły naukowe i eseje pisał w języku angielskim, poezje zaś po polsku. Zajmował się także tłumaczeniem literatury polskiej na angielski i opracował antologię „Polish Prose and Verse”. Potem przeszedł już całkowicie na angielski, nie zrezygnował jednak z polskich wątków. Jego debiutem angielskim była powieść pt. „The Knoted Cord”, akcja tego utworu osadzona jest w realiach historii przedwojennej wsi.

Przejdźmy teraz do szkiców, które wchodzi w skład tomu pt. „Literatura polska w perspektywie europejskiej”. Pracę autor rozpoczął uwagami nad średniowieczną pieśnią „Posłuchajcie, bracia miła”, a kończy esejem, wspomnieniem o Witoldzie Gombrowiczu. I powiedzieć trzeba, że porównawcze analizy Jerzego Pietrkiewicza stawiają czytelnika co i raz przed nowymi dyskusyjnymi bardzo problemami. Warto więc przejść się wraz z autorem po wybranych przez niego, często dość krótkich szkiełkach naszej literatury.

Chciałem zwrócić uwagę na rozdział, w którym Jerzy Pietrkiewicz zajął się zjawiskiem cenzury wewnętrznej w polskiej literaturze. Cenzura to temat ciekawy i stary jak świat. W różnych epokach twórcy z najdziwniejszymi jej odmianami mieli do czynienia. Cenzura przez ostatnie dwieście lat mocno dawała się na literaturze we znaki. Pisarze, którzy tworzyli w warunkach cenzury urzędowej przez całe dziesięciolecia musieli wykształcić w sobie pewne blokady, które Jerzy Pietrkiewicz określa wła-

Skąd się bierze wewnętrzny cenzor?

nie mianem cenzury wewnętrznej. Autor na barki tej cenzury zrzuca cały ciężar odpowiedzialności za niemożność wyjęcia naszej literatury na forum europejskie. Tak więc powodów naszej „wyjątkowości” nie należy szukać w regionalizmie, który jest przecież naturalną zaletą wielu literatur, nie w hermetyczności polskiej historii, jak się sądzi, ale właśnie w samoograniczeniu się tej literatury; pławieniu się twórców w egzaltowanym patriotyzmie, niechęci do podejmowania tematów innych niż to nakazuje obowiązki Polaka, w nadmiernym dydaktyzmie, który przechodzi nieraz w kazywanie, w strachu przed opinią publiczną i krytykami, którzy zawsze w sytuacji, kiedy pisarz zbyt śmiało wybiegał poza pewne święte narodowe pojęcia i wyzwał wódze swojej fantazji, mogli wypuścić na niego „psa łańcuchowego drzemającego w sumieniu narodowym” — jak to określa Jerzy Pietrkiewicz — i zmusić do użycia wewnętrznej cenzury. Wygląda to tak, jakby ktoś polską literaturę zamknął w murach dusznej szkoły, gdzie na katedrę wpuszcza się natchnionych nauczycieli, którzy mają za zadanie powiedzieć, jak w tym kraju, w tym społeczeństwie należy żyć. Prywatność, problemy własnej egzystencji nie są w cenie. Tutaj nakazuje się daleko idący obiektywizm i pisarz powinien się do tego nałożyć. A oto jak Jerzy Pietrkiewicz definiuje owe zjawisko:

„Przez cenzurę wewnętrzną rozumiem nie ograniczenia narzucone przez społeczeństwo czy rząd, ale coś, co sam artysta narzuca swojemu dziełu; czyniąc to, rezygnuje z części swojej swobody, a także wchodzi w kompromisy ze swoją elementarną właściwością (...), przytłumia lub modyfikuje te elementy, które są ograniczonym składnikiem dzieła. W dodatku może w skrajnych przypadkach zniekształcić początkowe zamierzenie, przeobrażając akt tworzenia w akt zdrady”.

Przed Jerzym Pietrkiewiczem zjawiskiem tym zajmowała się Maria Dąbrowska, na którą zresztą autor „Szkiców” powołuje się. Otóż Maria Dąbrowska omówiła dokładnie rolę cenzury w „Potopie” i „Szkicach węgla” Henryka Sienkiewicza i zwróciła uwagę na bardzo ciekawą rzecz. Mianowicie, Sienkiewicz w „Potopie” mówiąc o Moskalach używa takich określeń jak „drugi nieprzyjaciół”, „tamten nieprzyjaciół”, albo Septentrioni i Hiperborejczycy. Gdyby wszystko było utrzymane w takiej konwencji do końca, choć dla współczesnego czytelnika takie nazwy są zupełnie niezrozumiałe, można byłoby wybiegi owe rzeczywiście zrzucić na cenzurę urzędową. Autorka znalazła jednak fragment, w którym Janusz Radziwiłł zwracając się do Kmicica używa słowa Moskwa w dość ostrej formie. Maria Dąbrowska pisze o tym tak:

„Użycie nazwy Moskwa w tak drastycznie „odwetowym” tekście nasuwa podejrzenie, że może dążyć się było jej używać w tekstach znacznie bardziej niewinnych”.

Gdyby więc zgodzić się z rozważaniami Jerzego Pietrkiewicza, należałoby przypuszczać, że Henryka Sienkiewicza ograniczały dwie cenzury.

Co wobec tego z naszą literaturą emigracyjną, wolną wszak od cenzury urzędowej, ale czy również i cenzury wewnętrznej? „W paradoksalny — pisze Jerzy Pietrkiewicz — sposób ta swoboda stanowiła ograniczenie, gdyż wywoływała absorbowanie poezji zbyt wieloma ideami politycznymi”.

Tyle patrząc na całą sprawę w aspekcie historycznym. I wszystko byłoby dobrze, gdyby w przeszłości te problemy zostały, ale jak się okazuje, niestety tak nie jest. Czas pędzi a problemy pozostają, nawarstwiają się w nas i w wielu momentach zamiast zniknąć, zwiększają się. Bo tutaj zawsze pisze się pod kogoś, pod przyjaciół, pod cenzorów z lewa i prawa, pod cenzurę urzędową i cenzurę swego własnego wewnętrznego. Namnożyło się tych cenzorów, czasem wydaje się, że u nas wszyscy najlepiej potrafili kreślić i jeśli tylko mają okazję, robią to.

Co chyba w tym jest, że sukces uzyskują ci, którzy stąd wyjechali i umieli odejść od tutejszych ograniczeń. Początkowo ich się krytykuje, bo jak tak można od polskich spraw uciekać, ale gdy zobędą już uznanie na świecie, wtedy wszyscy szybko się do nich przynajmniej. Niedawno to przecież czas, kiedy Witolda Gombrowicza, Czesława Miłosza, Jerzego Pietrkiewicza czy Jerzego Kosińskiego odsądzało się od czci i wiary. Teraz jakby nikt o tym nie pamiętał i niedawni oponenti z wielką chęcią spotykają się z owymi pisarzami, gdy ci kraj odwiedzają.

TOMASZ A. WŁODKOWSKI

1 Pod prąd

Człowiek człowiekowi dokumentem

Dokument, to tyle co dowód, świadectwo potwierdzające prawdziwość jakiegoś faktu. Na przykład faktu mojego pojawienia się na świecie. Ten niewątpliwie fakt potwierdza tak zwany akt urodzenia. Potwierdza tak dalece, że bez niego w wielu sytuacjach ja w ogóle nie istnieję, nie ma mnie, nie żyję.

Kiedyś kazano mi w jakimś urzędzie przedstawić odbis akt urodzenia. Po co? — pytam. Przecież wszystkie zawarte tam informacje mogę przekazać od razu osobiście, a poza tym — mówię — mam przy sobie akurat dowód osobisty, wydany na podstawie tego samego aktu urodzenia, a zatem samo przez się. Niestety urzędniczą była tupa jak stuletnia brzytwa bez ostrzenia i nie pozwoliła mi nawet dokończyć wywodu. Na dodatek — takie ma wytyczne: musi być odbis aktu i już, to dowodzi, że ktoś musiał być jeszcze bardziej teny.

Na szczęście to już przeszłość. Na szczęście w drugim etapie reformy wydaliśmy walkę biurokracji i — jak przeczytałem w gazecie — teraz wszelkie zaświadczenia wyparte zostały przez oświadczenia samych obywateli.

Możliwe. Bardzo możliwe. Tylko że mój znajomy nie dawniej niż miesiąc temu swoje oświadczenie, że mieszka tu i tu, musiał odwieźć do biura ewidencyjnego ludności. Jego własny podpis wciąż nie wstarczał, aby mu uwierzyli. Mój znajomy skomentował to krótko: kłaniaj się reformie, jak ją spotkasz!

Jakie relacje mogą zachodzić między człowiekiem a dokumentem? Okazuje się — bardzo różne, choć na co dzień zupełnie nie zwracamy na nie uwagi, gdyż wszystko wydaje się nam tak oczywiste... A o czymże wcale nie jest. Przeciwnie, czasem jest zastanawiające, dziwne, a nawet — powiedziałbym — dziwaczne.

Przykład pierwszy z brzęgu: nie zdarzyło mi się jeszcze, aby milicjant, który zatrzymał mnie za zbyt szybką jazdę, czy inne wykroczenie, zapytał: jak się nazywam, gdzie mieszkam, co robię, czy mam prawo jazdy, czy prowadzę samochód... Zaden. Żaden tego nie zrobił, mimo że nie nie wskazuje, iż jestem niemowa i to na dodatek niedorozumiałym. Każdy natomiast chciał obejrzeć moje dokumenty. „Dokumenty, proszę”. „Najpierw dokumenty”. „A gdzie pana dokumenty?” I tak zaważ.

Pewnego razu mi stał na zowad zastąpił moje znane, który też pracuje w milicji, co jest ważniejsze: dokumenty czy człowiek? — Człowiek — odpowiedział bez chwili namysłu. Ale on test dzielnicowym. Na prowincji.

Pamiętam, jak bardzo poczułem się kiedyś dotknięty, kiedy zmieniając miejsce zamieszkania, musiałem przenieść moje karty choroby z jednej przychodni na drugą. Nie dosyć bowiem, że panią z okienka rejestracji zrobiła ze mnie, w końcu niemłodego już człowieka, gońca, to jeszcze wręczyła mi kopertę z kartami choroby szczelnie zaklejoną i przetrzeźnia, żeby przypadkiem nie wpadł na pomysł zatrzenia do niej po drodze.

A gdybym zajął, to co? — pytam. Przecież to moje karty, a przede wszystkim moje choroby!

Ale, ale, czy aby na pewno moje? — zaświtało mi w głowie, gdy od szwagierki usłyszałem historię o tym, jak to lekarz rejonowy, do którego została administracyjnie przypisana, dosyć długo odmawiał jej leczenia reumatyzmu, ponieważ wynik badania krwi (zdaje się, tzw. ASO) był, jego zdaniem,

dobry. To, że chora mówiła, tak bardzo ją boli, nie miało dla pana doktora większego znaczenia. Dokument przeczył jej słowom. Dokument! A dokumenty, w przeciwieństwie do ludzi, nie kłamią. No, chyba że laborantka się pomyli i wpisze wynik badania krwi jakiejś innej osoby, co choć niezmiennie rzadko, ale jednak się zdarza.

Tak właśnie było z moją szwagierką która po wspomnianym incydencie nabrała większego zaufania do lekarzy, a zupełnie straciła — do laborantek.

Cytat z prasy codziennej: „We wrześniu 1981 roku lekki samolot, w którym leciała R. Ruiz wskutek niesprawności silnika spadł w trudno dostępnym rejonie dżungli amazońskiej. Wszystkich pasażerów i pilota uznano za zmarłych. Odbył się ich pogrzeb i załatwiono wszystkie niezbędne w takich przypadkach formalności prawne.”

Jednakże R. Ruiz nie zginęła w katastrofie. Nieprzypadkiem została uratowana przez Indian, którzy troskliwie opiekowali się nią przez wiele miesięcy dopóki nie stanęła na nogach. Następnie odwiedziła kobietę do najbliższego osiedla. Od tego czasu daremnie próbuje ona uzyskać oficjalne uznanie tej zażywa”.

Domyslałam się, że była to wiadomość na pocieszenie. Tylko, że u nas nie ma Indian.

JÓZEF RETMAN

2

Lewym okiem

Spodnie dla księcia

Za cztery lata świat obchodzi będzie pięćsetną rocznicę odkrycia Ameryki. Stany Zjednoczone już dziś przygotowują się do uczczenia tej rocznicy jakąś gigantyczną uroczystością, chociaż to przecież wcale nie one zostały przez Kolumba odkryte. Jeszcze w wiele dziesiątków lat po przybyciu Kolumba na ląd południowoamerykański, w Ameryce Północnej, tu, gdzie są dzisiaj Stany, nie znano twarzy białego człowieka, a po olbrzymich przestrzeniach uganiał się pierwotni Indianie.

Jednym z punktów uroczystości rocznicowych będzie przybranie Statu Wolności w wesołą szatę. Już dziś zaczęli ją przygotowywać francuscy krawcy. Francuscy prawdopodobnie dlatego, że wygrali jakiś tam przetarg. Będzie to szata ślubna zarzucona na posąg nowojorskiej dziewczyny, widocznie uznano, że najwyższy czas, aby wolność straciła dziewczęstwo. Kto jest planowanym obłobocem — nie wiem. Cała rzecz wydaje mi się nieco w złym guście. Niebotyczna figura przyobleczona w powłóczystą szatę przysniła mi się niedawno i był to sen koszmarny. Nowy Jork jest wielką metropolią i powieź nie jest tam kryształowo czyste. Czyta się także o tym, że wokół miasta wieją często silne wichry. Po paru dniach, może po paru tygodniach, Statua Wolności będzie obwieszona łopocącymi na wietrze brudnymi, postarzonymi szmatami. Pomysł niewart naśladowania, chociaż wiele amerykańskich pomysłów tak chętnie kopiowaliśmy u nas.

A może jednak? Może na przykład księcia Józefa Poniatowskiego, śledzącego w krótkiej koszułce, na ramkach warzawskim przyodzianego wreszcie w jakiś przyzwoity strój? Rzymską tunikę narzucano księciu Papi przedtem dlatego, że było to czasy zaboru carskiego i władze zaborcze nie zgadzały się na uwiecznienie w tak widocznym punkcie miasta, tradycyjnego polskiego, generałskiego mundur. Jak wiemy, czułość okupantów niemieckich posłała znaczną część i kazała

zlikwidować po prostu cały posąg, nie tylko jego generalskie szlify. Ale teraz czy przykryć gole kolana księcia pięknymi włoskimi zasłonami, czy powieścić mu chociażby parę medali na odsłoniętej pierś, tak, jak Włosi wieszają naciórki na szwach swoich świętych figurek?

Czy z łazienkowskiego Chopina zdjąć powłóczystą chlamidę, w jakiej nigdy za życia nie chodził i przybrać go w szaty zgodne z jego epoką? Oczywiście mówię to żartem i ani przez chwilę tak nie myślę, nie można przecież naszych placów i ulic zamieniać w galerię figur woskowych odtwarzających w najdrobniejszych szczegółach prezentowane postaci. Pomnik jest zaklętym w kamień symbolem i niech takim pozostanie. W konwencjonalnym języku symboli powłóczysta szata oznacza dostojność, wzniosłość, nieprzeciętność. Konieczne musi być powłóczysta, układać się w fałdy, maszkować kontury grzesznego i ułomnego ciała. Sedzia w tożde wygląda poważniej niż ten sam sedzia w dżinsach albo w muszce, pod szyją, chociaż to przecież ten sam człowiek.

Pojęcie wolności nigdy nie skojarzy nam się z dziewczyną w podkaszanej mini i z utapirowaną wysoką fryzurą. Nie ma po temu żadnej rozsądnej racji, ale jeszcze raz okazuje się, że konwencje mają żywot wielowiekowy. Nie ma też powodu, aby z nimi wszędzie i za każdą cenę wojować. Tego zdania byli futurysty, ale futurizm dawno się przeżył, amerykański pomysł z przebraniem dla Statu Wolności jest chyba ostatecznym przejawem — przedwczorajszego już — futurizmu.

P.S. Przed dwoma tygodniami w felietonie pt. „Niepokój przed zaśnięciem” napisałem tak: „Przecież tu nie chodzi o możliwość. Tu chodzi o stworzenie systemu gospodarowania, który zmusi przedsiębiorstwa do racjonalnego działania”. Zamiast tego Redakcja, pragnąc widocznie skrócić felieton, wydrukowała tak: „Przecież tu nie chodzi o stworzenie systemu gospodarowania, który zmusi przedsiębiorstwa do racjonalnego działania”. Ten niby-skrót pozbawił cały felieton sensu, i odwrócił o 180 stopni zawartość w nim myśl.

W tym samym felietonie zamiast „cała rzecz niebezpiecznie nie grawituje w stronę sztuki czystej, a nawet czystego absurdu” wydrukowano: „cała noc niebezpiecznie grawituje w stronę sztuki czystej a nawet czystego absurdu”.

Malutki błąd, ale powodujący drugą bzdurę. Musiałem tutaj o tym wspomnieć, bo nie pod każdą bzdurą mam ochotę się podpisać.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

3

Zdrowy nigdy chorego nie zrozumie

Powiedziała mi kiedyś pewna znana osoba, którą los srodo doświadczył, że „zdrowy nigdy chorego nie pojmie” i że „zdrowi ludzie świat widzą inaczej niż ludzie chorzy”. Teoretycznie nie przyznaję jej racji. Trudno bowiem kwestionować odmienną widzenia świata i pojęcia do otoczenia u ludzi zdrowych i chorych. Ale to było przypuszczenie racji teoretycznej, bo byłem wówczas zdrowy. Aż nadszedł taki dzień, że musiałem spojrzeć na otaczającą mnie rzeczywistość zupełnie inaczej.

Złamałem nogę. Każdemu się zdarza. Złamanie proste, wzięli się lekarze do reperacji mojej nogi i... mi ją popsuli. Musieli do pracy przystąpić inni, aby nogę zreperować. Zreperowali, ale wdały się różne choroby. I tak robię już któryś miesiąc za inwalidę. Teraz patrzę na świat zupełnie inaczej.

Przed wszystkim dostrzegam nagie, jak wielu ludzi chodzi

po mieście o kulach i laskach. I to wcale nie są jacyś staruszkowie, którym laska przysługuje niejako z racji wieku i ubytku sił. Nic podobnego, są to ludzie różnego wieku i profesji. Oczywiście najwięcej ludzi o kulach i laskach spotkać można w pobliżu szpitali, przychodni lekarskich, aptek i tam wszędzie, gdzie ludzie chorzy szukają ratunku i pomocy. Ale przecież nie tylko.

Są wśród nas ludzie niepełnosprawni. Niedługo mówili się ułomni, chłomi czy wręcz kalecy. Dziś brzmi to ładnie, jeśli niepełna sprawność może w ogóle ładnie brzmieć. Ale jest to określenie mniej upokarzające niż te inne, niedługo używane.

Żadna społeczność nie lubi jednostek czymkolwiek wyróżniających się. Jeśli wyróżniają się one w sposób pozytywny i są na tyle silne, że mogą się same obronić, a ich postawa jest godna podziwu, to choć ich się nie lubi, choć im się zazdrości, to nikt swej niechęci lub zawści jawnie nie okazuje. Co innego ludzie wyróżniający się swoją ułomnością. Z takich można drwić, lekceważyć ich, pogardzać nimi, albo litować się nad tym, że los ich doświadczył. Rozumieć, że mają takie samo prawo do wszystkiego, jak inni, choć im wiele rzeczy przychodzi trudniej, że muszą wkładać więcej wysiłku, aby osiągnąć to samo, co ludzie w pełni zdrowi — tego się na ogół nie rozumie, tego się nie docenia. Są inni — niech więc będą pogardzani, bo są słabsi.

Alisi rozwój cywilizacji i kultury sprawia, że społeczeństwa ludzi zdrowych zaczynają inaczej patrzeć na potrzeby ludzi niepełnosprawnych. Dzieje się tak już choćby dlatego, że kolektyw jest nieodłącznie skutkiem postępującej cywilizacji. To przecież cywilizacja niesie z sobą różne zagrożenia: raka, zatrucia, choroby serca i układu krążenia, inne choroby do tej pory nie znane, jak choćby AIDS, zagraża całoci kończyn, powoduje szybką utratę sprawności człowieka przy jednoczesnym przedłużaniu jego życia. A więc stosunek do ludzi niepełnosprawnych jest miarą postępu cywilizacji i rozwoju kultury. Zdrowy człowiek nie tyle zaczyna rozumieć chorego, co zaczyna rozumieć, że on też może już jutro stać się chorym i będzie musiał inaczej widzieć świat, a więc potrzeby będą zupełnie inne. Człowiek zdrowy zaczyna zatem tworzyć takie rzeczy, które mogą ułatwiać życie ludziom niepełnosprawnym.

Ponieważ jesteśmy dość daleko za produkującymi krajami i borykamy się z codziennymi kłopotami, na przykład z brakiem podstawowych lekarstw i środków opatrunkowych, ludzie zdrowi mogą pomyśleć, że różne idee z usprawnieniem życia dla ludzi niepełnosprawnych można odłożyć do lepszych czasów. Ponieważ wydawanie książek stanowi u nas trudność niebywałą, więc nikt nie pomyśli o tym, aby jakiejś części nakładu wydawać większymi czcionkami, aby mogli je czytać ludzie niedowidzący. Takie fanaberie, kiedy w ogóle mamy szczęście, że książki się drukują. Nie ma więc planów, nie ma urządzeń do tego, aby również nowości literatury ukazywały się w wersji fonetycznej. Albo żeby czytane w radiu powieści — często jeszcze nie drukowane — nagrywać i udostępniać ludziom pozbawionym wzroku.

Ludzie, którzy złamali nogę, albo którym coś innego stało się w tę nogę i muszą chodzić o kulach, wiedzą, czym jest otwieranie sobie drzwi, gdy o biele ręce są zajęte kulami, a równowagę ma się niestabilną. U nas fotokomórki do otwierania drzwi stosuje się na ogół w hotelach lub na dworcach. Nigdy w szpitalach. Schody buduje się w taki sposób, że ludzie zdrowi mogą na nich polamać nogi.

W jednej z łódzkich leźni jest basen dla chorych. Doskonale wynalazek. Tylko bardzo zdrowy projektant tak usytuował zejście do tego basenu, że zdrowemu sprawie to trudność. Ono projektant pomyślał też, aby między szatnią i natryskami a basenem stworzyć wielką podłogę, po której spływałaby woda. Przy okazji na tej kafelkami wyłożonej pochylni ślizgają się ludzie chorzy. Ślizgają się, padają i tłuką. Czyż zdrowy rozumie potrzeby człowieka chorego?

Przykładów na to jest dużo więcej. Rozstrzygnijcie się uważnie wokół siebie.

ZENON POROŃATY

ODGŁOSY 15

Tym razem głośny okrzyk radości wstrząsnął całą salą, a potem rozległy się głośnie uderzenia mieczy w tarcze. Znak szacunku i wierności Giszur pojął, że nie mu już nie uratuje życia, chyba tylko jedno, że był ojcem Asłaka.

— Z powodu samozwańca, Giszura — mówiła dalej Helgunda — ten kraj rozpadł się, wzrosły w potęgę rody Powalów i Duninów oraz innych. Swoim chłórczostwem chciał Giszur zmusić nas do opuszczenia Gniazda, a tym samym własnego kraju.

Wiedziała, że jej słowa spodobały się wojownikom. Prawie wszyscy Normanowie zdali już się trochę nauczyć tujszej mowy, położyli się ze skławińskimi niewiastami, popobudowali sobie domy, urządzili życie, mieli małe dzieci. Nie mogła im się podobać myśl o powrocie do Jumnna. Ten kraj uważali już za własny.

— Daję ci ostatnią szansę, Giszur — rzekła Helgunda. — Wyruszasz na poszukiwanie. Popiołowłosego i sprowadzisz go tu żywego lub martwego. Jeśli znajdziesz martwego, obwieścisz, że zabił go Piastun i jego Lestkowie. Ktoś musi zasiać na tronie obok mnie, aby ten kraj miał prawych władców. Jeśli nie wrócisz w ciągu siedmiu dni, na tronie zasiądzie Asłak, zaś Jaszczółt i Hodon założą mu na głowę książęcą koronę. Ja będę rządzić tylko w jego imieniu, ponieważ jest jeszcze dzieckiem. Ale jest to syn Goluba, Popiołowłosego, prawy władca tego kraju.

Giszur chciał krzyknąć: „nieprawda, nigdy nie byłem w lożu Goluba. To mój syn”. Lecz milczał. Wiedział, że po takich słowach spadnie mu na kark miecz Jaszczółta lub Hodona.

— Wyrzućcie go na podwórzec — rozkazała Helgunda. Jaszczółt i Hodon chwycili Giszura za ramiona i wywiekli z izby. Na podwórzu podano mu konia i otwarto wierzne bramy.

Siedem dni później snyderze pozłocili drugi tron, który wstawiono do komnaty przyjeźdźcy. Na owym tronie zasiadł trzyletni Asłak, w uszytym specjalnie małym purpurowym płaszczu Helgunda własną koronę oddała złotnikom, którzy ją zmniejszili do rozmiarów głowy dziecka. Te korony, zaprosiwszy uprzednio kupców i bogatych ludzi z podgrodzia oraz co znaczących wojowników, Jaszczółt i Hodon uroczyście włożyli na czarne włosy chłopca. Obok Asłaka na drugim tronie siedziała Helgunda ze złotą przepaską na kasztanowych włosach. Wszyscy byli świadomi, że to ona tu rządzi w imieniu syna, a w jej imieniu władzę sprawują Jaszczółt i Hodon. To bowiem pojęła ona swoim kobiecym rozumem, że gdy się ma dwóch konkurentów do swych względów, łatwiej jest sprawować rządy niż posiadając jednego.

O owym dziwnym Piastunie wieści nie było żadnych, dlatego wraz z końcem zimy Helgunda, Jaszczółt i Hodon znowu zaczęli odbywać narady, w jaki sposób wyciągnąć w pole do walki Olta Powalę Starszego i zdobyć Kruszwic oraz dobrać się do żup solnych Gopelanów. Helgunda na przemian posyłała poza Gniazdo to Hodona, to znowu Jaszczółta i w tym czasie to jednego to drugiego wpuszczała do swojej komnaty, wabiąc ich swoimi wdziękami aż niepomni na jej wysoki ród, gwałcili ją nieprzytomni z pożądania. Helgunda miała nadzieję, że kiedyś obydwaj pozabijają się wzajemnie powodowani zazdrością, a wówczas ona stanie na czele wojska i sposobiła się ku temu nosząc męski strój wojownika, pozłacany kolczugę, pozłacany hełm, lekki miecz i lekką tarczę, dosiadała białego konia i codziennie na czele małego oddziału objeżdżała Gniazdo i okolice.

Po rozstajaniu śniegu przybyło poselstwo od Karaka z Karadonon księcia Visulan, potężnego państwa na południu. Zamysłał książę Karak napisać na obronne i samodzielne miasto Kalisia, przez które prowadził stary lugijski szlak bursztynowy i dziesiątki kupców miało tam swoje składki. Spróbował tego w roku ubiegłym, ale miasto potrafiło się obronić i Karak poniósł znaczne straty. Zaplanował więc, że wspólnie z Helgundą, jeśli z dwóch stron uderzą, Kalisie zdobędzie i łupami się podzieli. W tym celu wysłał do Gniazda poselstwo z najstarszym swoim synem, Karakiem II.

Syn księcia był młodzieńcem tak pięknym, że przyjmując go w wielkiej komnacie u boku

małego Asłaka, Helgunda czuła jak ją z pożądania aż pali w podbrzuszu. Nie okazywała tego, obiecała synowi księcia przemyśleć propozycję Karaka i dać odpowiedź za kilka dni. Ale już następnego dnia obydwu wodzów wysłała na polowanie, młodzieńca zaś wpuszcila do swojej komnaty sypialnej i tak długo wabiła swoimi wdziękami, aż niepomny roli posła, rzucił się na nią i ją

ZBIGNIEW NIENACKI

Dagome iudex

Rozpoczynamy druk II tomu powieści Zbigniewa Nienackiego pt. „Dagome iudex”, prezentującego jego literacką hipotezę o powstaniu Państwa Polskiego w drugiej połowie IX wieku, a więc prawie na sto lat przed przyjęciem chrześcijaństwa. Fragmenty I tomu drukowaliśmy w ubiegłym roku, warto jednak przypomnieć jego treść, przedstawiającą dzieciństwo i młodość głównego bohatera, Dagona. Urodzony w bagnach Noteci z matki karlicy i ojca olbrzyma Bozy, ma on rzekomo pochodzić ze starożytnego rodu Spalów, którzy zapadali na chorobę zwaną „żądą czynów”. Wychowany w świecie magii i czarów młody Dago, ogarnięty ową dziwną chorobą wyrusza w świat, aby zostać władcą. Po wielu przygodach dociera do Bizancjum, gdzie interesuje się nim cesarz Michał i uczy sztuki rządzenia ludźmi, aby mógł w przyszłości na Wschodzie wśród północnych Słowian stworzyć państwo zdolne przeciwstawić się nieustannej inwazji Franków, zagrażających interesom Bizancjum. Wysłany z tajną misją do króla Ludwika Niemieckiego, zostaje Dago zdemaskowany i musi uciekać w swoje rodzinne strony nad Notec. Tu dowiaduje się, że książętom Popiołowłosym udało się już stworzyć państwo w obrębie

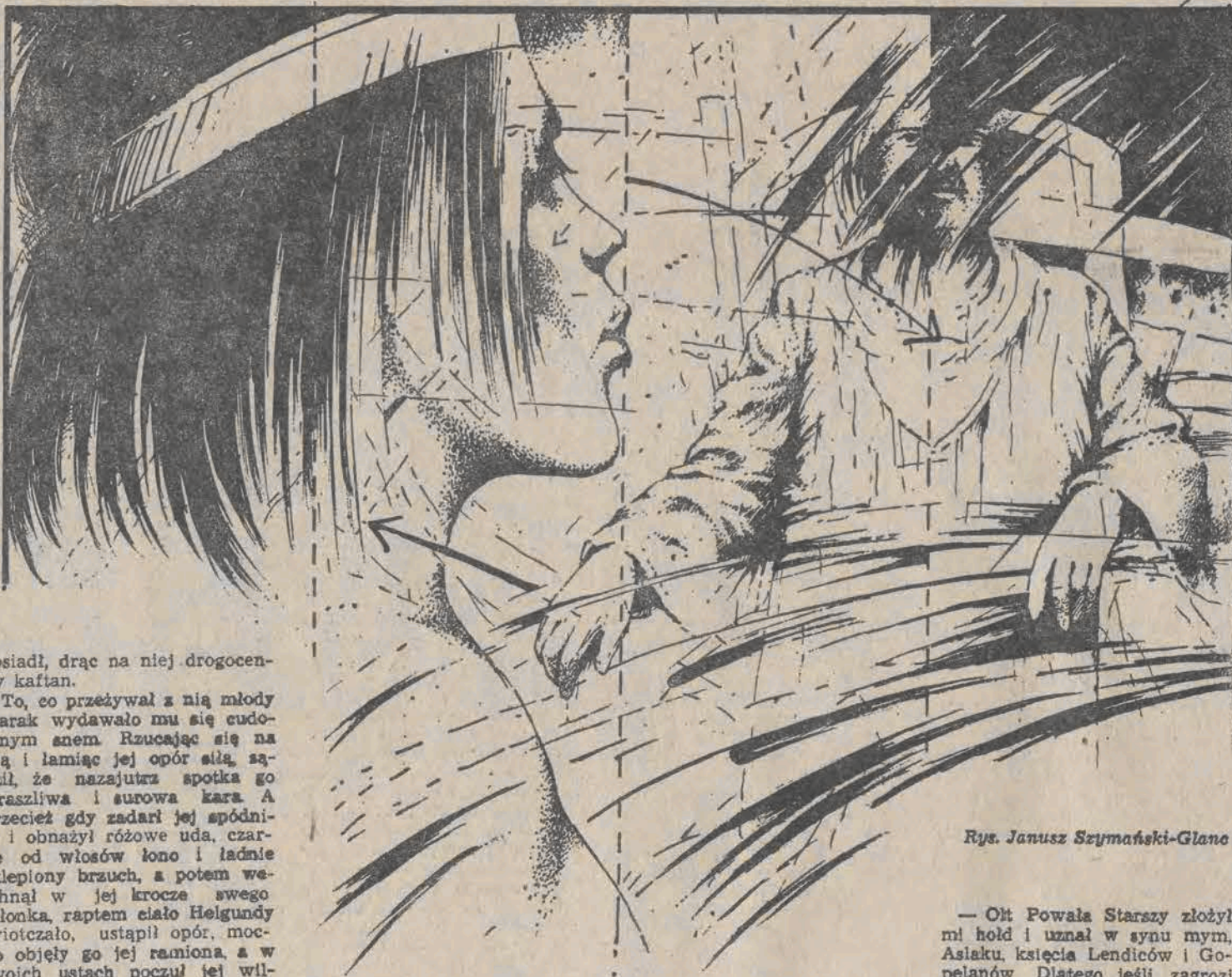
Po kilku dniach nadeszła do Gniazda dziwna wieść, że Kraj Mazowian ogarnął mór i dziesiątkował całą ludność. Wzdłuż granicy państwa Lendiców rozstawiła Helgunda straż i kazała zabijać albo nawracać z drogi każdego kto przybywał z tamtych stron, aby mór nie przyniósł do Gniazda. Dowiedziawszy się potem, że mór wygubił Kraj Kwen, nie pozostałając przy życiu żadnej żywej

i obiecał mu Kruszwic, którą odbierze jego ojcu, Powale Starszemu. Bojąc się, że wraz z nadejściem lata wojsko Piastuna podciągnie pod Kruszwic, Powal Starszy przysłał swoje hołdy Asłakowi, błagając Helgundę, aby w wypadku oblegania grodu, ona i jej wojska pospieszyły mu z pomocą.

Odpowiedziała mu Helgunda w imieniu swego syna Asłaka:

(2)

Poznań, Gniezna i Kruszwic, ale hunt możnych spowodował jego rozbięcie, ostatni zaś z Popiołowłosych — Golub, został zamknięty w wieży na Ostrowiu Lednickim. Po kraju błądzą bandy Lestków, to jest ludzi nienawidzących władzy książęcej i milujących anarchicznie pojmovaną wolność. Dago staje na ich czele, nie przyjmując zmienawidzonego tytułu księcia, ogłasza się Piastunem, to jest opiekunem i wybawcą ludzi uciemiężonych i biednych. Jest to tylko swoisty kamuflaż, gdyż w gruncie rzeczy dąży on do władzy absolutnej, pragnie pokonać zbuntowanych możnych i scalić rozbite państwo, a także poszerzyć jego granice. W jego plany wtajemniczony jest tylko uratowany przez niego z niewoli były mnich, Herim. On wie, że Dago Piastun pod hasłami wolności dla ludu zamierza pokonać przeciwników i stać się absolutnym władcą. Są to początki tworzenia się władzy feudalnej; zamiast seniora rodzi się na naszych ziemiach tytuł Piastuna, biorącego w opiekę każdego, kto tej opieki potrzebuje, żądając w zamian służby i posłuszeństwa. Powieść opowiada o mechanizmach władzy, która na początku działa pod hasłami wolności, aby potem przerodzić się w tyranie.



Rys. Janusz Szymański-Glano

nią Duninów, a potem złupia Kalisie.

I choć było awyczajem posłów, że przynajmniej przez kilka lub kilkanaście dni gościli na dworze władcy, młody Karak już nazajutrz opuścił Gniazdo i ruszył w powrotną drogę do kraju Visulan, aby zabić swego ojca i posiadać władztwo, tak go dreczyło pożądanie ciała Helgundy. On też zresztą był świadomy jak potężne stworzył państwo. I jeśli istniało już takie na południe od gór Karpas, i swało się Wielka Morawa, stanowiące nieustanną groźbę dla Visulan, to po małżeństwie z Helgundą, drugie potężne państwo powstanie na północ od gór Karpas i Wielka Morawa nigdy nie podejmie ryzyka przekroczenia tych gór i pokonania Visulan. Pożądanie kobiety zjednoczyło się z pożądaniem władzy, a nie ma większej siły od tych dwóch namiętności.

Istoty. Jeszcze później przybyło poselstwo od Olta Powalę Starszego i w wielkiej komnacie przyjął najważniejsi rycerze Powalę, wobec tłumy świadków, ukłękli na jedno kolano przed Asłakiem, oddając się pod jego władzę. Przywiedli też ze sobą cztery wozy pełne soli jako znak pojednania. Albowiem okazało się, że Olta Powalę Młodszego uciekł z Kruszwic do Piastuna, który zatrzymał się w Wyokim Grodzie nad rzeką Visulą. Opowiadano, że od Dzikich Kobiet, jako wyraz wdzięczności za zwycięstwo nad Mardami, otrzymał wóz pełen złota. Dzięki temu złotu setki kowali kuje dla niego broń, setki ludzi zgłasza się do niego, aby zostać jeźdźcami zbrojnymi albo tarczownikami i pomóc mu w walce z wszelką władzą, ponieważ Piastun jest laskawy dla Lestków. Piastun przyjął pod swoją opiekę Olta Powalę Młodszego

Boję się, że wkrótce umrze. Nie przyniosły niczego wyprawy w poszukiwaniu Popiołowłosego. Co będzie dalej z księstwem?

— Ty, pani, zostaniesz władczynią — rzekł Jaszczółt.

Obecni na uczcie wojownicy uderzyli mieczami o swoje tarcze na znak zgody. Dlatego już nazajutrz wezwwała do siebie Helgunda najrzeczniejszego ziomnika z podgrodzia i kazała mu zrobić nową książęcą koronę. Dała mu na ten cel do przetopienia kilka diademów i rozkazała, aby ozdobił ją rubinami, zaś sama korona miała mieć ostre końce, ponieważ podobno taka jest obecnie moda u władców na Zachodzie.

Hodon i Jaszczółt powracali z wypraw z pustymi wozami. Ludzie w wioskach tłumaczyli się, że jest przedświt i sami głodują, zresztą jesienią przechodził przez kraj Piastun ze swoim wojskiem i placił gotowizną za żywność dla ludzi i koni. Kmiecie odpowiadali hardo i nikt nie chciał dobrowolnie oddać na rzecz Gniazda ani wołu, ani kozy lub barana, dlatego Hodon musiał kilku powieści dla odstraszenia przykładać. Ale i tak niewiele zdołano w Gnieźnie zgromadzić zapasów i gdyby ów Piastun podszedł pod wale grodu, mógłby go zdobyć głodem. Pocięła się Helgunda myślą, że najpierw zechce zdobyć Kruszwic, a potem nadejdą zima i komory Gniazda zapełnią się zapasami zboża i mięsa. Piastun nie zdoła pokonać Gniazda tym bardziej, że książę Karak na pewno pospieszy jej z pomocą.

W nocy śnił się Helgundzie jej kochanek Giszur. Był cały zakrwawiony i usiłował ją zgwałcić, chwytając krwawymi rękami. Na białym ciebie Helgundy każde jego dotknięcie pozostawiało czerwoną plamę...

„Być może Hodon i Jaszczółt oszukują mnie” — pomyślała następnego dnia. — „Być może wszystkie dziwne opowieści o Piastunie są tylko kłamstwem, igraszką wyobraźni ludu. Jedynie wróżowie w Gnieźnie zapewne znają prawdę”.

Wiele razy bowiem słyszała, że od pradawnych czasów celtyckich, wszyscy wróżowie byli połączeni więzami wspólnych tajemnic, w sposób niewidzialny wymieniał między sobą wieści o ludziach i zdarzeniach, aby móc wieszczyć. Dlatego wróżom postanowiła zawierzyc.

W południe Helgunda wezwała do siebie karlicę Miłkę, kazała jej przygotować duży dzban z syconym miodem, ze skrzyni wyjęła złoty pierścień, który postanowiła darować wróżom w kątnie. Do Miłki miała zaufanie, bo to ona opiekowała się Asłakiem i znała wiele tajemnic swojej pani. Nie była to karlica taka jak inne, zazwyczaj z garbem na plecach albo na piersiach. Po prostu pochodziła z karłowatego rodu Zemlinów i mimo że miała już ponad dwadzieścia lat, nigdy nie osiągnęła wzrostu wyższego niż dziesięcioletnia dziewczynka. Ale twarz miała piękną, o jasnych włosach wlokących się w pukle, piersi jedne i duże, zgrabną sylwetkę. Jak gdyby na przekór swemu wzrostowi, pożądała mężczyzny tylko o bardzo wielkich członkach, tak naprawdę jednak każdy był dla niej za mały, dlatego w specjalnej stajni trzymała czarnego kozła, z którym tajemnie zażywała rozkoszy. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, ukarano by ją za to śmiercią, gdyż czyniła sprawę obrzydliwą. Helgunda znała jej tajemnicę i chroniła, stąd Miłka musiała być jej posłuszną i gotową spełnić każde polecenie. Z tego też powodu właśnie Miłkę zabrała ze sobą w drogę do kątny, mieszczącej się na jednym z podgrodzi Gniazda.

C.D.N

— Nie wierzę w hołdy Powalę. Niechaj uderzy na niego ów dziwny Piastun, skoro ma dosyć wojska, aby zdobyć Kruszwic. Jeśli pokona Powalę, wykrwawi się i straci moc sił, wtedy uderzymy na niego, niszcząc za jednym razem i Piastuna, i Powalów.

— Masz, pani, królewski rozum — przypochlebnie oświadczył Hodon.

— Wiem o tym — odpowiedziała Helgunda. — Martwi mnie jedynie, że Asłak wciąż kaszle i zaczyna płuć krew.